



ELIZA ORZESZKOWA

---

**Nad Niemnem, tom  
trzeci**



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

ELIZA ORZESZKOWA

*Nad Niemnem*

## TOM TRZECI

### I

Wielką panią — jak nazywał ją Anzelm Bohatyrowicz — Andrzejowa Korczyńska nie była, ale gdy młodziutka, piękna i posażna przed trzydziestu kilku laty jednego z trzech braci Korczyńskich zaślubiła, powszechnie utrzymywano, że do małżeństwa tego tylko miłość skłaniać ją mogła. Starających się o jej serce, rękę i majątek było wielu; wybrała z nich najmniej bogatego i noszącego nazwisko najskromniejsze. Kochała, z ukochanym łączyła się w uczuciach i dążeniach, które młodość jego napełniły, a wkrótce przedwcześnie życie przecięły. Milionów mu w posagu nie wniosła, ale — majątek znacznie wartością przewyższający ten, który on posiadał, a stanowiący dziedzictwo piękne, do niej, jako do jedynaczki, wyłącznie należące. Osowce — podług ówczesnego rachunku — posiadały około stu chat, ziemi wiele, lasy piękne, dwór z pretensjonalną nieco wspaniałością zbudowany. Od razu poznać było można, że wzniosł go był przed kilkudziesięciu laty zamożny szlachcic, z panami w gonitwę wstępujący. Dom, na wiele mil dokoła pałacem nazywany, był po prostu dwupiętrową kamienicą z dwoma rzędami wielkich okien, czerwonym blaszanym dachem i szerokim, krytym podjazdem, którego arkady oplatała niezmierna gęstwina dzikiego bluszczu. Budowa ta, dość zimno i nago wyglądająca, miała przed sobą ogromny dziedziniec zdobny w klomby i trawniki, a tło jej stanowiły stare aleje i za nimi na znacznej przestrzeni rozciągnięty tak zwany ogród angielski<sup>1</sup>, w którego głębszych gęstwinach błyskała sieć wąskich drózek, białały w różnych kierunkach rozstawione ławki i wdzięcznymi łukami wyginały się mostki nad wąską, bystrą, wiecznie szumiącą rzeczką zawieszoną. Niemna tu nie było, ale rzeczka przebiegając ogród o wiorstę stąd do niego wpadała, i tam w wielkim trójkącie utworzonym przez jedno szerokie, a drugie wąskie koryto, na rozległej łące wznosiły się łańcuchy niewysokich, widocznie sztucznych wzgórz, którym miejscowa ludność dawała nazwę okopów szwedzkich. Podanie niesło, że niegdyś, przed dwoma wiekami, obozowały tu wielkie wojska i staczały się krwawe bitwy. Gdy aleje i zarośla ogrodu w jesieni liście swe traciły, łąkę, okopy i dwie łączące się rzeki, wielką i małą, w dalekiej perspektywie widać było z okien górnego piętra osowieckiego domu czy pałacu.

W tym domu czy w tym pałacu pani Andrzejowa urodziła się, wzrosła i spędziła całe życie, z wyjątkiem ośmiu lat, które jej u boku męża i w jego domu upłynęły. U początku tych lat wyjechała stąd oblubienicą młodą i szczęściem promieniejącą, u końca ich wróciła wdową, w czarnych szatach, których już nigdy zdjąć nie miała. Nigdy nie była płochą, zalotną ani do zbytku wesołą; w pierwszej nawet młodości i najszcześniejszych chwilach wyniosła jej postać zachowywała coś z ciszy i powagi znamionujących głębokość i powściągliwość uczuć, a w samym rozpromienieniu, z jakim od ślubnego ołtarza odchodziła, czuć było skupienie się, rozmyślanie, wewnętrzną modlitwę, zdradzające naturę do surowości względem siebie i może do mistycyzmu usposobioną. Ktokolwiek jednak znał ją w owej porze życia, pamiętał, że cera jej twarzy przypominała kwitnące róże, a układ i mowa, jakkolwiek poważniejsze i powściągliwsze, niż powszechnie u kobiet jej wieku i położenia bywało, posiadały wiele uprzejmości i wdzięku zdradzając zarazem zdolność do szlachetnych uniesień i zapałów. Wiedzano powszechnie, że dzieliła wszystkie przekonania i dążenia swego męża. Żona demokracji i patriotki, była mu ona powiernicą, pomocnicą, współniczką, a jeżeli w pracy jego zbliżania się do ludu i zawiązywania z nim poufanych węzłów dopomagać mu nie mogła, nie wynikało to z pychy, wzgardliwości albo z kastowych przesądów, ale z zupełnej niezdolności do chwilowego choćby rozstania się z wykwintnymi formami, do cierpliwego znoszenia zjawisk życia grubych i trywialnych. Nikt lepiej i łatwiej od Andrzeja nie umiał zbliżyć się do serc prostych, nieoświeconych umysłów, nieokrzęsanych postaci ludzkich, i nikt do tej czynności od jego żony mniej zdolnym nie był. On, zakochany w niej i wybornie ją rozumiejący, z łatwością i wesoło jej to pობлаżał; ona zgryziona i upokorzona się czuła tym jedynym rozdźwiękiem, który w zupełnej skądinąd zgodzie ich panował. Chciała, usiłowała, pracowała nad sobą, walczyła z przyzwyczajeniami i najgłębszymi instynktami swymi — nie mogła. Wiele, wiele

Małżeństwo, Miłość

Dwór, Ogród

Dama, Pozycja społeczna,  
Żona

Duma

<sup>1</sup>ogród angielski — w przeciwieństwie do francuskiego, odznacza się swobodnym zadrzewieniem (bez regularnych alejek i strzyżonych drzew) oraz dążeniem do zachowania naturalności krajobrazu. [przypis redakcyjny]

razy wchodziła była do niskich chat z sercem pełnym życzliwych uczuć, z ustami drżącymi od cisnących się na nie słów i zawsze stawiała tam ze swą wspaniałą postawą i podniesioną głową, jak bogini, która w progi śmiertelnych wstąpić raczyła, z pozoru dumna i pogardliwa, w głębi rozpaczliwie zmieszana, co czynić i jak mówić niewiedząca, można, a wobec nie znanej sobie siły niedołężna, oświecona, a stojącej przed nią zagadki nierozumiejąca, pełna najprzyjaźniejszych uczuć, a drżąca od wstrętu obudzanego w niej przez prozaiczność, prostaczość i chropowatość gruntu na który wstąpiła. Ilekroć przemówiła — nie rozumiano jej, gdy do niej mówiono — nie rozumiała. Ogół ją pociągał, szczegóły raziły i odstręczały. Z nieprzewyciężoną odrazą spoglądała na brudne ciała, niezgrabną odzież, odymione ściany, zgrubiałe i wykrzywione kształty i rysy. W duszę tego wielkiego, zbiorowego zjawiska wierzyła i zrozumieć ją pragnęła, ale aby do jej powłoki końcem palca dotknąć, ciężko z sobą walczyć musiała. Machinalnie cofała się przed trochę rozsyanego na ziemi śmiecia, do choroby prawie dławily ją zapachy obór i stajen. Zdolna do zrozumienia najwznioślejszych abstrakcji i do namiętnego przeniknięcia się nimi, jak dziecię zdziwione i przelęknione stawiała wobec wszelkiej choć trochę suchej i twardej rzeczywistości życia. Wiedziała o tym, że z tych rzeczywistości: z faktów, z cyfr, z poziomych prac, splata się drabina wiodąca ku ideałom; ideały kochała i rozumiała, ale żadnego szczebla prowadzącej ku nim drabiny własnymi rękami upleść nie mogła. Przeszkadzała jej w tym niezmierna estetyczność i wykwinność przyzwyczajęń i smaku tudzież duma prawie bezwiedna, ale całą jej istotą rządząca — duma nie tyle wysoko urodzonej i bogatej kobiety, ile istoty czującej, że sercem, myślą, smakiem wzniosła się nad wszelką pospolitość, płochosć i prozę, że zdolna była do wielkiej czystości i podniosłości życia. Za dumę tę, nie rodową, nie majątkową, lecz raczej z idealistycznego pojmowania życia pochodzącą, do której jednak mimo jej woli i wiedzy mieszało się coś z arystokratyzmu rodu i majątku — karciała siebie nieraz, wyrzucała ją sobie i ze względu na jedyny rozdział, który ona stawiała pomiędzy nią a ukochanym przez nią człowiekiem i przez głęboką religijność, która wszystkich na ziemi ludzi miłością i pobożaniem ogarniać nakazywała. Jednak zniszczyć jej w sobie nie mogła — nie dlatego, aby była słaba i dla siebie pobłażliwa, ale może dlatego, że ta jej właściwość ściekla w nią razem z krwią wielu pokoleń, a utrwaliła się w atmosferze komfortu, poezji, wyniesienia się nad wszystkie powszednie sprawy i roboty życia, która napelniała jej dom rodzinny, otaczała ją ze wszystkich stron, gdy z dziecka wznosiła się i dojrzewała. Potem, kiedy Andrzeja nie było już na ziemi, a krąg jej widzenia, stosunków, dążeń ogromnie zwęził się i zmalał, przyszła pod tym względem do zupełnej z samą sobą zgody. Powiedziała sobie, że jak ogień i woda, tak organizmy wyższe i niższe, istnienia poziome i wzniosłe pogodzić się z sobą nie mogą; że arystokracja ducha — polegająca na zamięłowaniu tego, co czyste i piękne, jest i być ma prawo, i że ona to może stanowi całą rację bytu ludzkości; że dla tego, co poniżej mozoli się, grzeszy i choćby z piękną duszą, ale w brzydkim ciele po świecie chodzi lub pełza litość i pobłażliwość mieć, w potrzebie pomoc nieść trzeba, ale spokoju swego, samotnych wlotów ducha, uszlachetnionych przywyknień i smaków w ofierze składać nie należy. Powiedziała to sobie i ze spokojnym już sumieniem, jak łabędź niepokalany, płynęła życiem wysoko, wysoko nad nizinami, po których zwijały się mrówki, skakały wróble i skrzeczały żaby, jednostajnie od pracowitych owadów, jak od płochych ptasząt i obłoconych płazów oddalona.

Nie była wcale słaba ani dla siebie pobłażliwa. Już z samej jej powierzchowności wyczytać było można energię nie wylewającą się na zewnątrz ruchliwością i czynami, lecz ku wewnętrznemu życiu zwróconą i w ścisłych korbach je trzymającą. Energia ta rozniecała w niej ogniska gorących uczuć, może nawet namiętności, ale zarazem zamykała je w formę spokojną, niby płomień w marmurowym naczyniu płonący. Kiedy w dwudziestym szóstym roku swego życia rozstawała się z ukochanym mężem i jedynego jej dziecka ojcem — niepewna czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczy — złośliwi utrzymywali, że usiłowała naśladować Spartanki<sup>2</sup> i inne tym podobne postacie i historie. W rzeczywistości nie naśladowała nikogo, zbyt silnie kochała, aby w chwili owej o jakichkolwiek dawnych historiach myśleć mogła. Może te dawne historie rządziły jej krwią i nerwami, ale wcale nie pamiętała o nich i sama sobą tylko była, gdy na owym piaszczystym wzgórzu —

<sup>2</sup>Spartanki — mieszkanki starożytnej Sparty; stały się symbolem surowych obyczajów, niezłomności i hartu. [przypis redakcyjny]



przez Jana Bohatyrowicza Justynie ukazywanym — wyprostowana, silna, z rozbłysłymi od zapalu oczami ramiona zarzuciła na szyję męża, mocno go pocałowała, a wnet z uścisku uwalniając, z uśmiechem wymówiła: „Jedź, jedź!” i kilka innych wyrazów dodała, których już nikt nie dosłyszał. Gdy odjechał, spomiędzy skupionej na wzgórzu gromadki nieco wyosobniona, dała jej przeciw hasło do wspólnej modlitwy. Ukłękła i głośno zaczęła:

— W imię Ojca i Syna...

Odmawiała modlitwę za podróżujących i w niebezpieczeństwie będących głośno, powoli, wyraźnie, czasem tylko na parę sekund milknąc, jak gdyby słuchając oddalającego się w głębie boru tętentu konia lub znad boru ku niebu wzlatających trelów słowika. Łzy wielkie i rzadkie jedna za drugą płynęły po jej policzkach, ale w jej głosie nie czuć było płaczu, wyprostowana kibić nie zachwiała się i nie zgięła ani na chwilę, nie wykrzywił się i nie zadrżał żaden rys twarzy. Potem raz przy dźwięku dzieciennego głosu zwiastującego straszną nowinę bezprzytomna padła na ziemię, ale dźwignąwszy się z parodniowej słabości, w której zdawało się, że rozum utraci, nigdy już więcej nie mdlała, nie wybuchła, świadomości i powściągliwości poruszeń i słów nie traciła. Taką też wróciła do rodzinnego domu swego. Na fizyczne cierpienia żadne nie uskarżała się nigdy jednak świeże jej przedtem rumieńce zniknęły bez śladu i na zawsze. Rozpaczy, płaczu jej nikt też nie widywał, ale i wesołego jej śmiechu nie słyszano też nigdy. Ceremonialnie uśmiechała się czasem do obcych, przyjaźnie do krewnych i domowników, czule i nieraz z głębokim uszczęśliwieniem do syna, ale nie śmiała się nigdy. Rażące to w niej nie było, bo w zupełnej harmonii zostawało z powagą i wyniosłością całej jej postaci. Znający ją od dzieciństwa wiedzieli zresztą, że wybuchliwej żywości i wesołości nie posiadała nigdy. Ludzi przeciw to usposobienie jej, skupione w sobie, trochę zimne i dumne, onieśmielało i odstręczało, a ona nie czyniła nic, aby ku sobie ich pociągnąć. Owszem, osamotnienie, w jakim żyła, zupełny wkoło niej brak wszelkiego gwaru i żywego ruchu wydawały się jej jakąś wysokością, na której stała nad pospolitymi duszami i istnieniami górując. Łatwiej też w ten sposób ukryć mogła cierpienia moralne, a może i fizyczne, które na jej twarzy od razu zgasiły rumieńce młodości i zdrowia, łatwiej uniknąć zawsze dla niej przykrych zetknięć ze wszelką pospolitością lub brzydotą, łatwiej pogрузić się bez podziału i przerwy w ulubionych zajęciach i tym trybie życia, który od razu i jak się pokazało, na zawsze sobie wybrała.

Jakie były te zajęcia i ten tryb życia przez dwadzieścia trzy lata pustelniczego prawie jej przebywania w wielkim dwupiętrowym, murowanym domu osowieckim? Można to było odgadnąć z najbliższego jej otoczenia, gdy w południowych godzinach dnia sierpniowego siedziała ona u wielkiego okna w głębokim fotelu i ręce z robotą na kolana opuściwszy, wzrokiem zamyślonym po zielonych głębiach ogrodu i parku wodziła.

Był to pokój na górnym piętrze znajdujący się, rogowy, z dwoma oknami na istotne morze ogrodowej zieloności wychodzącymi. Wysokość sufitu i prawie okrągły kształt pokoju nadawał mu pozór kaplicy, a wrażenie to wzmagало okrywające ściany stare obicie, w wielu miejscach spłowiałe, ale jeszcze błękitne i złożonymi gwiazdami usiane, zarówno jak znaczna ilość wiszących na ścianach malowideł i w przyćmionym rogu pokoju wznoszący się przed klęcznikiem wielki czarny krucyfiks. Klęcznik był z cennego drzewa, pięknymi rzeźbami okryty; od ciężkiego, czarnego krzyża odbijała białością kunsztownie ze słoniowej kości wykonana postać ukrzyżowanego Chrystusa. Zresztą, oprócz tego krucyfiks i leżącej na klęczniku bogato oprawnej książki do nabożeństwa świętości żadnych tu nie było. Na ścianach, z wyjątkiem kilku starych portretów i jednego daleko świeższego, który nad ozdobnym kominkiem umieszczony przedstawiał Andrzeja w porze najpełniejszego rozkwitu jego męskiej piękności, powtarzała się wciąż w ramach małych i dużych, rzeźbionych, złożonych, aksamitem oklejonych twarz jedna, dziecinna, pacholęca, młodzieńcza, męska, w różnych porach życia i usposobienia fotografowana, rysowana, szkicowana, malowana twarz Zygmunta. Wizerunek męża pani Andrzejowa posiadała jeden tylko, na żądanie jej w parę lat po ich pobraniu się gdzieś daleko stąd przez jakiegoś biegłego malarza mistrzowsko wykonany; portretów syna różnych rozmiarów i różnego rodzaju miała ze dwadzieścia. Daleko jeszcze więcej znajdowało się tu robót jego, od pierwszych dzieciennych prób ołówka do szkiców, studiów, kopii, które w różnych porach życia rzucał na papier i płótno. Było to małe muzeum z niezmierną troskliwością zgromadzone i które by każdemu bystremu oku istotę i historię jej syna

opowiedzieć mogło. Takież samo zamięrowanie w zgromadzeniu pamiątek objawiało całe umeblowanie pokoju, które składało się ze sprzętów cennych i wytwornych, ale nienowych i niemodnych.

Inne części tego domu starannie i wymyślnie odnowiono i przybrano przed ożenieniem się Zygmunta; sąsiedzi nawet złośliwie szeptali, że na te różne odnawiania, ozdabiania, przerabiania użyta została znaczna część posagowej sumy jego żony. Nikt się temu zresztą bardzo nie dziwił, bo powszechnie wiedziano o wysokim estetycznym wykształceniu i nader wymyślnych gustach młodego Korczyńskiego, zarówno jak o szerokich kolidacjach i świetnej edukacji kobiety, którą zaślubiał. Ale w pokojach pani Andrzejowej nie zmieniono nic. W domu należącym niegdyś do jej męża od dawna mieszkali ludzie obcy, ale część sprzętów, które ją tam otaczały, znacznym trudem i kosztem przez nią nabyta i teraz znajdowała się wkoło niej. Były to przed trzydziestu laty używane, lśniące włosienicą lub spłowiałym dziś adamaszkiem<sup>3</sup> obite kanapy i fotele, męskie biurko z cennego drzewa, piękna szafa napelciona książkami w zniszczonych oprawach. Jednak pomimo tej czci pamiątek znac tu było także żywe zajmowanie się i terażniejszością. Mnóstwo dzienników i nowych książek napelniało stoły i nosiło na sobie ślady pilnego ich czytania. Długie godziny, całe dni czasem schodziły pani Andrzejowej na przypatrywaniu się za pośrednictwem druku różnym społecznym drogom i przemianom, na ściganiu okiem nowych strumieni myśli i prac tego ogółu, o który troszczyć się przywykła była niegdyś wraz z ukochanym człowiekiem. Tu i ówdzie na ścianach i stołach rozrzucone wizerunki współczesnych pracowników: niejakiej sławy myślicieli, artystów i pisarzy krajowych, więcej jeszcze przekonywały, że znała i wielbiła tych wszystkich, którzy temu samemu bóstwu, na którego ołtarzu zgorzał Andrzej, choć innymi niż on sposoby, ofiarę z życia swego składali. Przed głębokim fotelem u okna wielki, głęboki kosz pełen był płócien i wełnianych materii, których część i teraz z igłą i innymi przyrządami do szycia na kolanach pani Andrzejowej spoczywała. W godzinach pozostających od czytania szyła odzież dla rodzin ubogich, na których widywanie zdobywała się bardzo rzadko, ale o których przez domowników swych zgromadzała liczne i dokładne wiadomości. Pajęcznych robótek i ładnych drobiażdżków nie wykonywała nigdy, ale zręcznie i przemyślnie własnymi rękami sporządzała znaczne ilości różnorodnej niewykwintnej odzieży, która wiele istot ludzkich osłaniała przed udręczeniem chłodu i wstydem łachmanów.

Dama, Opieka

Tak jej zeszło lat dwadzieścia trzy, na których tle jednostajnym uwypuklało się kilka momentów stanowczych, do pewnego stopnia rozstrzygających o całej przyszłości jej i jej syna. Przed osiemnastu mniej więcej laty w tym samym pokoju stoczyła była z bratem zmarłego męża rozmowę długą i burzliwą, która o mało nie nadwężyła na zawsze panującej w ich stosunkach zgody i przyjacielskiej poufałości. Prawny i przyrodzony opiekun małoletniego bratanka, Benedykt Korczyński, często podówczas był w Osowcach. Młody jeszcze w porze owej i niedawno ożeniony, dotkliwie już jednak uczuwać zaczynał ciernie ogólnego i swego życia, w kłopoty różne popadał, grubiał, posepniał. Niemniej, w rządach majątku bratowej czynny przyjmował udział, tym czynniejszy, że ona po szczerze i gorliwie przedsiębranych w tym kierunku próbach zadaniu temu podołać nie mogąc, w imię sieroty po bracie pomocy jego zażądała. Z gospodarstwem i interesami dziedziczka Osowiec doświadczyła tych samych do zwalczania niepodobnych trudności, którym uległa wprzód wobec jednego z pełnionych przez jej męża zadań społecznych. Jak tam, tak i tu zetknięcie się z ludzką ciemnotą i nieokrzesanością okazało się konieczne, a tak dla niej przykre, że do zniesienia prawie niepodobne. Rachunki, procesy, gospodarskie prace i plany w żelazne jakby kajdany ujmowały myśli jej i uczucia. Bezwiednie, pomimo nawet najsilniejszego panowania nad sobą, słuchając sprawozdań rządcy przypatrywać się zaczynała malowniczym grom światła w zielonych gęstwinach parku, uchem ścigała melodię wiecznie wyśpiewywaną przez przebiegającą go rzeczka, rozmyślać nad świeżo przeczytaną książką, wspominać jakąś rozmowę, swawolę, słowo, uśmiech małego Zygmunta. Gdyby szło o nią tylko, o nią jedną, wołałaby o wiele poprzestać na najskromniejszej mierności niż troszczyć się o materialne zyski lub straty. Do pewnego stopnia troski takie wydawały się jej nawet obniżającymi godność i wartość człowieka. Do ascetyzmu

<sup>3</sup>adamaszek — gruba, wzorzysta tkanina jedwabna; zwana tak od Damaszku, gdzie ją początkowo wyrabiano. [przypis redakcyjny]

skłonna, zbytków żadnych nie pragnęła i nie używała, żałobne jej suknie kosztowały niewiele, stare sprzęty były jej najmilsze, próbując samą siebie przekonała się nieraz, że przez czas długi poprzestawać mogła na pożywieniu najgrubszym i najszczuplej wymierzonym. Nieraz chęć życia w dobrowolnym, surowym ubóstwie przybierała w niej rozmiary gorącej żądz. Wobec skarbu serca, który utraciła i o którym nigdy zapomnieć nie mogła, bogactwa materialne wydawały się jej marnością, po którą schylać się nie było warto, wobec zapałów i poświęceń, których była świadkiem i w których udział wzięła, dbanie o wygodę, zbytki poczytywała za poniżenie moralne, co najmniej za płytkość i pospolitość wobec publicznych nieszczęść i nędz, którym ze swej pustelni przypatrywała się chciwie i z bólem, dogadzanie zachciankom własnym i zgromadzanie środków, które je czynią możliwym, stawało przed nią w postaci wstydu i grzechu. Ale nie była sama. Rozumiała dobrze, że dla dobra syna, dla tej przyszłości jego, o której w ciche, szare godziny dziwne dziwy roić lubiła, powinna była przechować w całości to jedno przynajmniej dziedzictwo, skoro drugie, ojcowskie, na zawsze i nieodwołalnie stracone dlań zostało. Znowu więc pracowała nad sobą, walczyła, przewyciężyć usiłowała przyzwyczajenia swe i najgłębsze instynkty, i znowu — nie mogła.

Na szczęście brat męża przychodził jej z pomocą, którą z wdzięcznością przyjmowała, w inną jednak sprawę, stokroć w jej oczach ważniejszą i sercu jej bliższą, mieszania się jego dopuścić nie chcąc. Benedykt podobny był w tym wypadku do ostrożnego i lękliwego strategika, który po wiele razy i z wielu stron ku obozowi nieprzyjacielskiemu z wojskiem swym podjeżdża, nim bitwę stanowczą wydać postanowi. Dla bratowej miał on szacunek rzetelny i onieśmielał go do niej układ jej pomimo przyjaznych z nim stosunków zawsze nieco dumny i chłodny. Więc po wiele razy o małym Zygmuncie mówić z nią zaczynał, to i owo do zrozumienia jej dawał, na myśl nasunąć usiłował, ale ona zdawała się nie słyszeć go lub nie rozumieć. Na koniec dnia pewnego do tego samego pokoju wszedł więcej niż kiedy zasępiiony i pociągając wąsa, który już wtedy długi i w dół opadający twarzy jego nadawał wyraz wiecznego zmartwienia, oświadczył, że zamierza otwarcie i bez ogródek o małym synowcu z bratową pomówić. Zapytała go co by jej dziecku miał do zarzucenia? Odpowiedział, że wyrasta ono na francuskiego markiza, nie na polskiego obywatela, na panienkę, nie na mężczyznę.

Przed panią Andrzeją stał właśnie na stole pięknie wykonany i oprawiony portret dwunastoletniego chłopca w stroju francuskim zeszłego stulecia z aksamitu i koronek złożonym, z opadającymi na plecy strugami ufryzowanych włosów. Dziecko było istotnie bardzo ładne, delikatne i w malowniczym ubraniu swym wyglądało na książątka. Oczy matki i stryja zbiegły się na tym portrecie, pierwsze wyrażały miłość i uszczęśliwienie, drugie — lekceważenie i zgryzotę. Z lekceważeniem i zgryzotą Benedykt mówił dalej, że panicza tego na przechadzkach guwerner za rękę prowadzi, pilnie go strzegąc od widoku i poznania wszelkiej rzeczy do świata tego należącej, że jest on fizycznie za mało na wiek swój rozwinięty, w gustach wybredny, z otaczającymi często despotyczny i wzgardliwy, że na koniec, jako jedyny środek nadania mu hartu ciała, trzeźwiejszego kierunku umysłowego i przyzwyczajęń lepszych, pan Benedykt doradza oddanie go do szkół publicznych. Wtedy pani Andrzejowa w całej wysokości swej powstała i nie tylko stanowczo, ale z oburzeniem oświadczyła, że nie uczyni tego nigdy. Ona, ona miałaby jedyne dziecko swoje zmieszać z tłumem pełnym najpoziomszych, a może i najbrudniejszych instynktów, zwyczajów, pojęć, wystawić je na niebezpieczeństwo zarażenia się pospolitością, prostactwem, może nawet panującą na świecie gonitwą za zyskiem, karierą, grubym materialnym użyciem! Nie gardzi ona tłumem, owszem, namiętnie pragnie doskonalenia się jego i szczęścia, ale dążeniem jej i celem życia jest to, aby syn jej był nad tłum wyższy, czystszy, doskonalszy. Tam rosną i na los szczęścia kształcą się prości szeregowcy, on, wzorem ojca, stać się powinien wodzem, w tym znaczeniu wodzem, iż kiedyś, w przyszłości, zaświeci tamtym wzorem wzniosłych uczuć i myśli, a może także i natchnionych przez nie czynów. On, przy jej boku, pod jej czuwającym okiem, wrócić musi czysty od wszelkiej moralnej skazy, z duszą tak wybredną, aby wszelki cień brzydoty i pospolitości wstrętem ją napełniał. Umysłowego wychowania jego przecież nie zaniedbuje, drogo opłacani nauczyciele uczą go mnóstwa rzeczy, a z czasem, gdy dorośnie, wyjedzie w świat po wyższą jeszcze naukę, ale tymczasem w dziecińczych i pacholących latach, atmosfera czystości moralnej i estetycznego piękna otaczać go nie przestanie. Ten

zbytek w otoczeniu i stroju, który tak bardzo razi jego stryja, jest tylko środkiem do nadawania mu tych wytwornych przywyknień ciała i ducha, które przez całe już następne życie chronić go będą od wszelkich nawet pokuszeń ku złemu, będącemu zawsze fizyczną albo moralną szpetotą. Od tego wychowawczego planu, od tych względem syna postanowień nie odwołują jej żadne rady lub upomnienia dlatego też życzy sobie ona i prosi, aby ją nimi więcej nie niepokojono.

Benedykt zrozumiał, że wszelkie dalsze próby w tym kierunku pozostałyby nadaremne. To, co usłyszał, nie było kaprysem lekkomyślnej wietrznicy ani deklamacją rozromansowanej gęsi, ale przekonaniem i wolą kobiety myślącej i energicznej. Był to plan obmyślany, wyrozumowany, podstawy swe mający w najgłębszych właściwościach umysłu i charakteru tej kobiety, w samej niejako treści własnego jej życia. Ile do rozumowań mieszało się w tym planie dumy spoglądającej wiecznie ku szczytom dla tłumów niedosięglą i spomiędzy nich wyosobnioną, nie zdawała ona z tego przed sobą dokładnej sprawy, jakkolwiek wiedziała o tym, że jest dumna, wzniosłymi pobudkami cechę tę swoją nie tylko usprawiedliwiając, lecz ją w sobie wysoko ceniąc. Kiedy Benedykt upierając się jeszcze mówić zaczął o tej właśnie dumie, którą tak przedwcześnie objawiać zaczynał mały Zygmunt, odpowiedziała, że pielegnować jej w nim nie przestanie, bo z czasem stać się mu ona może puklerzem przeciw wszelkiemu poniżeniu się i bodźcem ku coraz wyższemu życiu. Benedykt w ziemię patrzył, węża w dół pociągał i chmurny, niezadowolony, lecz bezsilny, opuścił ten pokój do kaplicy podobny, w którym niedługo potem odegrać się miała jedna ze stanowczych scen życia jego właścicielki.

Bardzo samotne i jednostajne życie prowadząc, pustelnicą zupełną pani Andrzejowa zostać nie mogła. Kiedy niekiedy odwiedzano ją, tu i ówdzie ukazywała się w domach krewnych i sąsiadów. Rzeczą więc było nie tylko naturalną, ale nieuniknioną, że raz ktoś zapragnął posiąść serce jej i rękę. I dlatego tylko wydarzyło się to raz jeden, że sposób jej życia i obejścia się zrażały do niej usposobienia płochę i odbierały nadzieję najśmielszym. Tym razem człowiek świeżo w okolice te przybyły, więc nieuprzedzony, poważny, nieskazitelny, równe jej położenie w świecie zajmujący, coraz częściej samotne Osowce nawiedzać zaczął, gorącą cześć i sympatię właścicielce ich okazując. Zamiary, które względem niej żywił, najbliższym jej krewnym powierzył, o wstawienie się ich i pomoc jak o łaskę największą prosząc. Wtedy cichy ten zawsze pokój stał się miejscem częstych rodzinnych zebrań, narad, namów, perswazji. Nikt prawie zrozumieć tego nie mógł, aby kobieta podówczas trzydziestoletnia, piękna, majątna zagrzebać się miała żywcem w żalobnym prochu wspomnień, wyrzec się na zawsze realnych i każdemu, zda się, niezbędnych uczuć i uciech życia. Nawet rodzina zmarłego Andrzeja nie tylko tego całopalenia od niej nie wymagała, lecz ją od niego wszelkimi siłami odciągała. Ruchliwa i we wszystko mieszająca się Darzecka za swatostwami przepadała zawsze. Benedykt miał nadzieję, że wykształcony i z prawości swej znany ojczym zgodniej z własnymi jego wyobrażeniami wychowaniem Zygmunta pokieruje. Przyjeżdżano więc do Osowiec, namawiano, rozprowadano o cnotach i zaletach konkurenta, o jego szczerych i gorących dla młodej wdowy uczuciach. Ale najwymowniejszym ze swatów było jej własne serce, które za rozkochanym w niej człowiekiem przemawiało goręcej niżby ona spodziewać się albo nawet przedtem przypuszczać mogła. Pomimo woli przy zbliżeniu się jego uczuwała, że nie jest abstrakcyjną formułą niewieściej cnoty, ale człowiekiem zmuszonym do doświadczania ludzkich pociągów i pokus. Pomimo woli odzywała się w niej żądza jakby zmartwychpowstania, jakby otrząśnięcia z siebie mogiłnych prochów i wyjścia na świat słoneczny, pomiędzy kwiaty. Nęcić ją zaczęła myśl posiadania obok siebie rozumnego i kochającego towarzysza wszystkich chwil życia, tęsknota za ciepłem rodzinnego ogniska, jak smutna lilia o kroplę rosy błagająca, wyrastała z grobu, dotąd samotnie i niewzruszenie wznoszącego się na dnie jej serca. Przyszła na koniec chwila, w której przyjaciele i doradcy ujrawszy ją słabą i wzruszoną wymogli na niej wahające się jeszcze i warunkowe słowo przyzwolenia. Odjechali, aby co prędzej radosną wieścią obdarzyć tego, kto na nią niecierpliwie i niespokojnie oczekiwał, ale zaraz po ich odjeździe w młodej kobiecie podniosła się burza gwałtownych i gorzkich uczuć. Dopóki rzecz była niepostanowiona i w dalekich zaledwie przypuszczeniach ukazująca się, dopóty wywierała na nią urok odpychany, ale często nieprzezwykłony. Teraz, gdy wnet życie jej rozłamać się miało na dwie połowy, pierwsza ta, która przeminęła, uderzyła ją w serce i oczy całym blaskiem drogich i świę-

Duma

Ciało, Dusza, Pokusa,  
Swaty, Wdowa, Wierność



tych wspomnień. Nigdy, nigdy tak jasno i dokładnie nie roztoczyły się przed nią dzień po dniu, godzina po godzinie lata jej pierwszej młodości i miłości, nigdy tak wyraźnie wyobrażnia jej nie odtwarzała postaci jej pierwszego i jedyne go kochanka i męża. Jakieś smutne szmery powstawały wkoło niej i napępniały samotny jej pokój, zdając się przynosić długie, wieczne pożegnania, nie wiedząc skąd, może z tej mogiły wznoszącej się w głębi boru, na którą teraz spadała mgła jesiennego deszczu i na której obraz w wyobraźni jej powstający spłynęły jej rześiste, gorące łzy. Nie, ona zapomnieć nie mogła ani wyrzucić z siebie tego, co tak głęboko zapadło w jej istotę i samo jedno dotąd ją wypełniało. Kiedy pomyślała, że wkrótce, prawie zaraz, kibić jej obejmą ramiona, a na ustach jej spoczną usta innego mężczyzny, że nowe obowiązki, a może i uroki życia do reszty rozerwą związek jej z tamtym i miłość dla niego, wspomnianie o nim uczynią prawie grzechem i zdradą, uczyła naprzód ból taki, jakby po raz drugi na wieki rozstawała się z Andrzejem, a potem zdjął ją niezmierny wstyd nad małością i słabością własną. Jak to! Dla pospolitych i przemijających rozkoszy, choćby dla trwalszych i wyższych, lecz zawsze samolubnych uciech, miałyby ona własnymi rękoma zdruzgotać ideał jedynej i wiecznie wiernej miłości, porwać nici pamięci wiążące ją z człowiekiem, który dla celów wysokich poświęcił życie, zdjąc z siebie nawet jego nazwisko, strzec się nawet jak zdrady westchnienia po nim! Jak to! Miałyby ona, jak najpospolitsza z niewiast, przerzucić się z jednych objęć w drugie, w jednym istnieniu do dwóch należeć, szczęście sobie zdobywać, gdy tamten życie nawet utracił! Tamtemu więc śmierć wczesna i przez wszystkich, nawet przez nią zapomniana mogiła, a jej wszystkie wdzięki i pomyślności życia! Któż pamięć o nim na ziemi przedłuży, jeżeli ona wyrzuci ją z siebie? Kto przyjmie udział w jego ofierze, jeżeli ona go się zrzeknie? Kto myśla przynajmniej, żalem, uwielbieniem towarzyszyć mu będzie w stronach ponurych, jeżeli ona w słoneczne, kwieciste odleci? Za samo przypuszczenie, że tak stać się mogło, za minutę słabości zmysłów i serca wstydziła się tak srodze, że gdyby była mogła, deptałaby siebie własnymi stopami, że z gwałtowniejszym niż kiedykolwiek wybuchem miłości dla Andrzeja upadła na twarz przed krucyfiksem, nie do Boga przecież, ale do kochanka o przebaczenie wołając. Bogato rozwinięte, piękne jej ciało wilo się u stóp czarnego krzyża w objęciach upokorzenia i skruchy, a dusza niby sztyletem niewysłowioną tęsknotą przebita, z takim natężeniem wszystkich sił wzbila się ku temu, za kim tęskniła, że wywołała jedną z tych wizji, którym organizmy ludzkie w wyjątkowych tylko stanach ciała i ducha ulegają. Była to halucynacja posiadająca dla niej wszystkie cechy dotykanej rzeczywistości. Ujrzała Andrzeja, spłynął ku niej z góry z krwawiącą się plamą na bladym czole i łagodnym ruchem przebaczenia czy tkliwej opieki nad głową jej dłoń wyciągnął. Widziała go wyraźnie, z doskonałą wypukłością kształtów i dokładnością linii. Milczał, ale ona do niego mówiła. Co i jak mówiła, nigdy tego przypomnieć sobie nie mogła, wiedziała tylko, że była to dla niej chwila niezmiernego zachwycenia, z której obudziła się smutniejsza, ale zarazem silniejsza niż kiedy i której powtórzenia się nigdy pragnąć nie przestała. Ale nie powtórzyła się ona nigdy, tak jak nie powtórzył się wypadek, który ją poprzedził. Umysł miała zbyt oświecony, aby nie rozumieć, że wizja, której doświadczyła, była złudzeniem zmysłów, przez wyjątkowy w chwili owej stan jej ciała i ducha sprowadzonym, niemniej pozostawiła w niej ona ślad niestarty i z upływem czasu pogłębiać się mający.

Na swój sposób i niezupełnie prawowiernie matka Zygmunta religijna jednak była głęboko i żarliwie. Zewnętrzne praktyki dopełniała rzadko, drobiażdżki noszące imię świętości: obrazki, posążki, poświęcane paciorki itp. wydawały się jej oznakami czci błahymi, nieestetycznymi, niegodnymi idei bóstwa. W zamian idea ta była jej nieskończone drogą i świętą, wiara w ideał doskonały i niedościgniony, w potęgę i dobroć najwyższą i opiekuńczą stanowiła niezbędną potrzebę jej duszy i nie tylko nie zachwiała się w niej nigdy, lecz w życiu pełnym samotnych rozmyślań i cierpień dościgła niezwykłej mocy. Wierzyła także w istnienie zagrobowe, bo niepodobnym jej się wydawało, aby duchy ludzkie jak zdmuchnięte świece gasnąć mogły i na zawsze bo myślała, że Twórca nie mógł daremnie dać stworzeniu swemu przeczcucia i pragnienia nieskończoności, z którego powstały wszystkie jego wielkie dążenia i dzieła. Wierzyła więc niezłomnie w zaświatowe istnienie Andrzeja i zrazu nieśmiało, potem z coraz żywszą nadzieją myślała, że kto wie, czy miłość jej trwałością i siłą swoją nie okupiła sobie prawa wnikięcia w krainę nieznaną i osiągnięcia tego, ku któremu od tak dawna wzbijała się bezustannym płomieniem

Mąż, Modlitwa, Wizja

Bóg, Miłość, Religia,  
Zaświaty

ofiary. Jak martwy przedmiot poruszać się zdaje przed oczami tego, kto się weń długo wpatruje, tak cel niedościgły, ale długo i wyłącznie myśli i uczucia człowieka na sobie skupiający, zdaje się ku niemu zstępować i przybliżać. Przez długie godziny klęcząc przed krzyżem, symbolem męczeństwa za ideę poniesionego, które w jej osobistym życiu tak stanowczą odegrało rolę, kobieta, która przez lat dwadzieścia kilka ani razu nie zdjęła z siebie żałobnego stroju, pomimo woli i wiedzy przemawiać nieraz zaczynała do tego, po kim strój ten nosiła. Przemawiała czasem z zupełną i dziwnie uszczęśliwiającą wiarą, a czasem tylko z nieśmiałą nadzieją, że jest przez niego słyszana. Nikt z ludzi nie słyszał tego, co ona mówiła i opowiadała jemu — nie tylko o sobie, ale i o tym, co on na ziemi najbardziej kochał i za co śmierć poniósł. Był to jedyny powiernik jej cierpień, tęsknot, pragnień, obaw i tego błysku szczęścia, który raz oświecił jej samotne, ciche, prawie klasztorne życie.

Niewiele potem, gdy przekonała siebie i innych, że ani przeszłości zapomnieć, ani w objęcia nowej, chociażby najpromienniejszej przyszłości rzucić się nie może, jeden z nauczycieli małego jej syna odkrył w nim talent malarski. Ile w tym odkryciu z triumfem matce oznajmionym było prawdy, a ile złudzenia lub może chęci przypodobania się pani domu, pani Andrzejowa o tym nie myślała. Od dzieciństwa w kierunku estetycznym starannie kształcona, grać i rysować umiejająca, nie posiadała przecież znajomości sztuk pięknych dość gruntownej, aby przez nią odkrycie to zgłębić i sprawdzić. Może zresztą sprawdzenie takie w stosunku do dwunastoletniego dziecka nie było możeżne. Od razu i niezłomnie uwierzyła w miłą sobie wiadomość, przyjęła ją nawet bez zdziwienia, jak coś, czego spodziewała się zawsze i co koniecznie stać się musiało. Zawsze i silnie przekonana była, że w synu jej i Andrzeja prędzej lub później objawić się musi jakaś zdolność nad pospolity poziom go wynosząca, jakaś niby iskra z krwi rodziców przez naturę wzięta i na jego czole w gwiazdę pierwszej wielkości rozniecona. W mniemaniu jej inaczej być nie mogło, syn jej i Andrzeja człowiekiem pospolitym, takim, jacy składają szare i bezimiennie tłumy, być nie mógł. Bez zdziwienia więc i uniesień, ale z wewnętrzną głęboką radością wieść o rodzącym się talencie Zygmunta przyjęła i odtąd całe otoczenie jego, wszystkie na niego wywierane wpływy, przedtem już pierwiastkami wykwiwintu i piękną przesycone, skierowane zostały ku rozwijaniu w nim estetycznych zdolności i gustów.

Pełne delikatnego wdzięku i wybujałych wymagań dziecko, w cieplarnianej atmosferze oowieckiego domu czy pałacu wzrastające i tak od otaczającego je świata oddalone, jakby mieszkańcem jego nigdy być nie miało, rwało się istotnie do ołówka, potem do pędzla, z niecierpliwością przypisywaną ognistemu temperamentowi, z fantastycznością za nieomylną oznakę geniuszu poczytywaną. Biegli i coraz kosztowniejsi nauczyciele wróżyli mu przyszłość wielkiego artysty, o której on słuchał z rozkoszą, każdy szczegół własnej osoby i codziennego życia tak wyjątkowy uczynić usiłując, jak wyjątkową być miała przypadająca mu w świecie rola wybrańca. Jak promienie słońca skupiają się w soczewce, tak wszystko, co go najbliższej otaczało, starania swe i uwielbienia skupiało na nim, i tak z kolei on własne swoje myśli i rojenia na samym sobie skupiał. Wszystko, co istniało poniżej tej wysokości, na której niedorostkiem jeszcze będąc w mniemaniu swoim stanął, wydawało mu się brzydkie, niegodne uwagi, nawet brudne i wstrętne. Nad sobą widział tylko przyszłego siebie. Był środkowym punktem świata dla wszystkich, których widywał, i dla samego siebie w oczekiwaniu, aż stanie się nim dla ludzkości, to jest dla tej specjalnej ludzkości, która ma gładką skórę na twarzy i rękach, estetyczne ubranie i zna się na sztukach pięknych. O innej słyszał wprawdzie i czytywał nieraz, ale nie żywił dla niej uczuć żadnych ani ujemnych, ani dodatnich. Po prostu nie myślał o niej, nie dbał o nią, nie istniała ona dla niego. W zamian rósł i dojrzewał w absolutnej pewności, że jest jednym z najdostojniejszych członków owej znanej mu i pokrewnej ludzkości i że w przyszłości stanie się jednym z jej ulubieńców i bożyszcz. Przyszłość ta błysnęła mu nieprędko, raz jednak błysnęła. Po wielu latach daleko od rodzinnego miejsca spędzonych, po długich studiach, długo niepomyślnymi tylko próbami wieńczonych, obraz przez niego wykonany wyróżnił się spośród wielu innych i ściągnął na siebie przychylną uwagę znawców. Właściwie, nie był to obraz, ale obrazek, rozmiarami drobny i z pomysłem dość pospolitym, ale w którego wykonaniu, pomimo niejakich usterek technicznych, czuć było pracowicie wybijającą się na wierzch zdolność. Pospolitość pomysłu i techniczne usterki krytykowano, lecz młodą zdolność przychylnie zachęcano do dalszej pracy. Powodzenie

Ambicja, Artysta, Dziecko

obrazka zwiększyła o wiele wiadomość, że malował go człowiek majątny, z bytem niezależnym i dość wysokim towarzyskim stanowiskiem. Spodem płynęły szeptu mniej lub więcej wiernie historię jego ojca opowiadające. To i drugie sztucznie wyduło rozgłos imienia młodego malarza i pierwszej roboty, z którą popisywał się on publicznie. Ale ani on sam, ani jego matka o sztuczności tej nie wiedzieli nic, a pochwały i zachęty raz jeszcze w ich umysłach sztucznemu wyduciu i powiększeniu uległy. Dla pani Andrzejewej była to chwila prawie upajającego szczęścia. Ziściły się jej najgorętsze pragnienia. Z ekstazą prawie myślała, że na tym samym ołtarzu, na którym zgorzał Andrzej, syn jego składać będzie ofiary geniuszu i pracy. Będzie on, wspólnie z garstką wybranych, światłem roznieconym w ciemnościach, chlubą poniżonych, świadectwem życia pozornie umarłym. Jego natchnienia utworzą jedną z desek ratunkowego mostu nad przepaściami unicestwienia i zguby, wytworzą jedną z cegieł do budowania arki, która płomień życia przenosi na drugą stronę gaszącej go powodzi. Ta myśl panowała w niej nad wszystkimi innymi. W okazywaniu uczuć swoich jak zwykle powściągliwa, w głębi szalała prawie z radości i dumy. Na powierzchowność jej wybiło się to promiennością cichą, ale stałą. Częściej niż wprzód ukazywała się pośród ludzi, żadna może usłyszenia tego, co o jej synu mówiono, a może w radości swej większy do nich pociąg czująca. Ale w długie zimowe wieczory przy świetle lampy obszerny i wysoki pokój oświetlającej albo w letnie gwiazdziste noce, od których przez otwarte okna płynęły do tego pokoju potoki szmerów i woni, dłuższe niż kiedy godziny spędzała przed czarnym krzyżem na klęczkach. Bogato oprawnej książki na klęczniku spoczywającej nie otwierała prawie nigdy, ale z ust jej płynęły natchnione słowa dziękczynienia i błagania. Tyle lat w tym miejscu z zamkniętego przed światem swego serca wylewała tyle łez i skarg. Teraz o szczęściu i nadziejach swoich opowiadała duchowi Andrzeja, w którego związek z własnym duchem w miarę upływającego czasu wierzyła coraz mocniej.

Duch

Działo się to przed czterema laty. Dziś prawie pięćdziesięcioletnia, pani Andrzejowa wyglądała na daleko młodszą niż była. Kibić jej, zawsze okazała, w ostatnich latach wypełniła się jeszcze i zmęźniała biła z niej niepospolita siła i powaga. W wielkiej czystości i regularności prawie zakonnego życia niby w krynicznej wodzie, blada jej cera zachowała delikatność i gładkość, drobnymi zmarszczkami gdzieniegdzie tylko mąconą. W pięknym pokoju, któremu kształt okrągły i ściany obrazami okryte nadawały pozór kaplicy, na tle wielkiego okna, za którym rozlewało się morze zieleni, opłynięta ciężkimi fałdami żałobnej sukni, przedstawiała postać malowniczą i szanowną. Regularny jej profil ocieniały koronki czarnego czepka i dwa gładkie pasma złotawych włosów, z rzadka jeszcze srebrnymi nićmi przetkanych. Piękne, białe ręce na zwoje grubego płótna opuściła, w samotności nawet, gdy była bezczynna, zachowywała najcharakterystyczniejszą cechę swojej powierzchowności, głowę miała podniesioną i spuszczone powieki.

Jednak w wyrazie tej niemłodej, lecz pięknej i szlachetnej twarzy niewieściej nie widać teraz było ani szczęścia, ani spokoju. Cicha promiennność, która ją przed czterema laty okrywała, bez śladu znikła. Zamyślenie jej nie było pogodną kontemplacją rzeczy miłych i pomyślnych, lecz niespokojną zadumą nad czymś niezrozumiałym i groźnym. Parę razy dłonią po czole powiodła, westchnęła, z piersi wydała dźwięk do cichego okrzyku zdziwienia podobny, palce jej szybkim, nerwowym ruchem kłuły igłą grubą tkaninę kolana jej okrywającą. Nie wyglądała na kogoś, w kogo by już uderzył cios bolesny i wszystkie jego nadzieje rujnujący, ale na kogoś, kto możliwość takiego ciosu jeszcze z daleka spostrzega i przyczyny jego odgadnąć usiłuje. Od dwóch lat zresztą, prawie od czasu gdy Zygmunt ożeniony do Osowiec wrócił i stał w nich zamieszkał, obcy nawet ludzie ten niepokój i gryząca, choć żadnym słowem nigdy nie wyjawioną troskę w niej spostrzegali.

Przed kwadransem zobaczyła była przez okna młodą parę ludzi ścieżkami parku dążącą ku owej łące ujętej w trójkąt dwóch rzek i wzdymającej się łańcuchem małych, sztucznych pagórków. Miejsce to stanowiło przed paru miesiącami ulubiony cel przechadzek jej syna, rozpoczął on był w nim archeologiczne poszukiwania, które przez tygodni kilka gorączkowo niemal go zajmowały. Teraz szedł tam znowu w wykwintnym letnim ubraniu, które czyniło go podobnym do obrazka z żurnalu mód wyciętego, z giętką laską w ręku, z twarzą ocienioną szerokimi brzegami fantastycznego nieco kapelusza. Pod jednym ramieniem trzymał sporą tekę rysunkową, u drugiego zwieszała się mała, przedziwnie zgrabna, w lekką, jasną tkaninę ustrojona kobieta. Twarzy tych dwojga ludzi pani An-

Mąż, Żona

drzejowa nie dostrzegając, ile razy przecież wychyliwszy się zza zieleni drzew przebywali widną część ścieżki lub trawnika, widziała dokładnie, że młodzianka kobieta tuliła się do boku męża, strojną głowę ku niemu podnosiła, szczebiocząc, przymilając się, wszystkimi, zda się, siłami serca i wdzięków usiłując niby iskrę z krzemienia wykrzesać z niego jedno słowo serdeczne lub jedno wesołe spojrzenie, on zaś szedł obok niej mierzonym krokiem salonowca, może znudzony, może roztargniony, co pewna, to że milczący i obojętny. Tak przeszli część parku, przepychem starannie uprawianej roślinności otoczeni, blaskiem letniego słońca oblani, lecz dla troskliwie śledzącego ich oka ani szczęśliwi, ani nawet spokojni aż na jednym z białych mostków, wdzięcznie nad szemrzącą rzeczulką zawieszonych, Klotylda gwałtownym ruchem wysunęła rękę spod ramienia męża i na chwilę gestem gniewu czy żalu obie ręce do oczu podniósłszy, szybkim biegiem puściła się ku domowi. On nie oglądając się i kroku nie zmieniając poszedł dalej, w przeciwną stronę, ku wiodącej na łąkę ogrodowej furtce. Jediną oznaką wzruszenia, którego doznał, było parokrotne ćwiknięcie giętką laseczką rosnących przy ścieżce krzewów. Wkrótce zniknął za gęstym klombem akacji. Klotylda zaś biegła wciąż po trawnikach i ścieżkach parku, do bladuróżowej chmurki podobna. Parę razy stanęła i obejrzała się, jakby miała nadzieję, że ten, z którym rozstała się przed chwilą, obejrzy się także za nią lub ją ku sobie przywoła. Za każdym jednak razem czyniła ręką gest zniechęcenia czy oburzenia, aż przystanąwszy u wspaniale pośród trawnika wyrastającego modrzewia, czoło o gruby pień jego oparła i po ruchach jej pleców poznać można było, że gwałtownie zapłakała. Potem, jak rozżalone dziecko wstrzymując nerwowe drgania rozognionej twarzy, skręciła w ciemną aleję wprost już ku jednym z wchodowych drzwi domu prowadzącą. Potem pani Andrzejowa usłyszała lekkie kroki synowej przebiegające szybko wschody i parę salonów potem jeszcze drzwi jakieś zamknęły się ze stukiem zdradzającym rękę rozgniewaną albo zrozpaczoną — i wszystko ucichło.

Tak było od dawna, więcej niż od roku, tak było ciągle. Dlaczego? Nieskończoną już ilość razy pani Andrzejowa zadawała sobie to pytanie, ale głośno nie wymówiła go jeszcze ani razu. Po wielokroć już chciała iść do niej, do niego, zapytywać, zwierzenia wywołać, może coś poradzić i czemuś zapobiec, ale powstrzymywała się zawsze. Widziała, czuła ranę życia tych dwojga ludzi, a lękała się jej dotknąć przez obawę sroższego jej zaognienia, przez delikatność uczuć szanującą uczucia i tajemnice choćby własnego dziecka. I teraz także powstała, zwróciła się ku drzwiom prowadzącym do salonów rozdzielających jej pokój z pokojem młodej synowej, ale wnet przy stole książkami i dziennikami spiętrzoną stanęła. Był to okrągły stół pośrodku pokoju umieszczony i fotelami staroświeckiego kształtu otoczony. Pośród książek i dzienników stała tam pięknie oprawiona, dość duża fotografia Zygmunta, przedstawiająca go w tej jeszcze porze życia, gdy dwudziestopięcioletnim młodzieńcem przebywał on w stolicy sztuki malarskiej, w Monachium. Wizerunek ten był jednym z ustępów jego życia, które rysowane, malowane, fotografowane napełniały pokój jego matki. W postawie trochę niedbałej, a trochę wyszukanej, wsparty o zrąb kolumny, ukazywał on twarz młodzieńczą, z rysami dość pięknymi, bez uśmiechu, bez ognia w spojrzeniu, z kapryśnym zagięciem warg cienkich i elegancko zaostrozonym wąsem ozdobionych. Z samego układu stóp jego u dołu kolumny skrzyżowanych można było wyczytać, że z uczuciem własnej wyższości nad wszystkim, co było na ziemi, opierał je o ziemię. Pani Andrzejowa splecione ręce na stół opuściła i długo wpatrywała się w ten portret syna, który przed sześciu laty wzbudzał w niej doskonale zachwycenie i wzniecał cudowne nadzieje. Dziś nagle w tych ściągłych, ładnych rysach dostrzegła chłód i uderzył ją wyraz kaprysu te wargi otaczający. Uczyniła ręką ruch taki, jakby natrętą marę nie wiedzieć skąd zjawiającą się przed nią odegnać chciała. Ale ta mara wysuwała się nie z próżni urojenia, lecz z długich spostrzeżeń i uwag, które od czasu stałego osiedlenia się w Osowcach Zygmunta na kształt roju ostrych żudeł kąsały jej duszę. Oslupiałymi oczami wpatrywała się wciąż w portret.

„Nie kocha jej! po dwóch latach małżeństwa już jej nie kocha! Czy on naprawdę kogokolwiek i cokolwiek kocha?”

Pytanie to dla tej kobiety, która sama tak niezmiernie i wiernie kochać umiała, posiadało wagę ogromną. Mieszcząca się w nim wątpliwość była dla niej taką wątpliwością, którą ludzie odczuwają u śmiertelnego łoża swoich najdroższych. Nie z większą boleścią nad złożonym ciężką chorobą synem zapytywałyby siebie: „Wyżyje czy nie wyżyje?” Ona

Miłość, Trup

widziała ludzi umierających z wielkich miłości i czciła ich jak świętych, człowiek bez miłości, choćby małych, powszednich, wydawał się jej trupem.

Wzrok podniosła na jedną ze ścian w połowie prawie okrytych rysunkami i malowidłami syna w różnych porach życia jego wykonanymi. Widokiem tym chciała może upewnić siebie, że posiada on nie tylko to, co poczytywała ona za życie człowieka, ale i to, co jest życia płomieniem i skrzydłami. Artystą był przecież, kochał sztukę! Ale to, na co patrzyła, było tylko pacholęcymi próbami, tu, przy tym stole, pod jej okiem dokonywanymi. Gdzieniedzie zaledwie, wśród tych dziecinnych prawie zabawek, ukazywały się roboty dojrzalszego wieku z dalekich krajów przesłane lub przywiezione: jakaś główka kobieca, jakieś studium martwej natury, jakiś drobny pejzażyk z niewolniczą wiernością z kawałka obcej ziemi zdjęty. Drobnostki zdradzające blade wyobraźni i wielkie wysilenia nierozgrzanej ręki. Nicość pomysłów, mozolność, a przecież i niedokładność wykonania, żadnego śmiałego rzutu myśli ani oryginalnego uderzenia pędzla — nic osobliwego. I było to już wszystko, oprócz tego jednego obrazka, który przed czterema laty skrzesał nad jego głową pierwszy promyk sławy. Drugi po nim nie przybył — i nawet nie zaświtał. Dlaczego? Nie byłżeby on naprawdę artystą?

Spokojną zwykle tę twarz kobiecą wykrzywił strach i ból, blade jej czoło zarumieniło się pod uderzającą w nie falą krwi, białe ręce kurczowo ścisnęły kartę rozwartego na stole dziennika. Widać było, że twierdzące odpowiedzi na pytania, które jak przeraźliwe błyskawice umysł jej przerznęły, byłyby dla niej gromem...

W pełni słonecznego blasku, który tego dnia sierpniowego świetny, ale łagodny spływał z nieba bez skazy, suchą i niedawno skoszoną łąką szedł Zygmunt Korczyński. Równinę, jak okiem sięgnąć szeroką a jak szmaragd zieloną, przepasywały dwie wstęgi rzek zbiegających się ze sobą na dalekim punkcie firmamentu, a usiewały grupy drzew i krzewiastych zarośli, które tę łąkę czyniły podobną do parku rozległego, zasadzonego ręką przez bujną fantazję kierowaną. Pełno tu było blasków i zmroków, rozłożonych na trawach misternych rysunków cieni, złotych deszczów pomiędzy liśćmi, światła w różnym stopniu natężenia, szczebiotu ptactwa, metalicznego brzęczenia owadów, aromatycznych woni bijących w powietrze nabierające już kryształowej przejrzystości zbliżającego się początku jesieni. Pośród tego wszystkiego Zygmunt postępował mierzonym krokiem doskonale przyzwoitego człowieka, który z przyzwyczajenia i z umysłu w zupełnej nawet samotności nie rozstaje się z umiarkowaniem i gracją poruszeń. Szedł coraz powolniej, a gdy w żurnalowym ubraniu, obcisłym i kosztownym, w płytkim obuwiu, które poly skiwało na słońcu, i ukazujących się zza niego cielistych kamaszach, spod mrużącej się trochę wzgardliwie powieki dokoła spoglądał, każdy wziąć by go musiał za turystę zwiedzającego ziemię obcą i ukazującą się mu w postaci bardzo ubogiej albo za mieszkańca wielkiego miasta wypadkiem pośród natury dzikiej i nieznanej zabląkanego.

Teka, którą niósł pod ramieniem, zdradzała intencje rysowania. Istotnie, przed kilku dniami spostrzegł tu był o tej samej godzinie w pewnej grupie olch pewne rysunki gałęzi i efekty światła stworzone jakby ku rozkoszy i natchnieniu pejzażysty. Zbyt długo uczył się sztuki malarskiej, zbyt wyłącznie skierowywał ku niej marzenia i ambicje swoje, by mógł nie być zdolny do spostrzeżenia pięknego zjawiska natury i poświęcenia mu choćby chwil kilku uwagi. Dziś właśnie przed wyobraźnią mignął mu pejzażyk przed kilku dniami spostrzeżony; uczył w sobie dawno nie zaznane ciepło i co prędzej udał się na łąkę. Może, może na koniec przyszła chwila rozpoczęcia po czteroletniej przerwie nowego dzieła, drobnego wprawdzie, drobnego, ale które stanie się przerwą w nudzie i chłodzie jego życia, a zapewne i szczeblem ku dziełom większym. Po półgodzinnym przebywaniu łąki, w czasie którego krok jego stawał się coraz powolniejszy, a wzrok coraz więcej wzgardliwy i znużony, znalazł się tam, dokąd dążył. Stał i patrzył. Było to zupełnie to samo, co widział przed kilku dniami, te same misterne rysunki liści, te same ciekawe oświetlenia podnóży i szczytów drzew, ta sama żółta wilga kołysząca się na gałęzi w głębokim cieniu. Z rana przez parę minut marzył o tym obrazku, teraz stał przed nim obojętny, samego siebie zapytując, co w nim dojrzeć mógł szczególnego. Drobną iskierką, którą przed paru godzinami uczył w sobie, zgasła i nie czuł już nic prócz chłodu i zniechęcenia, które gniotły go od dawna. Oglądał się dokoła i myślał, że wszystko tu takie proste, popolite, ubogie, blade. Światłocienie w tych olchach są wprawdzie dość piękne i mogą

Artysta

Nuda

posłużyć za materiał do studium z natury, ale spróbuje przenieść je na płótno potem, kiedykolwiek... Dziś nie. Znudziła go swoją wieczną czułością i nie milknącym szczebiotem Klotylda, ostudził widnokrąg płaski, ubogi, choć niby dość bogatą roślinnością ozdobiony... Przewiduje na koniec jedną z najprzykrzejszych dla niego rzeczy: wieczorną rozmowę z rządcą o gospodarstwie. Przewidywanie to truje go po prostu, odbiera mu chęć nie tylko do malowania, ale prawie do życia.

Opuścił grupę olch i zmierzał ku okopom, które łańcuchem niskich wzgórz część łąki przerzynały. Jedno z tych wzgórz, szeroko rozkopane, z dala świeciło żółtością piasku czy gliny. Stał przed tym otworem i myślał, jak powolną i nudną jest robota wygrzebywania z ziemi przedmiotów spoczywających w niej przez stulecia. Do tej roboty zapląnął był przed paroma miesiącami, ale wcale czego innego spodziewał się od niej niż to, co otrzymał. W szkole sztuk pięknych od niechęci przebywanej, od niechęci przerzucania starożytne księgi, a rysowane na ich kartach wykopaliska niejednokrotnie wzbudzały w nim ciekawość i przyjemne rozkołysanie fantazji. Wiedział wprawdzie, że tu nie po gruncie starożytnej Hellady lub Romy stąpa, jednak wyobrażał sobie, że znajdzie, jeżeli nie czary, ornamenty i posągi, to przecież zawsze coś szczególnego, co fantazji jego poda złotą kądziel. Do poszukiwań tych zachęcał go także mąż ciotki, Darzecki, z urzędu wysoce cywilizowanego człowieka, za jakiego się poczytywał, we wszelkich osobliwościach rozlubowany, a w geniusz żoninego synowca, chociażby dla honoru rodziny, świętą wiarą wyznający.

Przez pewien tedy szereg dni obaj wytrwale stawali nad wzgórzem, które kilkudziesięciu najemników rozkopywało, potnieli od upału, prawie ślepli od rozpatrywania każdej wyrzuconej przez rydel grudki ziemi, cieszyli się i nużyli, spodziewali się i zniechęcali, aż zniechęcenie i znużenie przemogło, roboty około starych okopów zaniechane zostały. Bo i cóż z nich wynikło? Po kilku tygodniach Zygmunt pomiędzy rupieciami napełniającymi jego pracownię umieścił kilkadziesiąt szernych monetek w półzatarzonym herbem Szwecji opatrzonych, a Darzecki uwiózł do domu rdzą przegryziony i podziurawiony pałasz. Rzeczy podobnych w okopach mnóstwo zapewne znajdować się musiało i badacz historii mógłby z nich zrobić niejaki użytek. Dla Zygmunta jednak nie przedstawiały one nic ciekawego ani ważnego. Gdyby to były urny do chronienia popiołów ludzkich, łzawnice<sup>4</sup>, dziwnych kształtów naszyjniki, przedhistoryczne czaszki, może by językiem tajemniczości lub malowniczości do wyobraźni jego przemówiły. Stojąc teraz przed żółtym otworem rozkopanego wzgórza, niechętny gest ręką uczynił. Wszystko tu, na tej ziemi, było takie biedne, marne, prozaiczne, nic wcale znaleźć na niej nie mógł takiego, co by dogadzało jego estetycznym i towarzyskim potrzebom. Marniał tu, po prostu marniał. Jedyną usługą, jaką oddało mu kilkotygodniowe zajmowanie się tymi okopami, było to, że więcej mając fizycznego ruchu schudł był trochę. Myśląc o tym spojrzał po własnej postaci. Utył znowu! Rzecz dziwna! Od czego on tyć może? Nudzi się, martwi się, tęskni, a jednak tyje! Cerę twarzy ma wprawdzie bladą i znużoną, ale postać jego, szczególnie w środkowym punkcie, zaokrąglą się i pełnieje. Na lat trzydzieści i jeden jest stanowczo zbyt ciężki. Kto w tym wieku tak wygląda, za lat dziesięć najpewniej będzie otyły. Myśl ta wprawiała go w rozpacz. Otyłość jest szpetnością, a wszelka szpetność budziła w nim obrzydzenie. Czyliż męczarnie duchowe nie przeszkadzają ciału nabywać kształtów prozaicznych? Wprawdzie wyborny osowiecki kucharz mistrzowsko umie łączyć kuchnię francuską z polską...

Nagle odskoczył od rozkopanego wzgórza i daleko żywszym krokiem niż wprzód z powrotem ku domowi dążyć zaczął. Przyczyną tego szybkiego odwrotu była gromadka ludzi, którzy od strony wsi, na krańcu łąki szarzejącej, ścieżką pomiędzy zaroślami udeptaną kierowali się w stronę okopów. Na ich widok znużone przedtem oczy Zygmunta, piękne, piwne oczy w podłużnej oprawie, napełniły się wyrazem prawie przestachu. Może ci ludzie nie ku niemu szli, ale może i ku niemu, a on wołał o wiele zejść im z drogi i skryć się przed nimi w ścianach swego domu, w które bez pozwolenia jego wejść nie mogli. Gotowi byli jeszcze zapytywać go o co albo prosić, jak się to już niejednokrotnie ku utrapieniu jego zdarzało. Takie spotkania i rozmowy utrapieniem były mu nie dla-

<sup>4</sup>Łzawnica a. łzawica — naczynie, w którym poganie mieli rzekomo przechowywać łzy wylewane na porzebach. [przypis redakcyjny]



tęgo, aby miał on względem ludzi tego rodzaju nienawiść, niechęć, urazę, ale właściwie dlatego, że byli mu oni tak doskonale obojętnymi, jak na przykład płynące pod niebem stada obłoków. I więcej jeszcze, bo obłoki bywają piękne i on czasem grze ich światła i barw przypatrywać się lubił, ci zaś ludzie z grubymi kształtami i rysami są zawsze szpetni, a siermięgi<sup>5</sup> ich czy kożuchy śmierdzą. Rozmawiać z obojętnymi rzecz to zwykle fatygująca. Po prostu lenił się fatygę tę ponosić i nie widział najmniejszej przyczyny do zadawania jej sobie. Wprawdzie byli to ludzie, ale najpewniej też wcale innego niż on gatunku. Że ród ludzki rozłamał się na dwie zasadniczo różne z sobą ludzkości: tę, którą składali tacy ludzie, i tę, do której on i jemu podobni należeli, nie przedstawiało to dla niego wątpliwości żadnej. Zresztą, myślał o tym rzadko, przypadkowo, przelotnie i niewiele go to wszystko obchodziło.

Wchodząc na wschody swego domu spotkanemu lokajowi rzucił krótki rozkaz:

— Śniadanie podawać!

Czuł się bardzo nieszczęśliwy i bardzo głodny.

Pracownia młodego pana domu w Osowcach była pięknym pokojem z oknami dającymi tyle i takiego światła, ile i jakiego wymaga praca malarska. Mnóstwo w nim znajdowało się rzeczy różnych: sztalugi z rozpiętym i białą firanką osłoniętym płótnem, stopy tek, rysunków, szkiców, marmurowe i gipsowe posądky, popiersia, grupy, kawałki spłowiałych makat i staroświeckich materii, kilka oryginalnych kanapek do siedzenia lub do leżenia urządzonych, kilkanaście pięknych roślin w kosztownych wazonach — wszystko to z pozorną niedbałością rozstawione i rozrzucone, na koniec, w jednym z rogów pokoju śliczna szafka świecąca zza szkła różnobarwną oprawą paruset książek. Były to raczej książeczki niż książki małe, ozdobne, lekkie. Panowały w nich poezja i powieść, jedna i druga w specjalnym i prawie wyłącznym gatunku: trochę tylko poetów polskich, zresztą zmysłowy Musset, tu i ówdzie Wiktor Hugo<sup>6</sup>, wiele rozpaczliwego Byrona<sup>7</sup>, sercowy Shelley<sup>8</sup>, uperfumowany Feuillet<sup>9</sup>, pesymista Leopardi<sup>10</sup>, najniespodziewaniej spotykające się z tym poetą-myślicielem bajki starego Dumasa<sup>11</sup>, awantury bezmyślnej Braddon<sup>12</sup>, jeszcze coś z dzisiejszych ulubieńców francuskiej arystokracji: Claretiego<sup>13</sup>, Craven<sup>14</sup> etc., etc.

Przed tą szafką, śliczną jak cacko, książkami do cacek podobnymi napełnioną, Zygmunt Korczyński stanął po krótkiej przechadzce wzdłuż i wszerz pracowni odbytej. Tylko co zjadł śniadanie w towarzystwie zapłakanej żony i matki, która wprawdzie z pełnym spokojem jaką taką rozmowę przy stole utrzymywała, ale dziwnie bacznie wpatrywała się w niego. Zapłakane oczy żony i przenikliwe spojrzenia matki do reszty humor mu zepsuły. Czuł gwałtowną potrzebę czegoś, co by go rozerwało, pocieszyło, silnym jakimś wrażeniem omdlewającą istotę jego wstrząsnęło. Chciał malować — malować chciał zawsze, bo w sztuce, o której rojenia pochłonęły mu całą młodość, widział jedyne swoje

Artysta

<sup>5</sup>siermięga — wierzchnie ubranie noszone przez chłopów w daw. Polsce. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>Hugo, Victor (1802–1885) — fr. poeta, dramaturg, powieściopisarz i publicysta; przedstawiciel postępowego nurtu w romantyzmie europejskim. Doniosłą rolę w rozwoju realistycznej powieści odegrały czołowe utwory Hugo m. in.: *Człowiek śmiechu* i *Nędznicy*; protestujące ostro przeciw krzywdzie społecznej. W księgozbiórce Zygmunta znalazły się zapewne jego nacechowane pesymizmem *Ody* (1822), napisane w okresie młodości. [przypis redakcyjny]

<sup>7</sup>Byron, Georges (1788–1824) — jeden z największych poetów angielskich, czołowy przedstawiciel romantyzmu; utwory jego były wyrazem buntu i ostrej krytyki wobec panujących stosunków polityczno-społecznych. [przypis redakcyjny]

<sup>8</sup>Shelley, Percy Bysshe (1792–1822) — angielski poeta epoki romantycznej, uczestnik walk o wolność Irlandii, życiem i twórczością dał wyraz swemu umiłowaniu wolności. Wśród arystokratycznych czytelników znane i popularne były tylko jego liryki erotyczne. [przypis redakcyjny]

<sup>9</sup>Feuillet, Octave (1821–1890) — pisarz francuski. [przypis redakcyjny]

<sup>10</sup>Leopardi, Giacomo (1798–1837) — wybitny włoski poeta romantyczny; załamany klęską ruchu narodowowyzwoleńczego, a jednocześnie nieuleczalnie chory, wyzwolenie człowieka widział jedynie w śmierci, stał pesymistyczny ton jego utworów. [przypis redakcyjny]

<sup>11</sup>Dumas, Aleksander (1802–1870) — powieściopisarz i dramaturg francuski, popularny twórca awanturnych powieści opartych na motywach historycznych; autor: *Trzech muszkietierów*, *Hrabiego Monte-Christo* i in. [przypis redakcyjny]

<sup>12</sup>Braddon, Mary Elizabeth (1837–1915) — angielska autorka powieści sensacyjnych. [przypis redakcyjny]

<sup>13</sup>Claretie, Jules (1840–1913) — autor dramatów i popularnych powieści z życia paryskiego. [przypis redakcyjny]

<sup>14</sup>Craven, Pauline (ok. 1808–1891) — konserwatywna pisarka francuska, autorka powieści z życia dworskiego. [przypis redakcyjny]

przeznaczenie i jedyny piedestał, który mógł go umieścić wysoko... Dziś przecież, tak jak od czterech lat zawsze i co dzień, nie mógł wydobyć z siebie nic: żadnego pomysłu, żadnego ciepła, żadnej energii. Po krótkim okresie najpierwszej młodości, w którym zdawało mu się, że tworzy, i raz nawet coś drobnego, lecz niejaką wartość mającego utworzył, nastąpiła impotencja ciągła i zupełna. Wiedział o tym, że po widnokręgach sztuki przelatują często meteory natchnień słabych i niedokrwestych, które raz błysnąwszy nie wracają już nigdy, że w ambitnych szczególnie głowach bywają miraże natchnień, a wyęziona ku jednemu celowi praca sprowadza czasem jeden jakiś wysiłony i odradzać się nie mogący owoc. Ale nigdy ani na mgnienie oka nie pomyślał, że te meteory, miraż, ułudy jego tyczyć się mogą. O niemotę swego geniuszu oskarżał świat zewnętrzny. Od zewnętrznego świata oczekiwał wszystkiego i na niego zwał wszystkie winy. Nie przychodził mu na myśl ani Tasso<sup>15</sup> wielką pieśń swoją snujący w celi więziennej, ani Milton<sup>16</sup> śpiewający o raju w wiekiuistych ciemnościach ślepoty. Nie przychodziło mu na myśl, że w każdej fali powietrza, światła, woni, w każdym kamyku przydrożnym i każdej trawie polnej, w liniach każdego ludzkiego oblicza i westchnieniu każdej piersi ludzkiej tkwi cząstka duszy świata, niewidzialnymi nićmi połączona z duszą artysty i w ruch ją wprawiać mogąca, jeżeli tylko naprawdę jest to dusza artysty. On był pewny, tak pewny, jak tego, iż żył i oddychał, że trzeba mu było gór, skał, mórz, puszczy, gorących szafirów niebieskich, nagich modeli, fantastycznych draperii, gwaru, gorączki, gonitwy, aby czuć, myśleć i tworzyć. Gdyby świat zewnętrzny oblał go jakim wielkim bogactwem i ugodził weń jakimi piorunami wrażeń... Tu, niestety, niestety! nic nie czyniło na nim wrażenia żadnego... Chodząc po swej pracowni, obu rękami, jak nieraz już bywało, pochwycił się za włosy... Był to gest gniewu czy rozpacz, czy obu tych uczuć razem...

Przy tym zjedzone przed chwilą śniadanie uczyniło go nieco ciężkim. Ten kucharz — przed samym ożenieniem się jego do Osowiec przybyły — doskonale gotował. Matka jego poprzestawała dawniej na starych i trochę już niedołączonych sługach, ale dla młodych państwa wszystko w domu odnowione i ulepszone zostało. Z takiej kuchni, jaka tu była teraz, niewidzialnie sączył się w żyły ludzkie ociążający olejek sybarytyzmu<sup>17</sup>. Po półgodzinnym lechtaniu podniebienia wybornymi sosami i słodyczami uczuwało się potrzebę wyciągnięcia ciała na elastycznej kuszetce<sup>18</sup>, ponętnie ustawionej wśród palm i dracen<sup>19</sup>.

Zbliżając się do szafki z książkami Zygmunt spojrzał po swojej postaci. Tyje, stanowczo tyje! Co chwilę porywała go złość lub rozpacz jednak tyje! Wina to braku wrażeń. Czymże, jeżeli nie opasłym wołem, stać się może człowiek wszelkich wrażeń pozbawiony?

Wpóллеżąc na elastycznej kuszetce przerzucał tomik poezji Leopardiego, którego niezgłębiany smutek zgadzał się z dzisiejszym od dość dawna zresztą trwającym jego usposobieniem. Wszystkie westchnienia, lzy, wątplenia wielkiego pesymisty stosował do siebie. Czytając o nicości i rozpacz powsechnego życia myślał o swoim życiu. Nie spostrzegł, że drzwi pracowni otwierały się parę razy, a zza nich wyglądała i wnet znowu cofała się piękna kobieca główka, w misterne puchy złocistych włosów i różowe astry ubrana. Parę razy główka ta zajrzała i cofnęła się aż na koniec, równie cicho jak przedtem drzwi otwierając, do pracowni weszła Klotylda. Trochę jeszcze zapłakane jej oczy nieśmiało i prawie pokornie utkwily w twarzy męża, który od kart książeczki wzroku nie odrywał. Na młodziutkiej jej twarzy malowało się pytanie: „Podejść do niego czy nie podejść? Przemówić czy nie przemówić?” Wahala się z tym nie dlatego, aby jeszcze czuła gniew lub urazę... Wprawdzie nie obdarzył on ją dzisiaj ani jednym serdecznym słowem lub choćby spojrzeniem i zdawał się nawet nie słyszeć tego, co ona do niego mówiła, wprawdzie obojętność ta, którą zresztą okazywał on jej teraz prawie zawsze, rozgniewała ją i rozżaliła tak bardzo, że przez całe dwie godziny snuła w ciężko zmartwionej swej głowie mnóstwo dziecinnych

Mąż, Żona, Miłość, Nuda

<sup>15</sup>Tasso, Torquato (1544–1599) — poeta włoski, autor *Jerozolimy wyzwolonej*, 8 lat spędził w szpitalu więziennym. [przypis redakcyjny]

<sup>16</sup>Milton, John (1608–1674) — poeta angielski, po utracie wzroku główny swój utwór, *Raj utracony*, dyktował żonie i córkom. [przypis redakcyjny]

<sup>17</sup>sybarytyzm — od: sybaryta, czyli określenia człowieka rozmiłowanego w zbytku, wygodach i przyjemnościach życia. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>kuszetka (z fr. *couchette*) — tu w zn. kanapka, kozetka. [przypis redakcyjny]

<sup>19</sup>dracena a. smocze drzewo — drzewo z rodziny liliowatych o grubym, rozgałęziającym się pniu i dużych liściach. Występuje tylko na Maderze i Wyspach Kanaryjskich. Niektóre gatunki hodowane są w doniczkach jako ozdobne. [przypis redakcyjny]

zamiarów wyjazdu, rozstania się, nawet samobójstwa. Ale żyć w nieporozumieniu z nim dłużej nad dwie godziny — przechodziło jej siły. Z natury była łagodna i łatwo przebacząca. Pragnęła teraz pogodzenia się i choć jednej godziny pogodnego przestawania z nim sam na sam. Gdyby tylko wzrok podniósł na nią, z okrzykiem radości rzuciłaby się mu na szyję. Ale on nie spostrzegając czy udając, że nie spostrzega jej obecności, patrzył ciągle w książkę. Szafirowe jej oczy, blaskiem, głębią, zdradzające temperament żywy i namiętny, były teraz bardzo strwożone, zmęczone. Delikatne ramiona wzdłuż zgrabnej kibici opuściła i stała chwilę pośród pracowni, wahająca się, nieśmiała, rozkochana aż na usta jej wybiegł figlarny uśmiech. Na palcach, cichutko, zbliżyła się do sztalug i odchylając zawieszony na nich płótno, odsłoniła własny na wpół wymalowany portret. Posiadać swój portret ręką męża wykonany było od dnia zaręczyn z Zygmuntem ciągłym jej marzeniem. Po roku beczynnego życia w Osowcach Zygmunt malować go zaczął, lecz dotąd nie skończył, robotę około rozpoczętego dzieła z dnia na dzień odkładając. Przed tym niedokończonym, lecz już dość wyraźnym wizerunkiem swoim Klotylda złożyła naprzód dyg głęboki, a potem przemawiać do niego zaczęła:

— Dzień dobry pani. Dlaczego pani dziś taka smutna? Czy dlatego, że ktoś malować pani już nie chce? Ktoś jest bardzo niedobry. Wie on dobrze, że pani go kocha, kocha, kocha, a nie chce zapomnieć małego pani uniesienia i nadyma się, milczy, w książkę patrzy, kiedy pani przyszła i z całego serca pogodzić się już pragniesz... Biedna pani! Czy pani już nie kochają? O, nie, niech pani tak nie myśli, bo byłoby to zbyt bolesne... Ktoś jest tylko trochę kapryśny, trochę znudzony, ale niestały nie jest... I za cóż miałby przestać panią kochać? Przecież nie zmieniała się wcale na gorsze... owszem, trochę wyładniałaś jeszcze, a co do serca, tego nie odebrałaś mu dotąd ani cząsteczki... ani kropelki... ani isierki...

Łzy kręciły się w jej oczach, a w głosie drżał śmiech. W dziecinnym jej figlowaniu czuć było zaczynające rozdierać się od zwątpienia serce kobiece, z ruchów jej, gestów, mimiki bił niewymowny wdzięk. Przed dwoma laty ten jej wdzięk wesoły i pełen gracji wprowadził Zygmunta w zachwyt pod jego to wpływem, zarówno jak pod wrażeniem pięknej gry na fortepianie i śpiewu Klotyldy, rozpoczął on był małżeństwem uwieńczone staranie się o wypieszczoną i dość posażną jedynaczkę. Ale od tego czasu minęły dwa lata. Teraz uśmiechnął się wprawdzie, ale ze znudzenia i lekceważenia więcej niż z przyjemności.

— Przeszkadzasz mi, Klociu — przemówił.

Na dźwięk jego głosu frunęła ku niemu i z gracją przed nim przyklękła.

— Przemówiłeś na koniec! Widzisz, ja pierwsza, ja, kobieta, przyszłam, aby pogodzić się z tobą. Powinno być przeciwnie, ale mniejsza o to! Kiedy się kocha, nie zważa się na miłość własną. Popatrz na mnie długo, dobrze, serdecznie, jak teraz rzadko patrzysz i podaj mi rękę...

Nie tylko wziął jej rękę, ale dość czule ją pocałował.

— Więc nie jesteśmy już pogniewani? — z wybuchem radości zawołała.

— Ach, nie! tylko... przeszkadzasz mi trochę...

Znowu onieśmielona zaczęła:

— Zdawało mi się, że nic nie robisz, bo przecież przerzucanie tej książki, którą znasz dobrze, nie jest robotą...

— Wiele razy już ci mówiłem, że choć żadną pozytywną robotą zajęty nie jestem, nie idzie za tym, abym nic nie robił. Myślę... marzę... Wszak to materiał do przyszłej pracy...

— To prawda — z powagą odpowiedziała — wiem o tym dobrze, ale jestem tak żywa... Czy chcesz zostać zupełnie samotny? W takim razie odejść...

Może uległością jej ujęty, uprzejmie przemówił:

— Owszem. Miło mi zawsze, gdy blisko mnie jesteś...

Twarz i nawet ręce jego pocałunkami osypała, ale wnet zerwała się z miejsca.

— Dobrze. Mój Boże, jak to dobrze! Wezmę sobie książkę i cichutko tam w kątku sobie posiedzę... Kiedy już będziesz miał czas, razem może poczytamy, a po obiedzie na przechadzkę pójdziemy, znowu razem... la, la, la, la, la!

Piękny jej głos nappełnił pracownię radosną, krótką gamą z mozaikowatej płyty stolika wzięła małą książkę i na palcach szła z nią ku kanapce w przeciwległym rogu pokoju stojącej, gdy nagle usłyszała głos Zygmunta :

— *Tiens, tiens! Clotilde*<sup>20</sup>! pokaż mi tę książkę, którą trzymasz... co to?  
— Trzeci tom Musseta — z trochę zdziwienia odpowiedziała.  
— Skąd on się wziął tutaj? — książkę z rąk żony biorąc badał dalej. — Jakim sposobem mogłem nie spostrzec go na stole?...

Młoda kobieta chmurnie na męża popatrzała. Twarz mu ożywiła się dziwnie nagle, a oczy, przygasłe wprzódy, błyskały.

— Książkę tę — zaczęła z wolna — odwieziono tu przed kilku dniami z Korczyna... Wzięłam ją sama od posłańca i tu położyłam... Musiałeś ją pożyczyć stryjence, pannie Teresie czy...

Po ozdobny tomik rękę wyciągnął.

— Daj mi to, a sama do czytania weź co innego, wszak ci to wszystko jedno...

— Zupełnie wszystko jedno — odpowiedziała i podjąwszy tomik Leopardiego, który Zygmunt na posadzkę upuścił, usiadła z nim w przeciwległym rogu pokoju. Wesołość jej, szczęście, jednym serdecznym słowem męża obudzone, znikły bez śladu. Domyśliła się, komu w Korczynie pożyczona była ta książka...

Karty tej książki Zygmunt przerzucał teraz niecierpliwie, prawie gorączkowo, na nich i pomiędzy nimi czegoś szukając. Ta, której poezje te przesłał, pragnąc przez nie wspomnienia jej obudzić i uczucia wskrzesić odesłała mu je przy pierwszej zapewne sposobności bez słowa odpowiedzi na list, który towarzyszył książce. Może jednak pomiędzy jej stronicami znajdzie jaką kartkę albo na stronicach jaki wiersz, wyraz przez podkreślenie w znak porozumienia zamieniony. Szukał, nie znajdował nic, ale w zamian Justyna jak żywa stanęła mu przed wyobraźnią i dreszcz uczutego wrażenia przebiegł po ciele. Wtem w przeciwległym rogu pokoju głos kobiecy, trochę ostry i szyderski, przemówił.

— Czy słyszałeś o tym Zygmuncie, że panna Orzelska wkrótce zapewne za mąż wyjdzie?

Prędkim ruchem twarz ku mówiącej zwrócił.

— Za kogo? — rzucił krótko.

— Za pana Różyca — odpowiedziała.

Zygmunt wpołleżącą postawę na siedzącą zmienił.

— *Quelle idée*<sup>21</sup>! — zawołał. — Rózyca nie ożeni się z nią nigdy!

— Owszem — sucho i ostro twierdziła młoda kobieta — podobala mu się od razu i coraz więcej się podoba. *Elle a de la chance, cette... cette... cette... rien du tout*<sup>22</sup>! Pani Kirłowa, która ma wielki wpływ na kuzyna, nad skojarzeniem tego małżeństwa pracuje i od pana Kirły słyszałam, że zdecydowanie się na nie pana Różyca jest tylko kwestią czasu.

Z krzywym trochę uśmiechem Zygmunt powtórzył:

— *Impossible*<sup>23</sup>! Co? Ona, ten model na silną Dianę<sup>24</sup>, miałyby wyjść za tego młodego starca!...

Niedbale śmiejąc się chodzić zaczął po pracowni, ale oczy miał chmurne i błyskające pod ściągającymi się brwiami. Klotylda wodziła za nim wzrokiem i tym samym co wprzódy, suchym, ostrym, ironicznym głosem mówiła, w nieskończoność mówiła o nadzwyczajnym, cudownym szczęściu, jakim takie zamążpójście byłoby dla takiej panny Orzelskiej... Bo czymże ona była? Córka opasłego, idiotycznego ojca, rezydentką siedzącą na łasce krewnych, prostą, zupełnie prostą dziewczyną, bez układu, wdzięku, dowcipu i jakiegokolwiek talentu. Gra niezłe, ale jak po francusku mówić zacznie, to aż uszy bolą... *Une fille sans naissance et sans distinction... une rien du tout...*<sup>25</sup> Nie wiadomo nawet, co Rózyca zrobi, gdy się z nią ożeni, i jak ją w świecie będzie mógł pokazać... Chyba przede wszystkim na pensję jaką ją odda... Model na Dianę! Zapewne, zdrowa jest i silna, jakby była przebraną chłopką, ale ręce ma wiecznie opalone, jakby nigdy w życiu rękawiczek nie nosiła... Czy malarze wyobrażają Dianę w postaci rezydentki z opalonymi rękami?

<sup>20</sup>*Tiens, tiens! Clotilde* (fr.) — no, no! Klotyldo. [przypis redakcyjny]

<sup>21</sup>*Quelle idée* (fr.) — cóż za pomysł. [przypis redakcyjny]

<sup>22</sup>*Elle a de la chance...* (fr.) — ma szczęście... takie, takie... takie nic. [przypis redakcyjny]

<sup>23</sup>*impossible* (fr.) — niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>Diana — starożytna bogini łowów i lasów, przedstawiana w sztuce starożytnej jako kobieta będąca uosobieniem piękna i zdrowia. [przypis redakcyjny]

<sup>25</sup>*une fille sans naissance...* (fr.) — dziewczyna bez urodzenia i ogłady, takie kompletne nic. [przypis redakcyjny]

Pierś młodej kobiety szybko podnosiła się i opadała, gdy z drobnych jej ust sypały się te wszystkie złośliwe i obelżywe słowa. Roziskrzonymi oczami nie przestawała ani na chwilę wodzić za mężem, który przechadzając się ciągle, zdawał się nie widzieć jej ani słyszeć. Pociągnął taśmą dzwonka i lokajowi, który zjawił się natychmiast, rzucił w zwykły sobie sposób krótki rozkaz:

— Konie zaprzęgać!

Lokaj zniknął za drzwiami, Klotylda porwała się z kanapki.

— Jedziesz! — z żalem zawołała.

Ironia i złośliwość, które wrzały w niej przed chwilą, znikły bez śladu, czuła już tylko, że mąż jej odjedzie i cały jej plan dnia szczęśliwie z nim spędzonego pierzchnie.

— Muszę — obojętnie odpowiedział Zygmunt.

— Dokąd? — zapytała znowu i ramionami objąć go próbowała, ale on twarzą zwracając się ku oknu, po paru sekundach milczenia odpowiedział:

— Do Korczyna!

Zbladła i znieruchomiała.

— Zygmsiu...

Głos jej był teraz cichy, zdławiony.

— *Que veux tu, chère enfant*<sup>26</sup>.

— Ty tam nie pojedziesz, Zygmsiu...

Szybko zwrócił się ku niej i z głębokim zdziwieniem zapytał:

— Dlaczego?

— Dlatego... — zaczęła — dlatego...

I nie dokończyła. Strwożyła się, czy też ogarnął ją wstyd.

— Dawno nie odwiedzałem stryja i mam do niego interes. Czy chciałabyś, abym zerwał stosunki z moim stryjem?

— O, nie, nie! — z wybuchem zawołała — niech Bóg broni, abym wносиła niezgodę do rodziny, w którą weszłam!

— Czegóż więc sobie życzysz?

Bładła i rumieniła się na przemian. Nie mogła, nie chciała być zupełnie szczerą. Duma i skromność usta jej zamykały. Wreszcie z płaczem prawie wybuchnęła:

— Więc przynajmniej weź mnie z sobą!

— I to jest niepodobne — perswadował. — Wiesz dobrze o słabym zdrowiu i dwactwach stryjenki... częstych wizyt składać jej nie wypada...

— To prawda — szepnęła mnąc i rozdzierając w palcach cieniutką chusteczkę. Najmniej baczone oko spostrzec by musiało, że bardzo cierpiała.

— Jaki ty masz do stryja interes, Zygmsiu? — zapytała jeszcze, a niespokojne jej oczy tonęły w twarzy męża z takim natężeniem, jakby za cenę życia wyczytać z niej chciała prawdę.

Uśmiechnął się.

— Zmuszasz mnie do mówienia ci o rzeczach niezajmujących... Poradzić się chcę stryja co do zmian, jakie zaprowadzić należy przy zamienianiu gospodarstwa ekstensywnego na intensywne...

Znowu zamknął jej usta, że nic odpowiedzieć nie umiała. Po krótkim więc wahaniu zarzuciła mu tylko ręce na szyję i lgnąc do niego całym swym lekkim, zgrabnym ciałem, z błaganem szeptała:

— Dziś tam nie jedź... o mój jedyny... tylko dziś... proszę... proszę!

Zygmunt łagodnie uwolnił się z jej objęcia, pocałował ją w czoło, dłonią parę razy po włosach jej powiódł i z tabureta biorąc kapelusz wymówił:

— Do widzenia! *Ne déraisonnez pas, ma mignonne*<sup>27</sup>! Za kilka godzin przecież powrócę!

Wyszedł z pracowni. U podjazdu turkotały już koła powozu. Klotylda stała chwilę pośrodku pracowni z obwisłymi na suknię rękami, z przygryzioną wargą, bez kropli, zda się, krwi w twarzy i po kilku dopiero minutach za głowę się pochwyciła.

— Do niej pojechał! — zawołała.

<sup>26</sup>*Que veux tu, chère enfant?* (fr.) — czegoż chcesz, drogie dziecko? [przypis redakcyjny]

<sup>27</sup>*Ne déraisonnez pas, ma mignonne* (fr.) — bądź rozsądna, maleńka. [przypis redakcyjny]

Z szybkością strzały przebiegła parę salonów i do pokoju matki męża wbiegając wzbuchnęła płaczem.

Pani Andrzejowa siedziała na tym samym co przed kilku godzinami fotelu, ale nie nad robotą pochylona. Na kolanach jej leżała rozłożona książka, a u kolan na niskim stołeczku siedziało kilkoletnie dziecko, dziewczynka w grubej spódniczce i perkalowej chustce na głowie. Jednym z zajęć, którym wdowa po Andrzeju Korczyńskim oddawała się od lat dwudziestu kilku, było uczenie wiejskich dzieci. W obszernym dworze i wsiach najbliższych pełno było dorosłych już teraz ludzi, którzy w dzieciństwie swoim codziennie przez czas jakiś wchodzili do jej pięknego pokoju i dłużej lub krócej u kolan jej przesiadywali. Zstępować ku nim, mieszać życie swoje z ich życiem ani mogła, ani chciała. Przechodziło to jej siły i od dawna już przekonała siebie, że obowiązkiem nie było. Ale te dzieci czysto, na tę przynajmniej chwilę, ubrane, czasem ładne, często dobre, nie raziły wcale jej smaku i przyzwyczajęń, pracując zaś nad nimi myślała, że spełnia zakon<sup>28</sup> miłości bliźniego, nade wszystko zaś, że łączy się z Andrzejem w tym, co było jego najukochańszą ideą. Myśl o tej niewidzialnej łączni, którą przez pracę wytwarzała pomiędzy nim a sobą, sprawiała jej przejmującą, mistyczną rozkosz. Od dawna nieobecny i niepowrotny, nie przestawał on być dla niej natchnieniem i celem.

Kiedy drzwi otworzyły się ze stukiem i śliczna kobieta w różowej sukni z nadaremnie tłumionym płaczem do pani Andrzejowej przypadła, dziewczynka cichutko wysunęła się z pokoju. Po raz pierwszy Klotylda powierzała matce męża swoje obawy i żale, ratunku i rady od niej wzywając, a po części za los swój odpowiedzialną czyniąc. Tę odpowiedzialność pani Andrzejowa czuła i uznawała sama. Ona to na wezwanie Zygmunta pośpieszyła w strony zamieszkiwane przez rodziców Klotyldy i wahających się nieco skłoniła do powierzenia jej synowi siedemnastoletniego, pięknego, utalentowanego dziecka. Urodzenie, stosunki rodzinne, posag, same nawet muzykalne zdolności starannie rozwijane i które w przyszłości wzrastać jeszcze mogły, zapowiadały Klotyldzie przyszłość świetną. Miałażby ona teraz, z winy jej syna, być nieszczęśliwa? Wina jego ciężko spadała i na serce jej i na sumienie. Wiedziała aż nadto, że skargi młodej kobiety były słuszne, rozumiała wybornie, że cierpienie jej było dotkliwe i niezasażone. Drżała na myśl, czym stać się mogło to dziecko zbytku i pieśczoć, gdyby miłość jego dla męża, jedyna, na jaką zdobyć się mogło, nieodwzajemniona, zdeptana, zagasła. Na swoim, i więcej niż na swoim, bo na syna swojego sumieniu czuła odpowiedzialność nie tylko już za szczęście, ale i za duszę tej niewinnej dotąd i kochającej istoty ludzkiej. W samej sobie nosząc wierność niezłomną, syna po prostu zrozumieć nie mogła. Przed dwoma laty przecież widziała go zakochanym w Klotyldzie. Jednak o wystygnięciu tego uczucia wiedziała z większą jeszcze pewnością niż sama Klotylda. Przed dwoma miesiącami odprawiła jedną ze swych służących, którą Zygmunt nazywał modelem do Fryny<sup>29</sup> i w której towarzystwie parę razy spostrzegła go była w parku. A teraz te wycieczki do Korczyna? Kochałżeby on naprawdę Justynę, a miłość dla Klotyldy byłaby w nim tylko omyłką zmysłów czy wyobraźni? Ależ gdyby ją kochał prawdziwie i silnie, byłby ją pojął za żonę! Ona małżeństwa tego nie chciała, sprzeciwiała się mu, to prawda, przymusu jednak na jego wolę, gdyby ją był stanowczo objawił, nie wywierałaby nigdy. Sam wahał się, namyślał, chciał i nie chciał, na koniec odjechał i zdawało się, że o wszystkim, co go z Justyną wiązało, zapomniał. Teraz jednak... znowu... Co to wszystko znaczyło?

Czule, macierzyńsko obejmowała synową, głowę jej do piersi tuliła i z łagodnym spokojem pocieszała ją wszystkim, czym mogła, o jej obawach i cierpieniach poważnie z Zygmuntem pomówić przyrzekała, a na dnie duszy snuła rozpaczliwe myśli i pytania. Kiedy młoda kobieta, której uczynione zwierzenia, a także pieśczoć i obietnice matki ulgę przyniosły, blada i spłakana, ale już znowu uśmiechająca się do życia, wyszła do ogrodu, aby ulubione kwiaty swe obejrzeć, pani Andrzejowa powstała i poruszyła stojący na stole dzwonek.

— Dokąd pan Zygmunt pojechał? — zapytała zjawiającego się we drzwiach lokaja.

<sup>28</sup>zakon — tu: prawo. [przypis redakcyjny]

<sup>29</sup>Fryne — właśc. Mnesarete (IV w. p.n.e.), słynna hetera grecka, kobieta lekkich obyczajów. Uważana była za wcielenie kobiecego piękna i wielokrotnie służyła jako model słynnym rzeźbiarzom i malarzom. [przypis redakcyjny]

Dama, Lud, Opieka,  
Obowiązek

Matka, Syn, Sumienie,  
Wina



Miała jeszcze trochę nadziei, że pojechał nie do Korczyna, a usłyszawszy odpowiedź, która jej tę nadzieję odbierała, po chwilowym milczeniu rzekła jeszcze:

— Kiedy powróci, powiedz, że proszę, aby zaraz przyszedł do mnie.

Po odejściu służącego długo sama jedna stała pośrodku pokoju z rękami splecionymi i opartymi o stół, pełen dzienników i książek. Na blade jej policzki wystąpiły plamy ognistych rumieńców. Wrzała w niej burza zgrozy i niezmiernego żalu. Zbyt wiele w samotności rozważała i myślała, aby miłość i nawet namiętność wzrok jej utrzymać mogły w wiecznej ślepotcie. To zaś, co niezupełnie jeszcze dokładnie, ale już spozstrzegąca, było grubą ciemnością zachodzącą na najdroższe ideały i wszystkie pociechy i chluby.

## II

W ostatnich dniach lipca, kiedy część zboża jeszcze niezdyta stała na korczyńskich polach, Witold i Justyna postępowali drogą z Bohatyrowicz do Korczyna wiodącą. Szli prędko i rozmawiali żywo, tak żywo i z takim zajęciem, że aż na policzki młodej panny wybiły się gorące rumieńce, a oczy jej, zazwyczaj trochę chmurne, jaśniały radością. Nie zatrzymując się i nawet kroku nie zwalniając, do młodego krewnego rękę wyciągnęła.

— Dziękuję ci, Widziu, z całego serca dziękuję — z niezwykłym sobie wylaniem mówiła. — Wszystko, co mi powiedziałeś, przejęło mnie głęboko. Od jakiegoś czasu te same myśli przechodziły mi przez głowę, tylko ich tak wyraźnie układać nie umiałam. Nie jestem, widzisz, ani uczona, ani pod żadnym względem wyjątkowa... sama jednak nie wiem dlaczego, dostrzegłam już w życiu wiele rzeczy marnych i trochę ważnych...

Z wesołym uśmiechem dodała:

— Nudziłam się okropnie i może z nudy wymyślałam sobie to wszystko, o czym ty daleko lepiej i więcej wiesz ode mnie...

Spojrzał na nią z boku i filuternie.

— A teraz nie nudzisz się? — zapytał.

Przecząco wstrząsnęła głową.

— Nie, od jakiegoś czasu nie! Chociaż, przyznam ci się, że jeszcze dobrze nie rozumiem...

Urwała.

— Czego jeszcze nie rozumiesz dobrze?

Po chwilowym wahaniu się odpowiedziała z cicha:

— Tego, co czuję i tego, co myślę...

— Brak przygotowania — zauważył — ale — dodał wesoło — wyjaśni się to zapewne, bo i doprawdy, dlaczegóż byś nie miała pójść nową drogą...

Zarumieniła się jeszcze ogniościej i z żywością szepnęła:

— Nie wiem... nie wiem... może to tylko złudzenie... lękam się...

— Czego? — ciekawie zapytał Witold.

Ale ona spłonioną twarz ku polu zwróciła i może pod wpływem zakłopotania, jakie jej ta rozmowa sprawiała, silnie ścisnęła w dłoni sporą wiązkę tylko co znac zerwanych floksów, pośród których tkwiła ogromna czerwona georginia.

— Wcale niewytorny bukiet — patrząc na kwiaty uśmiechnął się Witold. — Rzecz jest jednak godna uwagi, jak ci ludzie kochają się w kwiatkach. Nawet ta prozaiczna Elżusia, która na dwa tygodnie przed ślubem liczy sztuki bydła narzeczonego i myśli o *wekselach*, które wyda jej ojciec, mnóstwo ich w ojcowskiej zagrodzie hoduje...

Nagle zwracając się ku towarzyszce zapytał:

— Czy doprawdy będziesz na tym weselu?

— Naturalnie! — z żywością zawołała.

— Drużką Elżusi?

— Naturalnie.

— A tworzącym dla ciebie parę *drużbantem* będzie pan Kazimierz Jaśmont, którego cyfry na cieniutkiej chusteczce wyhaftujesz i tę chusteczkę ofiarujesz mu w zamian podanych ci przez niego bukietów mirtowych... Tak? Umiesz to zapewne na pamięć, jak i wiele innych rzeczy, których pouczyłaś się w czasach ostatnich. Czy wiesz o tym, że wczoraj, kiedy panna Teresa łzawiąc się z czułości opowiadała ci radość swoją i mamy z przypuszczalnego twojego małżeństwa z panem Różycem, śmiejąc się odpowiedziała:

Obyczajne, Wesele

„Bo to wy wiecie jedno, a ja drugie!” Gdybym wtedy na ciebie nie patrzył, myślałbym, że to stara Starzyńska mówi! Prościejesz, Justysiu, widocznie prościejesz...

Śmiał się głośno, wesoło i patrzył na Justynę bardzo przyjaźnie. Nagle zagadnął:

— Czy to prawda, co pani Fabianowa Bohatyrowiczowa, née<sup>30</sup> Giecołd, mówiła, że już nauczyłaś się żąć wcale dobrze?...

Justyna uśmiechając się pokazała mu obie ręce ze stwardniałymi trochę dłońmi i kilku szramami od ostrza sierpa pochodzącymi.

— Przez cały prawie tydzień po kilka godzin dziennie żęłam... Praca to ciężka, mniej przecież ciężka niż...

— Niż co?...

Z błyskiem oczu dokończyła:

— Niż wieczne gryzienie siebie popielcową myślą: „Prochem jesteś!” z dodatkiem: „Zanim jeszcze w proch się rozsypałaś!”

— Brawo! Masz słuszność! Są na świecie ludzie, którzy od takich myśli naprawdę z rozpacy w proch rozsypać się mogą i ty widać do nich należysz!

Po chwili z powagą zapytał:

— Czy nie przechodzi to sił twoich?

Kształtną i silną kibić swą prostując odpowiedziała:

— Czy wyglądam na istotę, co ma taką postać, jakby do nieba miała się wnet dostać<sup>31</sup>?

Oboje parsknęli głośnym śmiechem, który przez kilka sekund wtórował ogromnemu, oguszającemu ćwierkaniu świerszczy w przydrożnych trawach. Znajdowali się w tej chwili tuż za stodołą korczyńską, która ze starymi już ścianami, lecz murowanymi słupami i starannie utrzymywanym dachem zdrowo i silnie wyglądała.

— Trzeba wiedzieć — zaczął Witold — że ojciec utrzymuje Korczyn w dziwnej całości i porządku. Pracuje też prawdziwie jak wół, tylko że wół takich kłopotów i niepokojów nigdy nie ma... Dobrze, że mu dziś trochę dopomóc mogłem, bo kiedyśmy się w okolicy spotkali, wracałem właśnie z pola, gdzie mię do robotników był posłał. Biedny, kochany ojciec!

W tej samej prawie chwili stanął jak wryty i z nagle ściągniętymi brwiami słuchać zaczął. Z drugiej strony stodoły na folwarcznym dziedzińcu rozlegał się głośny, gruby, rozgniewany krzyk Benedykta. Słów tego krzyku nie można tu było rozróżnić, ale czuć w nim było groźby i obelgi. Witold rękę podniósł do czoła.

— Jak mnie to boli! Boże, jak mnie to zawsze boli...

Krokiem przyspieszonym zaczął iść dalej, o towarzysze swej zupełnie zapominając.

Słońce zaszło już przed kwadransem i tylko nad zaniemeńskim borem pozostawiło szeroki pas jaskrawy, który dachy i szczyty drzew korczyńskiego dworu oblewał do pożogi podobnym czerwonym światłem. Tam, gdzie dziedziniec folwarczny szeroko otwierał się na Niemen, pomiędzy jednym z czworaków a stajnią na tle czerwonych zarzecznych obłoków postać pana Benedykta rysowała się na kształt czarnej sylwetki, wysokiej, ciężkiej, wąsatej, której rysy znikwały w oddaleniu, ale ramiona dokonywały gwałtownych gestów i długie wąsy szamotały się u piersi. Naprzeciw tej sylwetki stała druga, również na tle czerwonych obłoków czarna, ale znacznie niższa, z krępyimi kształtami i głową, która jeżąc się rozczochraną czupryną, lęklonie wtulała się w ramiona. Pośrodku znajdowało się jakieś narzędzie rolnicze zaprzęzone we dwa konie, melancholijnie ku trawie dziedzińca łby pochylające, u drzwi czworaka i wrót stajni stały gromadki ludzi, w milczeniu i nieruchomości krzyków pana domu słuchając.

Witold szybko przebywając dziedziniec kierował się ku dwóm czarnym sylwetkom, przez narzędzie rolnicze i parę nieruchomych koni rozdzielonym. Stając, od pośpiechu, z jakim siedł, trochę zdyszany, zapytał:

— Co to, ojczy?

Nie było już na nim ani śladu wesołości i szczęśliwego, młodzieńczego uniesienia, z jakim przed chwilą z Justyną rozmawiał. Ale pan Benedykt na wyraz twarzy syna wcale

Chłop, Gospodarz, Lud,  
Nauka, Ojciec, Pan, Syn,  
Własność

<sup>30</sup>nee (franc.) — z domu (nazwisko panięńskie). [przypis redakcyjny]

<sup>31</sup>ma taką postać, jakby do nieba miała się wnet dostać — zniekształcony cytat z *Marii Antoniego* Malczewskiego, romantycznej powieści poetyckiej o dziejach nieszczęśliwej miłości; zacytowane słowa stosują się w utworze do głównej, tytułowej bohaterki, która ostatecznie istotnie umiera. [przypis edytorski]

nie zwrócił uwagi. Rozpaczliwym gestem wskazując mu stojącego o dwa kroki parobka, głośniejsze niż przedtem wybuchnął:

— Skaranie boże! Nieszczęście! Zguba prawdziwa z osłami i łajdakami tymi! Żniwiarkę mi zepsuł! Kilka dni z nią po polu pojeździł i już zepsuł! A czy ty wiesz, gałganie, że ta żniwiarka więcej kosztuje, niż ty cały wart jesteś! Czy ty wiesz, że ja dobrze musiałem sobie głowy nałamać, nim zdobyłem się na jej kupienie?... Ale co to was obchodzi, że komuś szkodę zrobicie? Czy wy macie serce albo sumienie, osły, łajdaki, gałgany!...

— Mój ojczu... — spróbował przerwać Witold.

Ale Benedykt, jakby właśnie próbę tę chciał udaremnić, więcej jeszcze głos podniósł.

— Czy ty myślisz — wciąż do parobka się zwracał — że ja ci to daruję? Żniwiarkę do naprawy posłę, ale co za nią w mieście zapłacę, to ci z pensji wytrączę...

Na te słowa chłop krępy, w siermiędze ubrany, po raz pierwszy kudłatą głowę z ramion wysunął i mruklawie przemówił:

— Nie wytrącajcie, panoczku, bo z czegoż ja z dziećmi żyć będę...

— Z głodu nie zdechniesz!... — krzyknął Benedykt. — Ordynarię<sup>32</sup> masz... dach nad głową masz... krowę nawet trzymać wam pozwalam... A gdybyś zresztą i ziemię miał gryźć, wytrączę... jak Boga kocham, wytrączę... żebyś nauczył się, łajdaku, własność cudzą szanować!

— Mój ojczu! — głośniejsze niż przedtem przemówił znowu Witold i wyprostował się znad żniwiarki, której zepsucie bacznie i prędko obejrzał. — Mój ojczu! Ja się na tym znam trochę... w przeszłym roku tam, gdzie lato spędziłem, żniwiarki psuły się często, a ja przypatrywałem się, jak je naprawiano. Tę można będzie naprawić w domu, z małym kosztem i prędko... ja sam się tym zajmę... Maksymowi nie trzeba będzie nic z pensji wytrącać...

Zwrócił się do parobka, który czapkę mnąc w rękach z nogi na nogę przestępował, wzdychał i coś niewyraźnie mruczał.

— Słuchaj, Maksymie, czy ty rozumiesz, jak ta żniwiarka jest zrobiona i jakim sposobem jąć może? Pewno nie rozumiesz i dlatego ją zepsuleś, że nie rozumiesz... Oto, popatrz i posłuchaj, ja ci to zaraz pokażę i wytłumaczę...

Łagodnie, powoli, wyrażen chłopu zrozumiałych dobierając, z łatwością zdradzając wielkie oznajomienie się z ludem, Witold mówił przez dobry kwadrans, składowe części narzędzia i połączenia ich żywymi gestami pokazywał. Parobek w postawie pokornej i ociężałej słuchał zrazu leniwie i tylko z przymusu, ale po paru minutach pochylił się i na żniwiarkę, to znowu na mówiącego spoglądać zaczął z ożywieniem i ciekawością. Kiwał przy tym głową w znak zdziwienia lub zrozumienia, z cicha pomrukiwał, wskazywanych mu części żniwiarki grubymi i węzłowatymi palcami dotykał.

— No, widzisz — prostując się kończył student — nic tu takiego mądrego nie ma i tylko w obchodzeniu się z tą maszyną trochę trzeba ostrożności i uwagi. Jutro obydwu wstaniemy o świcie, maszynę do kowala zawieziemy, a w jaką godzinę po wschodzie słońca będziesz już mógł w pole z nią wyjechać. Straty nie będzie żadnej ani nam, ani tobie...

Ostatnie słowa widocznym zadowoleniem okryły ciemną, gęsto obrosłą twarz chłopca. Schylił się i z głośnym cmoknięciem całując rękaw surduta Witolda, z uśmiechem i głośno przemówił:

— Dziękuję, paniczu! Daj Boże zdrowie!

Po czym leżąc z ziemi podniósł i cmoknął na konie, które żniwiarkę ku stajni pociągnęły.

Benedykt od chwili wmieszania się syna w scenę pomiędzy nim a parobkiem zachodzącą stał nachmurzony i silniej węża w dół pociągał. Po oddaleniu się chłopca wzrok podniósł na syna.

— Dales mi lekcję obchodzenia się z ludźmi. Teraz widać takie czasy przyszły, że jaja kury uczą. Dziwię się tylko, że od tylu lat nad książką ślęcząc umiesz tak biegle i w sposób odpowiedni z chłopami rozmawiać...

— Jeżeli ci się to nie podoba, mój ojczu — żywo odrzucił Witold — samemu sobie chćiej winę przypisać. Kiedy dzieckiem pod twoim okiem rosłem i kiedy następnie ze szkół do domu przyjeżdżałem, nie wzbraniałeś mi przestawania z wiejską ludnością...

<sup>32</sup>ordynaria — część wynagrodzenia służby dworskiej wypłacana w naturze. [przypis redakcyjny]

Zwracając się ku domowi Benedykt sarknął:

— Na siebie samego bicz kręciłem. Według idylli, która w twojej dziecinnej głowie powstała, sądzisz teraz ojca...

— Idylla! — popędliwie zawołał Witold. — Upewniam cię, mój ojczu, że patrzę na rzeczy bardzo trzeźwo i że... na razie... szczytem moich marzeń jest to, aby ludzie nie obchodzili się z ludźmi jak z bezmyślnymi bydłami... gorzej, jak z kamieniami chyba, bo przecież są na świecie takie dziwaczne usposobienia, które i dla bydła wyrozumiałość i litość mają...

Benedykt zaśmiał się z lekceważeniem.

— Kiedy już sam poturbujesz się dobrze nad gospodarstwem i interesami, będziesz wiedział, jakie różnice zachodzą pomiędzy teorią a praktyką, rzeczywistością a sielanką.

Witold wpadł mu w mowę:

— Jeżeli kiedy, mój ojczu, przekonany zostanę, że teorie moje z praktyką w żaden sposób pogodzone być nie mogą, w łeb sobie strzelę, ale od teorii nie odstąpię za nic...

Benedykt stanął jak wryty i popatrzył na syna takim wzrokiem, jakby go ujrzął nad brzegiem przepaści. Po chwili przecież uśmiechnął się:

— Dziecko jesteś... Każdemu zdaje się za młodu, że jeżeli gwiazdy z nieba nie zdejmie, w łeb sobie palnie, a potem i przy świetle śmierdzącej łójówki żyje...

— Albo — zaprzeczył Witold — za swoją gwiazdę i aby smrodu łójówek nie czuć, łeb sobie roztrzaskać daje... Ty, mój ojczu, znasz z bliska takie przykłady...

— Nie znam, nie wiem i nic wiedzieć nie chcę... — sarknął Benedykt.

— Stryj Andrzej... — drżącymi trochę ustami zaczął Witold.

Ale Benedykt znowu jak wryty stanął...

— Cicho! — stłumionym szeptem zawołał.

Szybko i z trwogą rozejrzył się dokoła, lecz w pobliżu nie było nikogo. Na usta Witolda wybiegł uśmiech bolesnej ironii.

— Nie lękaj się, ojczu — z wolna wymówił — nikt nie usłyszał, że ze czią imię twojego brata wspomniałem!...

Ciemny rumieniec od siwiejących gęstych włosów aż po kołnierz koszuli okrył twarz Benedykta. Zmieszał się więcej jeszcze niż wtedy, kiedy Witold pokorną jego względem wierzytela uniżoność zauważył. Złagodniał też i w bramie ogrodu, które dziedziniec folwarczny z dworskim rozdzielało, mówić zaczął:

— Każdy za młodu ma swoje marzenia i teorie, którym później praktyka kurty kroci<sup>33</sup>. Łbem muru nie przebijesz, a tych ludzi gdybyś i miodem smarował, będą oni zawsze leniwi, niedbali i niezyczliwi...

— Cóż dopiero, kiedy się ich pieprzem karmi! — uśmiechnął się Witold.

— A kto ich tam, do diabła, chce pieprzem karmić? — z odradzającym się rozjątrzeniem rzucił Benedykt.

— Naprzód — zaczął Witold — aż nadto nasypało się im go do garnków z przeszłości, a potem...

Stanął i twarzą zwracając się ku folwarczniemu dziedzicowi, na czworaki wskazał.

— Wszak nie myślisz pewnie, ojczu, że ludzkie energie i uczucia rozwijać się mogą w tych okopconych i przeludnionych izbach? Mówiłeś przed chwilą, mój ojczu, że dach nad głową mają i ordynarię biorą... w dodatku trzydzieści rubli na rok, które zmniejszają się przy każdej szkodzie uczynionej przez nieoświeconą i niezgrabną rękę... Istotnie, jest to byt mogący wzniecać i rozwijać gorliwość, dbałość, zyczliwość...

— A więc — wybuchając przerwał Benedykt — wynajdź sposoby na budowanie dla nich pałaców i żywienie ich pasztetami... bo ja i sam ani pałacu sobie nie wystawiłem, ani pasztetów nie jadam... Tak krawiec kraje, jak materii staje. Kiedy sam z kredką w ręku zaczniesz kroić, przymierzać, łątać i koniec do końca tak ciągnąć, aby je związać, że ci czasem aż ciężkie poty na skórę wystąpią, wtedy przekonasz się, co to jest praktyka i w ogólności, co to jest w naszych warunkach życie... oj, życie!

Roziskrzonymi oczami spojrzał na syna.

Idealista, Samobójstwo

Młodość, Starość, Ojciec,  
Syn, Konflikt pokoleń,  
Lud, Dwór

<sup>33</sup>kurte kroić — dać komuś nauczkę. [przypis redakcyjny]

— Chciałbym — trochę ciszej dokończył — chciałbym bardzo, abys po ukończeniu nauk do domu wracając mnie już tu nie znalazł... abym już wtedy był tam, gdzie... to... tamto... gdzie sobie dawno poszedł... to... tamto... Andrzej! I mnie byłoby lepiej, i tobie...

— Mój ojczule! — przerażonym głosem przerwać chciał Witold.

Ale Benedykt przerwać sobie nie dał.

— Tak — kończył — najpewniej byłoby lepiej... bo gdybyś miał do mnie przywiązanie...

— Wątpisz o nim, ojczule!

— Wątpię. Ale ponieważ tego nie ma... nie ma... no, to gdyby stary grat ustąpił, mógłbyś samowładnie w Korczynie rządzić i chłopów za pasterzy przebrawszy razem z nimi położyć się nad strumykiem i w dudkę gwizdać...

Słowa te wymówiwszy koniec węża do ust włożył i z pochylonym karkiem, ciężko, prędko, szerokimi krokami ku domowi poszedł. Witold w bramie ogrodzenia stał jak skamieniały. Tak był wzruszony, że ramię mu drżało, gdy rękę do czoła podnosił.

Po kilku dopiero minutach z cierpiącą i bledszą niż zwykle twarzą młody człowiek wszedł do sali jadalnej oświetlonej lampą palącą się nad stołem do wieczery nakrytym i dokoła którego dość liczne grono osób już zasiadało. Z wyjątkiem Kirły, który od kilku godzin bawił w Korczynie i po wieczery miał odjechać, było to tylko towarzystwo domowe. Ale, co się zdarzało nieczęsto, pani Emilia, dość zdrowa, w ładnym, letnim szlafrocuku, przysłała dziś do stołu, obok niej umieściła się Teresa z lewą ręką, w której czuła reumatyczne bóle, na białej chusteczce u szyi związanej zawieszoną, u końca stołu Orzelski, błogo uśmiechnięty, dla lepszego przyjrzenia się ustawionym na stole półmiskom srebrne swe włosy pod światło lampy wysuwał, przy nim, wyprostowana, z ładną, żółtawą twarzyczką, siedziała Leonia, Kirło zaś ze śnieżystym i wykrochmalonym przodem koszuli, z przymilonym uśmiechem na kościstej twarzy, z rąk pana domu przyjąwszy kieliszek wódki, umieścił się naprzeciw Justyny z takim pośpiechem, jakby się lękał, aby go ktokolwiek w zajęciu tego punktu przy stole nie uprzedził. Od jakiegoś czasu okazywał on Justynie uprzejmość z nadskakiwaniem graniczącą, ani ku niej żartobliwej i lekceważącej galanterii, ani ku jej ojcu wesołych drwin nie zwracając. Teraz naprzeciw niej siedząc nie tylko poruszenia, ale i spojrzenia jej śledzić się zdawał. Przy tym z serwetą na szyi zawiązaną i całą pierś mu okrywającą zajadając ze smakiem kotlety, nieustanną prawie rozmową zajmował usiłował niezbyt ożywione towarzystwo. Mówił o Różycu. W ogólności mówił o tym krewnym swojej żony tak często i z takim zadowoleniem, że można by go było posądzić o szczytowanie się tym pokrewieństwem. Zresztą sam nie taił tego, że się nim szczycił. Tym razem przecież mówił o nim nie tylko dla chwalenia się, ale i w innym jeszcze celu.

— Zaręczam państwu — mówił — że gdyby mu żyłę przeciąć, popłynęłaby z niej tak krew błękitna... jak na przykład... jak na przykład niemeńska woda w pogodę...

Teresa zachichotała.

— Ej, doprawdy! Pan zawsze żartuje! Kto kiedy widział błękitną krew!...

— Tak się mówi, moja Tereniu, o dobrych, starych rodach — łagodnie wytłumaczyła pani Emilia.

Benedykt zamruczał:

— Doskonałe porównanie... bo czy tam ta krew błękitna, czy nie błękitna, ale że wody w niej wiele, to pewno...

Witold, ze spuszczonej powiekami dotąd siedzący i nie dotykający wcale jedzenia, wzrok na ojca podniósł i w twarz jego nad talerzem pochyloną, surową, pomarszczoną długo popatrzał.

— Zawsze to jednak, panie dobrodzieju — ciągnął Kirło — rzecz przyjemna... przyjemna... z takiego, jak Teofil, rodu pochodzić. Wprawdzie tytułu żadnego nie ma... ani księżę, ani hrabia... ale takie szlachectwo, jak jego, równa się hrabiostwu, a może i jakiemu kiepskiemu księstwu... a jaka parantela<sup>34</sup>... fiu, fiu! Z najpiękniejszymi familiami... panie dobrodzieju mój... rodzona ciotka za księciem...

<sup>34</sup>parantela — krewni należący do jednego, tego samego rodu. [przypis edytorski]

Ku Justynie błyszczącymi oczkami spojrzął, a spostrzegłszy, że potrzebowała soli, z pośpiechem i przymileniem ku niej ją posunął. Potem omletu z konfiturami z półmiska nabierając mówił znowu:

— Pocziwy ten Teofilek! Dwadzieścia dwa lata miał, kiedy mu ojciec umarł... matka żyje jeszcze i w Rzymie na dewocji siedzi<sup>35</sup>... bardzo zacna matrona... a on dwadzieścia dwa lata miał, kiedy stracił ojca i w sukcesji wziął fortunę malutką, maluteńką, ni mniej, ni więcej, tylko, panie dobrodzieju, coś tak około miliona rubli, około jednego, jednego sobie milionka rubli...

— O Jezu! — jęknęła Teresa.

Orzelski językiem mlasnął.

— Caca fortunka... caca... Żeby to te... mieć... choć dziesiątą część tego!

— Aha! Pewno! — podchwycił Kirło — żeby to te... ha! Dziesiątą część... tak ze sto tysięcy... Ale pan omleciku jeszcze nie brał... służę panu!

Ze słabym zaledwie odcieniem dawnej żartobliwości ojcu Justyny półmisek podał.

— Teraz zaś — ciągnął — w trzydziestym pierwszym roku życia swego Teos posiada już tylko trzysta tysięcy, bo Wołowszczyzna, lekko licząc i na najniższą cenę ziemi, warta jeszcze pewnie trzysta tysięcy. Przez osiem czy dziewięć lat stracił więc chłopak sześćset tysięcy... malutkie sobie sześćset tysięcy przez osiem czy dziewięć lat stracił... Ha? Jak się to państwu podoba... zuch chłopak, co?

I zaśmiał się dobrodusznie, serdecznie, a triumfującym i uszczęśliwionym wzrokiem po obecnych wodził. Kolosalność cyfr wymienianych zachwycała i niejako w dumę wbijała posiadacza malutkiej Olszynki. Śmiech uspokoiwszy i z miną smakosza sącząc z kieliszka tanie francuskie wino, które na korczyńskim stole zjawiało się tylko przy gościach, opowiadał o sposobach, w jakich owe sześćset tysięcy przez Teofilka straconymi zostały. Powtarzał pogłoski i opowiadania, które krążyły po okolicy od przybycia do niej Różyca i które mieszkańców tych stron ciężkim życiem mniej lub więcej steranych w zdumienie wprawiały, Sodomę, Babilon i inne tym podobne miejsca nieprawości im przypominając. Łatwiej byłoby wyliczyć to, czego o Różycu nie mówiono, niż to, co mówiono, a co teraz Kirło z werwą okraszona dowcipami i dwuznacznikami, ze szczególnym i widocznym lubowaniem się powtarzał. Wille w okolicach Wiednia i Florencji, apartamenty przy paryskich bulwarach, gry w ruletę<sup>36</sup> i sztos<sup>37</sup>, głośne przygody z najgłośniejszymi przedstawicielkami półświatka, w dziennikach aż opisywane zakłady i pojedynki... Ile w tym wszystkim mieściło się prawdy, a ile przesady, trudno zgadnąć, najpewniej przesady było niemało, ale i prawdy wiele. Siedzące przy stole korczyńskim osoby niektóre z opowiadanych szczegółów już znały, innych słuchały z różnymi wyrazami twarzy. Z wyjątkiem przecież Benedykta, który schylał się jeszcze nad talerzem i Witolda, który wciąż błady i smutny powiek prawie nie podnosił, wszystkie spojrzenia nieustannie zwracały się na Justynę. Kirło spostrzegłszy, że ku karafce rękę ona wyciąga, z pośpieszną, lecz i pełną uszanowania galanterią do szklanki jej wody nalał, po czym o wartości i piękności Wołowszczyzny mówić zaczął:

— Pałacyk szyk! Zaniedbany teraz, co prawda, ale gdyby go odrestaurować, urządzić... byłaby rezydencja pańska, rozkoszna...

Końce palców swoich pocałował, a Orzelski, który niegdyś przez Wołowszczyznę przejeżdżał i pałacyk widział, ustami pełnymi omletu cmoknął.

— Caca pałacyk... caca!

Palcem w powietrzu wykręcać zaczął.

— Wieżyczki, balkony, wykrętasy... tylko że z drogi patrząc zdaje się, że zaraz to... runie!

— Nie runie. Pałacyk nie runie, wyrestauruje się, odświeży, urządzi, gdy tylko właściciel tego zechce... a zechce wtedy, gdy zrobi projekt ożenienia się. Ale co grunt, to że Wołowszczyzna posiada osiem folwarków ze śliczną glebą, a w tych folwarkach, jak u Pana Boga w spiżarni, wszystkiego pełno: lasy, stawy, ogrody, pachty<sup>38</sup>, młyny, dwie

<sup>35</sup>na dewocji siedzieć — potocznie: mieszkać w klasztorze bez składania ślubów zakonnych. [przypis redakcyjny]

<sup>36</sup>ruleta — gra hazardowa. [przypis redakcyjny]

<sup>37</sup>sztos — hazardowa gra w karty. [przypis redakcyjny]

<sup>38</sup>pacht — dzierżawa. [przypis redakcyjny]



gorzelnie, dawniej fabryka czegoś tam była i przynosiła dużo, a choć upadła, znowu powstać może i dużo przynosić. Wszystko tam, co prawda, podupadło i zrujnowało się, ale podniesione i wyrestaurowane być może, gdy tylko Teofilek zechce, a zechce najpewniej wtedy, kiedy się ożeni, żoneczka rozumna i energiczna do gospodarstwa go zachęci i pieśzcotami, rozumkiem, taktem swawolnego ptaszka w gniazdku zatrzyma...

Tak mówił Kirlo i w półzartobliwie, w pół z rzetelną admiracją na Justynę patrzył. Filuternie i uniżenie przymilone jego rysy zdawały się do niej przemawiać: „Uwielbienia godną jesteś już przez to, żeś wzrok jego zwrócić na siebie potrafiła, a gdy to wielkie, cudowne szczęście, które ci prorokuję, posiędziesz, bądź na uniżonego sługę swojego łaskawą!” i wszyscy zresztą, oprócz Benedykta i Witolda, na Justynę spoglądali, a w spojrzeniach i uśmiechach pani Emilii, Teresy, nawet niedorosłej Leoni, którą opowiadania Kirly zaciękały i ożywiły, wyraźnie malowały się wykrzykniki: „Dziwne, nadspodziewane szczęście! Cud prawdziwy nad biedną dziewczyną przez Opatrzność okazany!” Pani Emilia myśli te nawet słowami wyraziła:

— Prawdziwy zaszczyt sprawi pan Różyca kobiecie, którą za żonę wziąć zechce. Taki ród, majątek...

— Ach, i takie serce! — przebiła jej mowę Teresa.

— A pałacyk! Ach, mamciu, pałacyk! To najmiłsze ze wszystkiego — na krześle podskakując wykrzyknęła Leonia, która przed niewielu dniami tak gorąco a nadaremnie błagała ojca o posągi i nowe meble do korczyńskiego salonu.

Justyna przez cały ciąg wieczery milczała. Nie mogła jawnie odpierać ani przyjmować spadających na nią spojrzeń, uśmiechów, półsłów, bo nie były jawnie ku niej zwracane. Rzadko podnosiła oczy, ale ile razy je podniosła, przebiegał w nich błysk obrazy. Wargi jej, jak dojrzała wiśnia pełne i purpurowe, przybierały chwilami wyraz dumny i wzgardliwy. Nie wiedzieć dlaczego, to, co innym wydawało się pochlebne i zaszczytne, ją drażniło i obrażało. Wszyscy wprawdzie wiedzieli o tym, że najwybitniejszą cechą jej charakteru była duma. Ale właśnie dumna kobieta powinna była być świetnym zwycięstwem na wół już odniesionym i otwierającą się przed nią perspektywą czuć się pochlebiona i uszczęśliwiona...

Benedykt, który swoim zwyczajem jadł wiele i długo, a raz w rozmowę słowo rzuciwszy, więcej się już nie odzywał, rozumiał dobrze, iż wszystko, o czym przy stole mówiono, odnosiło się do Justyny. Kiedy po raz pierwszy usłyszał był od żony pełne zdumienia i zachwycenia opowiadanie o prawdopodobnych względem Justyny zamiarach Różyca i o staraniach w celu urzeczywistnienia się ich przez Kirłową czynionych, zdziwił się także i trochę ucieszył.

— Daj Boże! — wymówił. — Daj Boże! Dla biednej dziewczyny świetna to partia i niespodziewana... istotnie niespodziewana!...

Ale później niewiele myślał o tym. Krewnej i wychowawcy swej dobrego zamążpójścia życząc, czynnie doń dopomagać czasu ani ochoty nie miał. Wprzód jeszcze nieraz przychodziło mu na myśl, że gdyby Justyna za mąż wychodziła, musiałby jej oddać zlokowane na Korczynie a do niej należące pięć tysięcy, co by mu nowych kłopotów przysporzyło. Teraz, przy tej wieczery, przyszło mu na myśl, że jeśli wyjdzie ona za Różyca, kłopot ten oszczędzony mu zostanie, bo dziedzic Wołowszczyzny natychmiastowego wchodzenia w posiadanie tej sumki potrzebować nie będzie. Więcej o tym nie myślał wcale, tylko, widząc, opowiadania Kirly, a szczególnie brzmiący w nich ton bałwochwalczej dla bogactwa i użycia chwalby zirytował go nieco. Kirlo zresztą irytował go zawsze. Podniósłszy więc twarz znad talerza i wasy serwetę otarłszy, jakby do wstawania od stołu obie ręce o stół opierając, przemówił:

— Wszystko to bardzo piękne i ja panu Różycowi ubliżać nie chcę. Młody jest i poprawić się może, bo jak słyszałem i sam spostrzegłem, rozsądek i dobre serce ma... Ale abym przeszłość jego pochwalał, to nie. Taką fortunę stracić na karty i metresy<sup>39</sup> rzecz niegodna. Tak tylko łajdaki robią...

— Benedykcie! — z cicha jęknęła pani Emilia.

— A tak — nie zwracając oczu na żonę energicznie potwierdził. — Przy tym tak już nic a nic nie robić, jak ci panowie, to także, powiem prawdę, świństwo. Człowiek, który

Kobieta, Pozycja społeczna,  
Służalność

Duma

Praca, Szlachcic

<sup>39</sup>metresa (przestarz.) — utrzymanka, kochanka. [przypis edytorski]

na świecie jedząc chleb nie pracuje, czy tam w nim błękitna krew płynie, czy popielata, czy czerwona, jest darmożadem i niczym więcej... Jeżeli zaś jeszcze i na marcypanach pasie się, a nawzajem dla świata, który mu marcypany daje, palcem nawet pokiwać nie chce, no, to już go mam za...

Wtem przypomniał coś sobie, pomiarkował się i trochę miększym głosem dokończył:

— Ale ja tego nie mówię do pana Różyca... nikomu ubliżać nie chcę... może on jest i najlepszym człowiekiem... tylko... te wielkie bogactwa, które takie frukta rodzą, te... te... to... tamto...

Chciał widocznie połknąć wyrazy, które wydzierają mu się z gardła, ale nie dokonał tego. Ręką machnął i dokończył:

— Te wielkie fortuny niechby wszyscy diabli wzięli!...

Krzesełko ze stukiem odsunął i od stołu wstał. Obok niego, ciche jak westchnienia, rozległy się jęki:

— Benedykcje! Ja nie mogę... o mój Boże... ja nie mogę wyrazów takich słuchać... ja... takich zdań... o takim człowieku... nie mogę... ja...

Pani Emilia usiłowała podnieść się z krzesła, ale nie mogła. W gardle ją dławić zaczęło, nogi chwiały się pod nią.

— A toż co? — ze zdziwieniem zapytał Benedykt — co ci się stało?

Ale już Kirło z troskliwością i współczuciem przyskakiwał do pani domu ramię jej podając, a z drugiej podtrzymywała ją Teresa. Tak we troje przeszli całą długość jadalnej sali, Benedykt zaś jak wryty wzrokiem za nimi prowadził.

— W imię Ojca i Syna... a cóż ja jej złego zrobiłem? Znowu zachoruje czy co?

Ale w tej chwili giętkie dłonie obie ręce jego ujęły i przyłgnęły do nich gorące usta.

— Mój ojciec — z cicha wymówił Witold — pocałuj mnie... proszę!...

Coś dziwnie pocieszonego i roztkliwionego mignęło w ponurych źrenicach pana Benedykta, jednak surowo brwi zmarszczył.

— Cóż? Może za to, że w twoją dudkę zagrał o tym panku mówiąc, raczysz mi winy moje przebaczać?

Witold w dłoniach swoich ręce jego trzymając, powtórzył:

— Pocałuj mnie, mój ojciec...

Na bladawym, smutnie przed nim pochylonym czole syna złożył pocałunek szorstki, ale długi. Uśmiech niewesoły jednak gorzki raczej, pod długim wąsem mu przebiegł.

— Gorącą masz głowę — zauważył.

Ale tej krótkiej, dwuznacznej uwagi Witold może i nie dosłyszał. Ze słowami, które ojciec jego u końca wieczery wymówił i z pocałunkiem ojcowskim wróciła mu cała żywotność i wesołość. Pochwycił wpół Martę, która do kredensowej szafy kompot i resztę wina chowała i kilka razy obrócił ją w kółko, potem przy wtórze śmiechu, łajania i kaszłania starej panny przyskoczył do stojącej u okna Justyny.

— Wiesz, Justynko — pięścią jednej ręki o dłoń drugiej uderzając prędko i z błyskającymi oczami mówił — ten Kirło to pasożyt, pieczeniarka, błazen, czciciel złotego cielca, hipopotaurus, mastodont<sup>40</sup>, przedpotopowe zwierzę! Gdybym mógł, to bym takich ludzi jedną ręką brał tak... za włosy, a drugą za gardło i — trrrra! Karki bym im skręcał!

Justyna parsknęła śmiechem.

— Zrób to naprzód z kurczakiem — zawołała — a wtedy uwierzę, że mógłbyś zrobić z Kirłą!

— Jak ojca kocham! — srożył się jeszcze student. — Bo to, widzisz, zakała świata! Gdyby nie tacy, jak on, świat by już był daleko... daleko... A nam o to przecież idzie... ty nie masz może pojęcia, jak nam o to idzie... o idee... o ludzką wolność, godność... W ogień bym za to wskoczył, rodzzonego ojca mógłbym się wy...

Wstrzymał się, nie domówił, trochę ochłodził. Nagle w twarz kuzynki przenikliwie spojrział.

— Czy ty, Justynko, za to dziurawe sito pójdziesz?

Zaśmiała się znowu.

— Masz taki sposób pytania, Widziu...

<sup>40</sup>hipopotaurus, mastodont — nazwa dawno wymarłych zwierząt, tu przenośnie: człowiek niewspółczesny, zacofany. [przypis redakcyjny]

— Wiesz dobrze, o kim mówię... No, za tego welinowego człowieka, jeżeli oświadczy się o ciebie, pójdziesz?

Wzruszyła ramionami.

— Mój drogi — z wolna odpowiedziała — czyżbym mogła odrzucać od siebie tak wielkie, niespodziewane, cudowne szczęście... taki zaszczyt i łaskę? Sam pomyśl, czyżbym mogła?

Zdawało mu się, że w jej głosie dosłyszał tłumiony śmiech, ale twarz miała poważną, surową i niezwykajnie błyszczące oczy. Ręką rzucił.

— At — rzekł — niczego z kobietami pewnym być nie można! Zdaje się, że rozsądna, a może i pstro ma w głowie, czy ja wiem? Na Buszmanki<sup>41</sup> was wychowują, to i wszystko na świecie gotowe jesteście zrobić, byleby was ładnie ufarbowano. Ale tymczasem, nim wielką panią zostaniesz, na wesele Elżusi pójdziesz... wiesz? Marynia tam także będzie, już ja to u pani Kirlowej uproszę, byleby tylko pod opieką cioci Marty, którą także podejmuję się namówić...

W tej chwili drobne jakieś ręce ramię jego objęły i prawie dziecinny głos tuż przy nim zawołał:

— Widziu, i mnie weźcie na te wesele! Już mnie o nim Zofia tyle nagadała... ona krewna pana młodego i zaproszona... tańczyć będą... i ja chcę potańczyć!

— Z największą ochotą! — zawołał Witold. — Choć raz zobaczysz w Korczynie coś więcej nad dom i ogród!

— Nie żartuj, Widziu — krzywiąc ładne, blade usta skarżyła się dziewczynka — mnie tak nudno, nudno ciągle u mamy w pokoju siedzieć albo po tych alejach w ogrodzie chodzić...

— Patrzcie! — sarknął młody człowiek. — Od ziemi ledwie odrosła, a już nudzi się! Czy nie zaczynasz już i na nerwy chorować, moja ty... przyszła Buszmanko!...

Dziewczynka skarżyła się dalej:

— A pewno! Głowa mnie boli często! Wiesz, Widziu, wolę już być na pensji, bo tam choć rozmaitości więcej... Całe moje szczęście, że dla cioci Marty pantofle wysyłam...

Tu niedokrwestość zdradzająca żółtawa jej twarzyczka rozjaśniła się uśmiechem prawdziwie dziecinnej radości.

— Śliczne pantofle! — zawołała. — Jutro je cioci oddam! To dopiero będzie rada! Rada!

Klasnęła w dłonie, podskoczyła, brata wpół objęła i znowu żalonym głosem prosić zaczęła:

— Weź mnie, Widziu, na te wesele... potańczyć chce się... Zofia mówi, że tam wesoło będzie... taką ładną suknię już sobie przygotowuje!

Witold zamyślił się.

— Mamy o pozwolenie poprosić trzeba...

— Poproś... — błagał podłotek.

— Czemu sama nie chcesz?...

Dziewczynka ruchem przest్రachu ręce splótła.

— Lękam się... nie mogę... jeszcze się zmartwi i zachoruje... Mama zawsze choruje, jak tylko co się jej nie podoba... Tobie łatwiej... ty rozumniejszy...

W godzinę potem Marta z trzaskiem otwierając drzwi do pokoju swego wpadła i zobaczywszy znajdującą się tam Justynę wołać zaczęła:

— Awantury! Słowo honoru, arabskie awantury! Na wesele iść z nimi! Przymiła się, obejmuje, całuje, prosi... „Idź, ciotko, z nami do Bohatyrowiczów na wesele... idź, idź!” I śmiech, i złość! Co ten chłopiec wymyślił sobie? Stare kości po weselach ciągać! Wieczny śmiech! A co ja na tym weselu robić będę? Na co ja tam potrzebna! Pfuj, zgiń, maro, przepadnij! A to przyczepski z tego Widzia! Uf! Nie mogę!...

Jak huragan, od łóżka do szafy, to znów od szafy do łóżka biegała i trudno było zgadnąć, czy rozgniewana była lub rozśmieszona, bo śmiała się, łajała, rękami machała...

Nuda

Choroba, Matka

<sup>41</sup>Buszmenki — kobiety jednego z koczowniczych plemion murzyńskich Afryki południowej. Orzeszkowa często używa tego określenia w stosunku do kobiet z arystokracji, pragnąc zaznaczyć, że powierzchowna kultura salonu bliższa jest stanowi „dzikości” niż prawdziwej cywilizacji. [przypis redakcyjny]

Justyna przy świetle lampy u otwartego okna stojącej, szyciem zajęta, przyjazny wzrok na starszą towarzyszkę swoją podniosła.

— Bo też ciocia pójdzie z nami na to wesele — z filuterną przekorą rzekła.

— Wieczny śmiech! — krzyknęła stara panna. — Po co ja tam mam iść? Na co? Dlaczego?

— Naprzód dlatego, że ciocia Witoldowi niczego by odmówić nie potrafiła, a potem dlatego, że są to przecież dawni znajomi cioci...

Jak słup pośrodku pokoju stanęła, czarne jej oczy zapłonęły zrazu jak żuźle, a potem zmałyły się wielkim zmieszaniem. Ciszej daleko niż wprzód zamruczała:

— Dawni znajomi! To prawda... i dobrzy niegdyś znajomi! Ale kiedy to było! I... krótko to było! A teraz... po co? Czy po to, ażeby ludzi straszyć? Jak upiór z tamtego świata przed oczami ich stanąć! Dawni znajomi! Ale... czy poznaliby mnie teraz? Czy ja bym ich poznała? Wieczny smutek...

Nagle uciszona, przygarbiona trochę, naprzeciw Justyny po drugiej stronie stołu usiadła i w twarz towarzyszki wlepiając spojrzenie rozgorzałe i razem dziwnie jakby wstydlive zagadnęła:

— Jakże to było? Skąd się to wzięło? Czego dziś córka Fabiana tu przylatywała i gdzie biegaliście razem, jak podsmalone? Czy i Witold tam był? Wieczne dziwy! Czy myślicie przerobić się na chłopów?

Było to tak. Dziś, dużo jeszcze przed zachodem słońca, gdy Justyna po parogodzinnym wtórowaniu na fortepianie ojcu do pokoju tego przyszła i w nadchodzący wieczór jak w pustą jamę patrzyła, czym go zapewnić nie wiedząc, w otwierających się drzwiach, zasapana trochę od szybkiego biegu, w swojej odświętnej, bordowej sukni, stanęła Elżusia. Stanęła, krępą figurkę wyprostowała, zadarty nos podniosła i zagadła:

— Czy tu przyjmują, czy nie przyjmują? Jeżeli przyjmują, to dobry wieczór, a jeżeli nie przyjmują, to bywajcie zdrowi! Bardzo słusznie! Przyszłam panienkę na świeży miód zaprosić...

Na krześle podanym jej przez Justynę siadając trzepała dalej:

— Ten gamuła Julek sprzeczał się ze mną, że nie będę miała śmiałości iść do dworu i z radą wystąpił, żebym koło oficyny szła i w kuchni spytała się, czy do panienki można... Ale ja nie taka! Czy ja pies, żeby koło kuchni chodzić? Bardzo słusznie. Poszłam sobie prostą drogą, przez ganek do sieni, aż tu nie wiem, gdzie iść... na prawo czy na lewo?

Na szczęście do sieni weszła panna Marta, taka sroga, ale ona nie złąkla się jej wcale, bo i czegoż lękać by się miała? Nie przyszła przecież kraść i nie jest psem, aby ją można było wypędząć! Bardzo słusznie. A gdyby i samego pana Korczyńskiego spotkała, nie złąkłyby się również, choć on jest arystokrat. Ale on sobie, a ona sobie. U ojca rodzzonego mieszka, cudzego chleba nie je i nikt nad nią żadnego postrachu ani pośmiewiska wywierać nie ma prawa. Jednego tylko Boga lęka się, po Bogu ojca, a więcej to już chyba takiego człowieka na świecie nie ma, którego by ona lękać się mogła.

Ciekawie rozejrzała się po ścianach i sprzętach pokoju.

— Nic osobliwego — zauważyła — w naszej świetlicy może jeszcze i piękniej. Na dole, to prawda, że pokoje piękne, ale nie nadmiar, chyba, ot, że podłogi błyszczą jak szkło i to jest bardzo ładnie. Ale dziw wielki, że u króla żonka piękna! Bardzo słusznie!

Prawdę powiedziawszy i pod sekretem, ojciec kazał jej iść do dworu i spróbować, czy też panna Justyna do chaty ich przyjść zechce. „Idź i niby to na miód zaproś!” Bardzo słusznie. Kto wspólnie z nami pracował, niech z nami i zabawi się, kto naszej gorzkości spróbował, niech i słodkości pokosztuje. Ale ona wie bardzo dobrze, o co jej ojcu idzie. Zachichotała.

— Ojciec ambicjant taki, że już i przenieść nie może, aby w sąsiedztwie państwo bywali, a u niego nie. Powiedzieć, za nic tego przed nikim nie powie, ale już ja wiem, że jemu to smętlowie... A teraz i z tym procesem, co go z panem Korczyńskim zaprowadził, wielką alterację<sup>42</sup> ma. Słyszę, w miasteczku mu powiedzieli, że adwokat apelację, czy coś tam takiego, nie w czas podał i że wszystko przepadnie. Może ociec myśli, że przyjdzie z panem Korczyńskim pojednać się i orędowników u niego chce mieć. Bardzo słusznie.

<sup>42</sup>alteracja (przestarz.) — wzburzenie, niepokój. [przypis edytorski]

Ale i na tym wszystkim nie koniec. Elżusia zachichotała znowu, zarumieniła się, oczy na chwilę spuściła i wnet potem śmiało wypowiedziała:

— Najwięcej, że ociec żąda oświadczyć, że wielkim dla nas wszystkich szczęściem to będzie, jeżeli panna Justyna i pan Witold na moim weselu będą.

Gdy już obie w drodze były, pomiędzy dworem i okolicą Justynie powiedziała, że narzeczony ze swatem dziś do nich przyjechali. Swatem jest pan Starzyński, Janka ojczym. Justyna tedy narzeczonego jej pozna.

— Młodzieńki i mileńki bardzo, a taki pokorny, że zdaje się jak baranek...

Sposób, w jaki to mówiła, zdradzał wyraźnie, że była narzeczonym zachwycona. Jednak i o praktycznej stronie małżeństwa nie zapomniła. Podobało się jej bardzo, że Franuś Jaśmont miał dobre konie, krów aż sześć i spory kawał łąki. Gdyby to jeszcze ojciec mógł jej gotówką cały posąg wypłacić! Ale gdzie tam! Połowę tylko wypłaci, a na połowę *weksele* wyda. Na ten proces z panem Korczyńskim wielkie koszta położył i teraz dla rodzzonego dziecka kurczyć się musi. Żeby te procesy lichu wzięło!

Kiedy wchodziły do zagrody Fabiana, słońce rozścielało po jej trawach złoty kobierzec, a mnóstwem tajemniczych i ruchliwych światel napełniało gaj śliwowy, w którym sterczało kilkanaście starych ulów, brzęczały pszczoły i na zabój śpiewały szczygły. Za śliwowym gajem, łankiem dojrzałego owsa i zagonami warzywa, u których kresu iskrzyły się krzaczyste floksy i czerwone georginie, dom ku ogrodowi bokiem, a ku małemu podwórku gankiem zwrócony stał pod srebrnymi topolami, które na jego strzechę i jedyny komin łać się zdawały nieustanny deszcz srebrnych kropel. Wszystko tu było tak prawie, jak u Anzelma i Jana, jednak daleko ciaśniej i biedniej. Ule były starej konstrukcji i nie pomalowane, stodoła mniejszą i lasem chwastów dokoła obrosła, ściany domu od starości trochę wykrzywione, strzecha miejscami od porastającego ją mchu zielona, miejscami żółtą słomą połatana. Z drzew owocowych, oprócz śliwowego gaju, tu i ówdzie pośród zagrody stało tylko kilka prawie zdziczałych grusz i jabłoni.

Ale z ławy stojącej pod wykrzywionymi ścianami domu, spod dwu otwartych okien o małych i mętnych szybach, na widok wchodzącego do zagrody gościa bardzo poważnie podniosła się para ludzi i bardzo ceremonialnym krokiem naprzód dążyła. Mężczyzna, do rydza ze sterczącymi wąsami i błyszczącymi oczami podobny, jedną rękę opierał na kłębie, drugą, w której wytartą czapkę trzymał, spuszczał u boku. Kobieta, cienka, mizerna, w krótkiej spódnicy, przedwiecznej, rozwiewającej się mantyli i *kornecie*, czyli białym czepcu z obfitym i sztywnym wygarniowaniem, szła cała w takich uśmiechach i krygach, jak gdyby zaraz do ceremonialnego i dygającego menueta<sup>43</sup> stanąć miała. Na ścieżce pomiędzy owsem i zagonami buraków wydeptanej Fabian głośny pocałunek złożył na rękę Justyny, a wnet potem obie już ręce na kłębach opierając zaczął:

— Bardzo jestem kontenty i najuniżeniej dziękuję, że otrzymać mogłem tę promocję, której tak często sąsiedzi moje doświadczają. Bo choć oni troszkę i bogatsi ode mnie, ale ja również sam sobie pan jestem i znacznym nie będąc mogę być zacnym. Proszę panią dobrodziejkę naprzód postąpić... z ukontentowaniem proszę!

Fabianowa zaś usta sznurując dygała i w wyciągającą się ku niej dłoń Justyny wsunęła rękę kościstą, do pomarańczowej prawie barwy ogorzała, od spracowania twardą. Trochę była zakłopotana i bardzo zajęta tym, aby okazać się nie tylko przystojną, ale i dworną, nad to, co ją otaczało, nieco wyższą. Za mężem powtarzała:

— Proszę... z ukontentowaniem proszę!

I po zagonach buraków idąc stopą w gruby trzewik obutą, suche gałązki zrzucała ze ścieżki, którą szła Justyna.

— Śmiecie u nas — tłumaczyła się — zwyczajnie, jak na małym gospodarstwie... pani do tego nie przywykła i ja kiedyś insze życie i uzwyczajenia miałam. Giecołówna z domu jestem, ociec mój na takiej zagrodzie nie siedział, ale po dzierzawach chodził... później już, kiedy Pan Bóg nie pobłogosławił, pożary i mory na bydło nawiedziły, na ekonomię zszedł...

Westchnęła i chudy policzek na dłoni oparła.

— Jeszcze i teraz rodzzonego mego brata syn, Józef Giecoł, dzierzawę trzyma... może pani słyszała?... od Korczyzna niedaleko... A drugi Giecoł w biurze...

<sup>43</sup>*menuet* — wytworny, dworski taniec francuski z XVII–XVIII w. [przypis redakcyjny]

Dom, Wieś

Gospodarz, Gospodyni,  
Gość

Ale przerwał jej mąż:

— A u imości wiecznie tylko Giecołdy w pamięci zasadzone! Wczas już by było znacznemu gościowi zarekomendować przyszłego naszego zięcia. Franuś, panie Franciszku! Proszę tu do nas!

Pod ścianą domu z ławy powstali znowu dwaj ludzie, z których jeden co najmniej dziwnie wyglądał. Dość wysoki, od karku do stóp jednostajną grubość mający, w zielonym jak trawa surducie, a z czerwoną, dobroduszną, śmiejącą się twarzą podobnym był do równo okrzesanego krzaku z zasadzoną u wierzchu piwonią. Drugim był młodziutki, dwudziestoparoletni chłopak, niski, szczupły, w czarnym surducie, z twarzą nieładną, ogorzałą, trochę głupkowatą i bardzo łagodną.

— Pan Starzyński ze Starzyn, mąż dawniejszej pani Jerzowej. A to Alżusi kawaler, Franciszek Jaśmont... — zarekomendował Fabian.

Elżusia, która dotąd w cichości szła za towarzystwem, zza ojca wyskoczyła i zagadała:

— Jezul! A toż to pan Starzyński! Bardzo słusznie! A ja myślałam, że to taki wielki krzak piwonii pod naszymi oknami zakwitnął!

Starzyński po surducie swoim wzrokiem powiódł i zaśmiał się najgłębszym basem, a tak serdecznie, że aż mu tłuste policzki trzęsły się i lzy do małych oczu nabiegły.

— A to mnie tak moja imość wystrychnęła... — śmiać się nie przestając mówił — utkała sukno i kazała je na zielono pofarbować... Ja do niej: „Czy ty, babo, rozum na drodze straciła?” A ona: „Niech jegomość mnie podziękuje, bo zielony kolor najmilszy, nadzieję oznacza”. Co robić? kiedy choć stara, a romansowa! Wszystko równo! co człowiek wdzieje na siebie, to wdzieje... byle było co do gęby włożyć!

Elżusia do ucha Justynie szepnęła:

— Zdaje się, że dobry, a taki skąpiec, że niech Pan Bóg broni... od gęby sobie i dzieciom odejmuje, a pełną szufladę w komodzie ma asygnatek<sup>44</sup>...

Jednak tusza i barwa twarzy Starzyńskiego nie zdawała się świadczyć, aby miał on sobie bardzo od gęby odejmować.

Przed ławą pod ścianą domu stojącą, na niedużym zydłu stała spora misa z pięknym, złotawym, tylko co z plastrów wyciekłym miodem, a przy niej leżał wielki bochen razowego chleba i szeroki nóż w kościanej oprawie.

Pierwszą po przyjeździe do domu czynnością Elżusi było zdjęcie trzewiki. Boso teraz po trawie biegała narzeczonemu rozkazy wydając.

— Panie Franciszku! Proszę przynieść krzesło dla panny Justyny!

Chłopak w mig ku chacie się rzucił. Fabian kroił chleb, którego spód, tak jak u Anzelma, okrywały wyraźne rysunki klonowych czy lipowych liści. Przez parę minut panowało trochę kłopotliwe milczenie, przerywane tylko wykrzyknikami Elżusi, która narzeczonego posyłała to po osobną miseczkę dla Justyny, to po łyżkę, to mu rozkazywała przepędzić psa na widok chleba zbliżającego się do zydła, musztując go przy tym i niby wyśmiewając, to że powoli chodzi, to że niezgrabnie przyniesione przedmioty umieszcza, a wszystko to głośno, rezolutnie, białymi zębami w uśmiechach błyskając a imponująco zadarty nossek podnosząc. On zaś, milczący, pokorny, ze zmieszania niezgrabny, spełniał wszystkie jej rozkazy i komenderówki, a ilekroć na nią spojrział, z podziwu czy zakochania usta otwierał i na podobieństwo słupa nieruchomiał. Miodu jeszcze ani skosztował, tak go Elżusia ustawicznie pędzała i musztowała. Za to wszyscy inni, po kolei, nóż w kościanej oprawie brali, miód nim na chleb kładli i kęs jego odgryzłszy porcje na zydłu składali, powoli ze skrzyżowanymi na piersi lub opuszczonymi na kolana rękami przeżuując. Fabianowa przewlekłym swym głosem opowiadała o pasiece, którą miał ojciec jej Giecołd, kiedy jeszcze po dzierzawach chodził.

— Dzień po nocy, a noc po dniu następuje... — śpiewała — tak i ja... z dostatków takich na te małe gospodarstwo przyszłam, jak robotna pszczoła całe życie *przechorowałam*, i ot... czego dobiłam się!...

— Mruczyciło z imości — sierzisto przerwał Fabian — ze wszelakiej rzeczy materię do lamentów wyprowadzisz. Wiadomo, im gorsze koła, tym więcej skrzypia!

Starzyński śmiał się znowu tak, aż mu lzy do oczu nabiegały. Fabian zaś nagle wzrok

Strój

Gość, Jedzenie, Obyczaj

Gość, Pies

<sup>44</sup>*asygnatka*, właśc. *asygnata* — dokument w formie kwitu kasowego będący dowodem dokonanych wpłat lub wypłat. [przypis edytorski]

utkwil w ścieżce od bramy ogrodzenia przez ogród wiodącej, prostować się zaczął, z ławy wstał i rękę na kłębie oparł.

Od wielkiego zadowolenia, jakie uczuł, rumiane policzki mu zadrgały i poruszyła się kępka twardych włosów.

— Wesoły nam dziś dzień nastał! — gromko zawołał. — Drugiego już znacznego gościa Bóg nam prowadzi!...

Drugim tym gościem był Witold, który od kilku już minut niespostrzeżony przez nikogo za niskim ogrodzeniem stał, gronu osób siedzących pod ścianą domu przypatrując się z daleka, aż nieprzewyciężoną widoczną ochotą zdjęty, ku niemu dążyć zaczął. Czarny Mars biegł za nim. Rękę gospodarzowi zagrody podając młody Korczyński przeproszał, że psa za sobą wiede. Ale Fabian z uprzejmością niezmierną i z szerokimi zarówno jak niskimi ukłonami wykrzykiwał:

— Nic to! Nic to! Z ukontentowaniem witamy... z ukontentowaniem, wspólnie z pieskiem, witamy. A co to szkodzi! Kto pana kocha i jego psa głaszcze. Pies dobry lepszy niżeli zły człowiek!

Łagodnego wyża gładził istotnie, a Fabianowa z ławy powstawszy, w rozwiewającej się mantyli najpiękniejsze ze swych krygów przed nowym gościem wykonywała. Ale nic ją więcej uszczęśliwić nie mogło nad to, jak gdy Witold o zdrowie jej zapytał. Upatrywała w tym naprzd okazane jej uszanowanie, a potem była to na jej młyn wyborna woda. Uśmiechając się więc od radości, żałośliwym jednak tonem mówić zaczęła:

— Skrzypię... ciągle skrzypię, ale to nic skrzypiącego drzewa dłużej! My z panem dobrodziejem nie od dzisiaj znajomi... takim malutkim jeszcze przybiegał do nas, a i potem z klas do mamy i papy przyjeżdżając, czasem nawiedzał... Pan dobrodziej wie, od czego moje zdrowie na suche lasy poszło... *Chorowałam*, wodę na górę ciągałam... ta krwawa woda najwięcej mnie zgubiła... przy tym nie do tego urodziłam się... uzwyczajenia z początku nie miałam... bo pan dobrodziej przypomina pewno sobie, że Giecołdówna jestem, tego Giecołda, co po dzierzawach chodził... Brata mego syn jeszcze i teraz dzierzawę trzyma, a drugi w biurze...

— Taż baba, też koła! — mruknął Fabian i mowę żonie przebijając począł gościa o żniwa korczyńskie rozpytywać.

Starzyński, który także młodego Korczyńskiego znał od dzieciństwa, wmieszał się do rozmowy, o gospodarstwie, o urodzajach i różnych glebach tej okolicy prawiąc i często rozmowę basowym, dobrodusznym, nieskończonym, zda się, śmiechem przerywając.

Elżusia tymczasem, nieco z daleka, u węgła domu narzeczonemu do ust po odrobinie miodu łyżką wkładała, a on za każdym razem czerwoną jej rękę z głośnym cmokaniem ust całował.

— Niech pan Franciszek tego cmokania zaprzestanie, a po ludzku ze mną pogada — zakomenderowała.

Jak maszyna posłuszny, całowania zaprzestał, a w zamian szeptać ze sobą poczęli, a raczej ona szeptała, on zaś z pokornym wzrokiem wszystkimu, co mówiła, głową potakiwał.

Wtem u ogrodzenia z desek, rozdzielającego zagrody Anzelma i Fabiana, coś zaszeleściło. Była to Antolka, która ze szczytu ogrodzenia zsunęła się na ziemię, wywdzięczając się tym sposobem sąsiadce, tą samą drogą nieraz do niej w odwiedzin przybywającej, tylko że gdy tamta spadała jak pulchna kluska, ta, wysmukła i lekka, zlatywała jak piórko. W codziennym stroju była, bo i dzień był powszedni, a tylko u Fabianostwa z powodu odwiedzin narzeczonego stał się świąteczny. Spostrzegłszy Justynę, do głowy obie ręce podniosła:

— Oj, Boże mój, Boże — zawołała — toż Jankowi zgryzota będzie, że dziś go w domu nie ma! Po siano na łąkę pojechał... aż o dwie mile!...

Naiwny ten wykrzyk dziewczęcia purpurą okrył twarz Justyny, której właśnie Fabianowa opowiadała o najlepszych sposobach moczenia i suszenia lnu i o lnie mówiąc zupełnie o Giecołdach zapomniała. Witold nachylił się do ucha kuzynki.

— Czegoś się tak zarumieniła? — z filuterną przekorą szepnęła.

Antolka, widokiem wielu na raz osób onieśmielona, zbliżała się powoli. O, ta nie potrafiłaby pewno rozkazywać narzeczonemu i do musztry go układać! Lękliwa była, łagodna i dziwnie delikatna w kształtach i ruchach. Ale też i ten młody mężczyzna, którego

dymkowy surdut najpiękniejszą kanarkową barwą w tej chwili błysnął w bramie zagrody, pewno nikomu nad sobą przewodzić by nie pozwolił. On także jeździł po siano na łąkę, którą o dwie mile stąd wspólnie z kilku sąsiadami dzierżawił, ale przed godziną już powróciwszy kanarkowy surdut przywdział i tam, gdzie go serce ciągnęło, pośpieszył. Może z drogi zobaczył ukochaną, przez płot do sąsiadów wskakującą. Z podniesionym do góry wąsem i spiczastą bródką, w wysokich butach i zgrabnej czapeczce, szedł śmiało i szerokimi krokami, a gdy już doszedł do śliwowego gaju, za drzewo się ukrył i po całej zagrodzie rozległ się głośny, do złudzenia wiernie z natury naśladowany śpiew słowika.

— Jezu! — krzyknęła Antolka.

Po raz to pierwszy pewno na świecie słowicze trele młodą dziewczynę tak przstraszyły. Nie spostrzegła nadchodzącego Michała i złękła się teraz bardzo, bo wyglądało to tak, jakby zmówili się tu przyjść jednocześnie...

— Ciach, ciach, ciach... la... la... la... — w śliwowym gaju wyśpiewywał słowik, Starzyński brał się za boki od śmiechu, Fabianowa chichotała, Elżusia śmiała się na całe gardło, a narzeczony wiernie jej wtórował. Na koniec, elegant okolicy wynurzył się z gaju, a zmieszana Antolka, rezonem nadrabiając, zawołała:

— Pan Michał nie wiadomo co dokazuje, a lepiej powiedziałby, czy Janek prędko przyjedzie?

Odpowiedział, że Janek dziś na łące nocować będzie, bo wszystkiego siana jeszcze nie zebrał.

Witold znowu figlarnie na ucho kuzynce szepnął:

— Czegoś tak posmutniała, Justynko?

Wesoło przed chwilą rozmawiała z dziewczętami, ale odpowiedź Michała mowę jej przecięła. Spłonęła znowu i parę minut na sapieżankę, z drugiej strony ogrodzenia szeroko gałęzie rozkładającą, z zamyśleniem popatrzała. Fabian sąsiada o Adasia zapytywał, który także z odległej, wydzierżawionej łąki siano zbierał, a według wieści Michała, tak jak i Jan, wrócić miał ledwie nazajutrz. On, Michał, najprędzej swoje skosił. Zmachał się tak, że mu i teraz jeszcze krzyż trzeszczy. Ale cóż robić? Komu pilno, temu pilno! Przy ostatnich słowach na Antolkę z ukosa spojrzął i z fantazją poprawił u szyi błękitną chustkę, w którą pomimo trzeszczenia krzyża ustroić się nie zapomniał. Dokoła zydła z misą, która zamiast miodu napelniła się teraz muchami, siedzące i stojące osoby toczyły rozmowę gwarną, z której najgłośniej wybijały się narzekania na brak łąk i pastwisk. Mała to rzecz o dwie mile po siano i to, gdybyż na swoją, ale na wynajętą łąkę jeździć! Już i koniczynę sieją, i pola z zielsk wszelkich ogałającą, a zawsze srogi niedostatek cierpią. Zresztą, nie ta jedna bieda ich gniecie. Fabiana twarz zmarkotniała i okryła się mnóstwem zmarszczek. Powoli butę swoją tracił i ze zgryźliwością, markotnie wynurzać się zaczynał.

— Języka — mówił — w czarce nie moczyłem i much po drodze nie ścigałem, a co z tego! Tyle tylko, że m duszę w ciele utrzymać zdołał, a chaty nawet nowej za co zbudować nie mam.

Ręką ku zagrodzie Anzelma rzucił.

— Tym dobrze! Więcej niż dwadzieścia morgów gruntu mają i we troje żyją... a u mnie i dwunastu morgów może nie ma, a dzieci pięcioro. Co ja z synami zrobię, jak wszyscy wyrosną, a żenić się zechcą? Dawniej w obowiązki szli i podczas dorabiali się czego, teraz o to trudno. Dzierżawkę, żeby i miał który za co wziąć, także trudno, bo na wielkie nie wystarczy, a małych naokolutko tak jak prawie nie ma... Jednym słowem, ani tędy, ani siędy... ani ty człowiecze, na prawo nie pójdziesz, ani na lewo... nijakiej drogi i nijakiego przyrobku<sup>45</sup> nie ma. Choć zgiń, człowiecze, choć na śmierć zapracuj się, a poprawy losu swojego nie otrzymasz...

— I ziemi przykupić — odezwał się Starzyński — żeby kto nawet siły do kupy wzięwszy na pieniądze i wzmógł się, dla inszej przyczyny nie można...

— A nie można — przytwierdził Fabian — ni w czym rozszerzenia i ni w czym postępowania dla nas nie ma. Zewsząd otoczyła nas rola bogaczów, a my ledwie ścieżeczką wąską przecisnąć się możemy...

<sup>45</sup>przyrobek — w gwarach istnieje słowo „przyrobiska” oznaczające grunta powstałe na karczowiskach; tu raczej w znaczeniu: powiększenie, to, co zostało przyrobione. [przypis redakcyjny]



W elegijny<sup>46</sup> ton popadł i na wzór żony, która już od dawna z twarzą na rękę opuszczoną kołysała się to w tył, to naprzód, policzek na dłoń opuścił. Gorzki uśmiech przebiegł mu pod szorstkimi wąsami.

— O jednego syna to już i nie mam po co głowy suszyć... w żołdacy za trzy miesiące pójdzie, a choć za pięć lat i powróci, to ja tymczasem bez niego chyba potem do mogiły ścieknę. Najstarszy i pracowity, posłuszny, choć do mnie przyrodziwszy się, gniewliwy. Drugiego mnie Pan Bóg bałwana dał, co tylko po Niemień orać i kosić umie, a tamte dwa to jeszcze niedostałe trawy... ledwie do pasienia koni lub bronowania zdadne...

Tak wyskarżywszy się uczuł wracając mu dumę i zuchowatość. Głowę podniósł, chwilowego rozczulenia się zawstydzil.

— At! — wykrzyknął — szczęśliwe powodzenie robi szkodliwe ubezpieczenie. Może Pan Bóg dlatego nas, grzesznych ludzi doświadcza i w gardło nieprzyjacielskie oddaje, abyśmy się na tym świecie nie fundowali<sup>47</sup>, ale ojczyzny wiecznej szukali...

— Cierpliwość w niebo wwoździ — wtrącił Starzyński.

— Bóg mnie ubij na ciele i duszy, jeżeli nie to samo zawsze myślę! — wykrzyknął Fabian — tylko jak podczas niecierpliwie już bóle zdejmą, to człowiekowi trzy po trzy napiecie się w gębie...

— Kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył, i koniec, i kwita! — wąsa w górę podnosząc zakończył Michał, który bardzo poważny udział brał w rozmowie toczącej się dokoła zydła, a do Antolki wobec tylu osób nie zbliżył się ani razu, to zapewne na względzie mając, aby dziewczyna na ludzkie języki nie padła.

Starzyński z basowym śmiechem zauważył, że Fabian Panu Bogu za starszych synów dziękować powinien. Z młodszych to nie wiadomo jeszcze co będzie, ale starsi obydwaj poczciwi i dobrze prowadzący się kawalerowie. Choć on w tej okolicy nie mieszka, ale wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. Widocznym było, że Fabian pochwałami synom jego oddawanymi czuł się uradowany i pochlebiony, ale obojętność i nawet niezadowolenie udawał. Głową lekceważąco trząsł, ręką machnął i niedbale rzucił:

— At! Osobliwa pociecha! Jeden kiep, drugi dureń, a obydwaj błazny!

Wkrótce potem odchodzących gości z ukłonami i długimi przemówieniami na wesele córki zapraszał. Kiedy kłaniał się po wielokroć i nisko, a wnet potem prostował się i dłonie na kłębach opierał, mówił o swojej ubogiej chacie i wnet dodawał, że mu o jej ubóstwo bynajmniej! Bo sam sobie jest panem i znacznym nie będąc, może być zacnym kiedy z przymileniem i prawie uniżonością patrzył w twarz młodego Korczyńskiego, a przy wzmiance o procesie z jego ojcem, którą nieuważnie uczynił Michał, wąs najeżył i czoło groźnie zmarszczył, widać w nim było naturę pełną cech z sobą sprzecznych, którymi były: głębokie dla wyższego w świecie stanowiska poważanie i butna z własnej niezależności duma, popędliwa gniewliwość i przebiegła filuterność, skołatanie troskami i trudami ubożego życia, a w facecjach, przysłowia, przypowieściach wytryskająca jowialność.

— Łazarz mizerny — prawil — o bogaczowych pokojach wyśpiewywał: „Stolów, stolów obficie, i na ścianach obicie!” W mojej chacie także pięknych pokojów nie ma ani złotych materii na ścianach, ale mnie o to bynajmniej! I przed takimi znacznymi gośćmi nie powstydzę się swego ubóstwa, jeżeli przyjdą dziewczynie mojej w dniu jej ślubu szczęścia życzyć, a za wielką promocję i osobliwą łaskę będę to sobie miał. Bo to każdy ptak podług swego nosa śpiewa, a w małym garnku barszcz tak samo w górę kipi jak i w wielkim...

Fabianowa zaś menueta tańczyła na trawach ogrodu, krygując się i dygając, przy czym o Giecołdach nie zapomniała.

— Józika Giecołda żonka swachą<sup>48</sup> na Elżusiny wesele będzie, pan Starzyński swatem, a panna Justyna pierwszą drużką do pary z panem Kazimierzem Jaśmontem, którego Franuś na pierwszego drużbanta zaprosił...

W chude ręce klasnęła i z ukontentowania jakieś niby menuetowe *entrechat*<sup>49</sup> wykonała.

<sup>46</sup>elegijny — smętny, żalony. [przypis redakcyjny]

<sup>47</sup>fundować się —tu: umacniać się, utwierdzać. [przypis redakcyjny]

<sup>48</sup>swacha — zasadniczo każda mężatka uczestnicząca w weselu; także kobieta wykonująca pewne funkcje obrzędowe na weselu. [przypis redakcyjny]

<sup>49</sup>entrechat (fr.) — figura taneczna; skok ze skrzyżowaniem nóg. [przypis redakcyjny]

— Widać już Pan Bóg mojej Alżusi takie szczęście dał, że taką chwalebną asystę będzie miała!...

A Elżusia, floksy dla Justyny zrywając, narzeczonemu rozkazywała, aby najpiękniejszą georginię zerwał.

— Nie ta! — wołała. — Tamta, wielka taka, czerwona... czy pan Franciszek ślepy, kiedy nie widzi, na co ja palcem pokazuję? Ej! Pan Franciszek widać do zrywania kwiatów zdalny jak wół do karety!

— Ale może za to w kochaniu zgrabniejszym się okaże! — jak grzmot potoczył się śmiech Starzyńskiego.

Kiedy Justyna i Witold pod blednącym wieczornym niebem przy wielkim krzyku koników polnych, przerywanym ostrymi głosami chruścieli i melodyjnym wołaniem przepiórek, do domu wracali, młodzieniec ze zwykłą sobie zapalnością zajęty losami, charakterami, obyczajami ludzi, których przed chwilą opuścił, po raz pierwszy mówił do młodej swojej krewnej o myślach i celach, którym własną przyszłość poświęcić przyrzekał.

Przed kilku miesiącami Justyna nie rozumiała go może albo obojętnie słuchała by o tych rzeczach, jak o zbyt dla niej odległych i niedostępnych, aby po nie sercem czy współludzkiem sięgnąć mogła. Teraz idee z szerokiego świata, z dobrych serc i umysłowych trudów ludzkich, z powszechnego oddechu ludzkości ku niej przylatujące o pierś jej były rozpalonymi skrzydłami, a świetlistymi pasami przerywały umysł. Wydało się jej, że to, co w drodze pomiędzy zagrodą Fabiana a korczyńskim dworem mówił jej Witold, niewidzialną nicią łączy się z godziną, którą spędziła na Mogile. Oderwane dotąd jej spostrzeżenia i wrażenia wiązać się zaczynały w całokształt myśli i uczuć, nad którymi zastanawiała się długo, gdy opowiedziawszy już Marcie wszystko, o czym ta wiedzieć chciała, i lampę zgasiwszy, samotna i cicha, stała w otwartym oknie na wieczór gwiazdzisty patrząc, a uchem ciekawym, może tęsknym, łowiąc ostatnie szmery otaczającego Korczyn ludzkiego życia.

Nazajutrz przed południem przez wpółluchylone drzwi pokoju Marty i Justyny zajrzała utrefiona główka Leoni.

— Czy ciocia tu jest? — zadzwieczał głosik śmiechem nabrzmiały.

— Jestem, kotko, jestem! — odpowiedział z pokoju głos gruby, lecz także uradowany. — A co chcesz, robaczku? Może kotlecika albo pierożków z czernicami? Gotowe już... doskonałe!...

Dziewczynka weszła w draperiach i falbankach sukni, wyprostowana, uroczysta, z tyśnięciem uśmiezków na twarzyczce ładnej, roztropnej, niedokrwistej. W ręku niosła dwa kawałki kanwy włóczkowymi różami i floresami okryte.

— Pantofle własnej roboty kochanej cioci ofiarowuję i proszę je przyjąć tak... tak... jak ja...

Miała widać coś bardzo długiego i pięknego wypowiedzieć, ale widząc twarz Marty tak drgającą, jakby ją w mnóstwo miejsc na raz komary kąsały, nie dokończyła, tylko z podskokiem na szyję starej panny szcuple ramiona zarzuciła i małą, ciemną, pomarszczoną, drgającą twarz pocałunkami okrywała. Rzecz była drobna, a jednak Marta śmiała się i razem płakała, dziewczynkę nad ziemią unosząc, do piersi ją przyciskając i w nieskończoność szepcząc, wykrzykując i wykaszłując:

— Kotko ty moja... robaczku... słowiczku... rybko!

Przyglądała się potem pantoflom, wychwalała je, do wielkiej nogi swej przymierzała z uszczęśliwieniem, które dziwne w niej sprowadzało zmiany, młodszą jakby, lżejszą, cichszą ją czyniąc. Na koniec znowu Leoni pierożki z czernicami ofiarowywała. Ale dziewczynka z lekkością metalowej turkawki<sup>50</sup> na jednej nodze okręcała się dokoła pokoju, przy czym klaskała w dłonie, wołała i wyśpiewywała:

— Mama już wstała i kakao pije... Widzio poszedł już prosić, aby mnie pozwoliła na wesele pójść z nim, z ciocią i Justynką... poszedł... poszedł... poszedł prosić!

Wtem ze stukiem otworzyły się drzwi i ukazała się w nich młoda, wystrojona panna służąca wołając:

— Pani zachorowała i panny Marty do siebie prosi!

<sup>50</sup>metalowa turkawka — zapewne rodzaj szybko wirującej zabawki dziecięcej. [przypis redakcyjny]

Marta piorunem ze schodów zbiegła, za nią przelekniona, zasmucona, znowu sztywna, schodziła na dół Leonia. Przez sien szerokimi krokami przechodził Benedykt, wąsą rozpaczliwie w dół ciągnąc i spotykane osoby spiesźnie zapytując:

— Co się stało? Znowu zachorowała? Czy po doktora posyłać trzeba?

W rogu salonu rozminął się z synem, który pośrodku sieni Leonie za rękę pochwyił.

— Buszmankę z ciebie zrobią, jak ojca kocham, Buszmankę! — ze wzburzeniem zawołał i w głąb domu pobiegł.

W sypialni pani Emilii działy się straszne rzeczy, których przyczyną najważniejszą, ale nie jedyną, była dzisiejsza rozmowa matki z synem. Wczoraj już po wystąpieniu przy wieczerzy Benedykta położyła się do łóżka z biciem serca i duszeniem w gardle. W nocy nagabywały ją z lekka żołądkowe kurcze, które uspokajała lekarsztwami i słuchaniem prawie do wschodu słońca głośnego czytania Teresy. Kiedy wszyscy w domu i dookoła domu pogrążali się już w ruch i zachody pracowitego dnia letniego, ona usnęła. Niewiele przed południem, zdrowsza nieco, chociaż od smutnych na rozpoczynający się dzień przewidywań niezupełnie wolna, w śnieżnych puchach peniuaru ułożyła się na piasowym szezlongu, po jednej stronie mając filiżankę wzmacniającego kakao, po drugiej książkę, którą wczoraj czytać rozpoczęła, i niedawno też rozpoczętą włóczkową robotę. Tuż przy niej, z ręką na chustce zawieszoną, Teresa piła kakawelo<sup>51</sup>, bo kakao jej nie służyło i z opowiadaniem o śnie dzisiejszym łączyła przewidywanie bólu zębów, dla zapobieżenia któremu już użyła lekarstwa jednego, a drugie właśnie przygotowywała, gdy przez wpółotwarte drzwi buduaru zajrzał Witold i o pozwolenie wejścia zapytał. Pani Emilia nie tylko synowi wejść pozwoliła, ale gdy w rękę ją całował, kilka razy w czoło go pocałowała i łagodnym ruchem pociągnawszy go ku obok stojącemu krzesłu, o złej dzisiejszej nocy i w ogóle o swoim sfatygowaniu i zdenerwowaniu powoli, z uśmiechem cierpliwym i smutnym opowiadać mu zaczęła. Trwało to dobry kwadrans, po którym Witold prośbę, z którą tu przyszedł, wypowiedział. Pani Emilia najzupełniej zrazu nie zrozumiała, o co synowi jej chodziło, i była pewna, że słowa jego źle usłyszała.

— Gdzie? Czyje wesele? Dokąd Leonia ma jechać? — z cicha i łagodnie zapytywała.

— Przepraszam cię, Widziu, ale tak jestem osłabiona... z osłabienia mam szum w uszach...

Kiedy na koniec dokładnie słowa syna wyrozumiała, osłupiała zrazu od zdziwienia, a potem żądaniu jego oparła się stanowczo. Stanowczość ta była cicha, łagodna, ale niezłomna. Rzecz cała zresztą wydawała się jej tak niesłychana, że nie uważała nawet za potrzebne przyczyn oporu swego wypowiadać.

— Ja — cicho i łagodnie mówiła — na takie dziwactwa zgodzić się nie mogę... Bardzo mi smutno, Widziu, że odmówić ci muszę, ale matką jestem i prowadzenie Leoni jest moim świętym obowiązkiem... Kiedy złożycie mnie do mogiły, będziecie z nią postępować, jak się wam będzie podobało, ale dopóki ja żyję, moja córka nie będzie bywać w niewłaściwych dla siebie towarzystwach, psuć sobie układu i patrzeć na rzeczy, których nigdy widzieć nie powinna.

— Owszem, moja mamo, powinna ona wszystko widzieć i słyszeć, aby znać ten świat, ten kraj, których przecie mieszkanką i obywatelką będzie — przerwał Witold, jak tylko mógł najcierpliwiej, po czym parę minut jeszcze, jak tylko mógł najcichszym głosem, przekonywał matkę o konieczności dania Leoni więcej fizycznego ruchu a umysłowej wiedzy o naturze i ludziach, pośród których upływać miało przyszłe jej życie. Pomimo jednak powściągliwości, z jaką mówił, kilka jego wyrażen boleśnie panią Emilię dotknęło. Wzięła je za aluzję do jej własnej chorowitości i bezużyteczności. Zamiast więc współczucia, znajdowała u syna krytykę i przyganę! Jednak tego syna kochała! W dzieciństwie pieściła go więcej jak córkę, hałasować tylko w bliskości swojej nie pozwalając, a gdy dorósł, z lubością nieraz przypatrywała się jego wysmukłym kształtom i delikatnym rysom, które jej w rozrzucający sposób przypominały takiego Benedykta, jakim on był w młodości i jakim, niestety, tak prędko i bezpowrotnie być przestał. Wielki żal do tego syna, który ani kochać nawzajem, ani rozumieć jej nie mógł, wzbierał w jej piersi i łzami napełniał ciemne, piękne, cierpiące oczy. Żadne przecież słowo gniewu lub urazy z ust jej nie wyszło, z wyrazem męczennicy na los swój zrezygnowanej wszystkiego, co mówił Witold, wysłuchiwała, i wtedy dopiero, kiedy o niezłomności oporu matki przekonany

<sup>51</sup>kakawelo — wyraz nienotowany w słownikach. [przypis redakcyjny]

w rękę ją na pożegnanie całował, uczuła odnawiające się i tym razem gwałtowne kurcze żołądka. W kilka minut potem wiała się po szezlongu w istotnych i dojmujących męczarniach. Straszna gadzina hysterii tę formę dziś przybrała, aby ją przesyć swoim żądłem. Na nieszczęście, Teresa z ręką obezwładnioną i zębami, które od alteracji srodze się już rozboleły, pomocna jej tym razem być nie mogła. Do jednej chustki, na której wspierała rękę, dodała drugą, którą sobie twarz obwiązała i skurczywszy się w kątku pokoju płakała nad cierpieniami przyjaciółki i swoją niemożnością przychodzenia im z pomocą, płacz od czasu do czasu polykaniem saliceli<sup>52</sup> i morfiny przerywając. Zawołano panny służącą, okazała się jeszcze potrzeba przywołania Marty, w zachód około chorej wtrąciła się i Leonia, ale pani Emilia długo żadnej ulgi uczuć nie mogła, przeważnie dlatego, że ciężkie stąpania i głośny oddech Marty drażniły ją i irytowały. Irytacji tej niczym nie objawiała, ale cierpienia jej uspokajały się daleko powolniej, niż to bywało przy lekkim fruwanu i ptaszcącym szczebiocie Teresy. Daremnie Marta na palcach nóg stąpać usiłując najciszej, jak tylko mogła, kołysała w powietrzu swoją wysoką i ciężką postać, daremnie tłumiała oddech i dławiła się powstrzymywanym kaszlem, sam jej szept nawet, gruby i świszczący, drażnił nerwy chorej. Spostrzegła to wybornie i zgryzota, którą nad tym uczuwała, oblekała jej twarz wyrazem dotkliwego zmartwienia.

— Nigdy jej dogodzić nie mogłam i nie mogę — cichutko, jak się jej zdawało, do Teresy szepnęła i z głębokim wyrzutem samej sobie czynionym dodała: — Nie wiem, słowo honoru, po co żyję i chleb na tym świecie jem! Wieczna niedola!

Jednak po lekarza posyłać potrzeba nie zaszła. Benedykt po kilku minutach w pokoju żony spędzonych do swego gabinetu wszedł i już brał za czapkę, aby udać się w pole, gdy przez drzwi otwarte w drugim pokoju zobaczył syna.

— Witold! — zawołał — pięknieś postąpił! Zirytowałeś matkę, która teraz przez ciebie choruje. Czy do waszych teorii i idei należy także sprzeczenie się z babami i sprowadzanie im nerwowych ataków?

— Szło mi o siostrę — cichszym niż zwykle głosem wymówił młody człowiek, z krzesła powoli wstając i książkę, którą przerzucał, kładąc na stole.

Benedykt próg rozdzielający dwa pokoje przestąpił.

— Matka miała zupełną rację — zaczął. — Leonii po zebraniach i weselach chłopskich ciągać nie trzeba. Nie rozumiem nawet, skąd ci do głowy przyszło sielankowymi swoimi pomysłami matkę męczyć?

Witold milczał. Ręce w tył założył, powieki miał spuszczone i usta szczelnie zamknięte.

— Czemuż nie odpowiadasz? — rzucił Benedykt, którego milczenie syna drażniło.

Nie zaraz i z widoczną niechęcią syn odpowiedział:

— Myślałem o tym, ojcze, dlaczego mnie nigdy, ani w dzieciństwie, ani kiedym dorósł, sielank tych nie wzbraniałeś, owszem... owszem... nieraz mnie sam zachęcałeś do nich?

— Facecja! Czy masz mnie za ostatniego głupca, abym miał chłopca w puchach chować i na obłokach kołysać! Ale Leonia jest dziewczyną, a co chłopcu idzie na zdrowie, dziewczynie może zaszkodzić. Ty pewno i z tym się nie zgadzasz? Co?

Witold milczał. W twarzy jego po raz pierwszy Benedykt spostrzegł coś na kształt zaciętości, silne postanowienie wytrwania w milczeniu zdradzającej.

— Cóż? — wymówił — czy nie uważasz mnie nawet godnym rozmowy z sobą?

Nie podnosząc powiek młody człowiek odpowiedział:

— Pozwól mi, ojcze, milczeć i tym sposobem nie ranić ciebie i siebie...

— Nie ranić! — powtórzył Benedykt. — Masz słusność! Nie nowych ran spodziewałem się od ciebie, ale może zagojenia tych... które...

Ręką machnął.

— Ale — dodał — to już na świecie tak! Przeciw komu Pan Bóg, przeciw temu i wszyscy święci! Niech jeszcze i to!...

Porywczym ruchem czapkę na głowę włożył i wyszedł, Witold zaś stał długo na miejscu, w ziemię wpatrzony, do krwi prawie wargę sobie przygryzając, ale gdy pod gankiem

<sup>52</sup>salicel, prawidłowo: salicyl — składnik różnych lekarstw, m.in. proszków uśmierających ból. [przypis redakcyjny]

tętent konia usłyszał, szybko do okna podszedł i nie opuścił go dopóty, dopóki odjeżdżający ojciec na drodze długim szlakiem ciągnącej się za bramą z oczu mu nie zniknął. Niespokojny, nad czymś namyślający się, z czymś wewnątrz walczący, chodził czas jakiś po pustej sali jadalnej, aż przeszedł się i salon, u drzwi matczynego buduaru stanął i na kłamce rękę położył. Stał tak chwilę w nieśmiałej wahającej się postawie, potem cichutko drzwi otworzył, ale zaledwie głowa jego ukazała się w przyciemnionym pokoju, gdy nagle wszystkie, prócz pani Emilii, znajdujące się w nim osoby obydwoma rękami ku niemu machać zaczęły. Przed chwilą właśnie chora uspokoiła się nieco i zdawać się mogło, że zadrzemiała. Ujrawszy zaglądnącego do pokoju Witolda Marta, Teresa, Leonia i panna służąca w najgłębszym milczeniu i z najwyższym przerażeniem ramionami ku niemu zamachały. Miało to znaczyć, aby co prędzej odszedł i spoczynku chorej nie przerywał. Odszedł, a w kilka minut potem widać go było z fuzją na ramieniu, z czarnym Marsem i książką wyglądającą z kieszeni surduta idącego w kierunku Olszynki.

Nigdy jeszcze nie widywano Benedykta tak ponurym i rozjątronym, jak tego lata, w którym na głowę spadł mu nowy majątkowy kłopot, a na serce tajemny i niespodziewany smutek. Ten smutek niemal z każdym dniem wzmagać się zdawał. Stosunki jego z synem były na pozór dobre, ale tylko na pozór. Chodzili razem po korczyńskich polach, rozmawiali o agronomicznych studiach, w których Benedykt niegdyś a Witold teraz żywe miał zamiłowanie, lecz obaj czuli, że to ich zetknięcie było zupełnie zewnętrzne, że dusze ich coraz więcej oddalały się od siebie. Od tego wieczora, kiedy Benedykt w bramie folwarcznego dziedzica rzucił synowi bolesne wyrazy pragnienie rychłej śmierci objawiające, Witold zamknął się w niezłomnym milczeniu o wszystkim, co z najpowszedniejszymi sprawami związku nie miało. Chętnie o przedmiotach codziennych i obojętnych z ojcem rozmawiał, spieszenie pochwytywał każdą sposobność dopomożenia mu w pracy lub oddania jakiegokolwiek przysługi, ale o przekonaniach swoich, o tym, co mu się podobało lub nie podobało, o własnej także przyszłości nie mówił z nim nigdy. Ilekroć przewidywał, że wydarzyć się to może, na twarzy jego zjawiał się ten sam wyraz zaciętego postanowienia, który już raz dotkliwie rozjątrzył Benedykta. Jątrzył go zawsze i coraz bardziej. Wolałby już był otwarte, nawet zawzięte sprzeczki niż to zamykanie się przed nim duszy, której wybuchliwą otwartość znał, więc sztuczną skrytość coraz więcej raniącym go przyczynom przypisywał. Bywały dni, w których nawzajem zdawali się siebie unikać i prawie wcale nie widywali się z sobą i inne, w których nie szukając się z pozoru, spotykali się jednak na każdym kroku, na wspólne przechadzki wychodzili i długie prowadzili rozmowy. Ale w tych rozmowach każda minuta serdeczna, każdy początek zwierzenia czy wylania urywały się prędko, ustępując przed tajonym ze strony jednej, a w gorzkich i porywczych słowach wybuchającym z drugiej rozdrażnieniem. Jednego z dni takich całą może godzinę rozpatrywali razem naukowe książki Witolda, z których młody człowiek czerpał tematy do opowiadania ojcu o różnych nowych pracach na szerokim świecie w dziedzinie agronomi dokonywanych.

— Do diabła! — zawołał Benedykt — kiedy teraz pomyślę, że i ja kiedyś tyle książek czytałem i mądrości zjadałem, oddziwić się temu nie mogę. Teraz, panie, tak odwykłem, że jak tylko co drukowanego do ręki wezmę, zaraz zadrzemię!...

I na przywieziony ze szkoły synowski księgozbiór — wcale nieduży — tak wystraszo-nymi, prawie przerażonymi oczami patrzył, że Witold zrazu parsknął wesołym śmiechem, a potem zaraz coś jakby litość czy rozrzewnienie wzrok mu napełniło. Wziął rękę ojca i do ust ją przycisnął. Benedykt namyślał się nad czymś przez chwilę.

— Widzisz — niepewnym trochę głosem wymówił — mam do ciebie prośbę!

— Ty, ojciec, do mnie? Prośbę? Rozkazuj tylko...

Istotnie, widać było po nim, że gotów był w tej chwili rzucić się w ogień lub na skraj świata skoczyć.

Długi wąs na palec motając i wzrokiem mijając twarz syna Benedykt mówić zaczął:

— Za trzy tygodnie wyjedziesz z Korczyna... trzeba przecież, abys wizytę pożegnalną ciotce oddał. Otóż, wiesz dobrze, jaki mam kłopot z tym długiem Darzeckich... Gdybyś do nich pojechał, o przedłużenie mi terminu lub rozłożenie wypłaty na lat kilka ciotki poprosił, przymilił się do niej, zjednał ją sobie... Same córki tylko mając ona za synami braci przepada, a Zygmus, kiedy siedział za granicą, ciągnął z niej, ile sam chciał... Może by więc i dla ciebie teraz tę łaskę zrobiła... Wprawdzie Darzecki sam interesami rządu, ale

ona ma nad nim wpływ wielki i przy tym to człowiek próżny, który za jeden niski ukłon, za jedno pocałowanie ręki, wiele uczynić może... Cóż? Zrobisz to dla mnie, Widziu?

Ciężka chmura okryła rozjaśnioną przed chwilą twarz młodego człowieka. Milczał. Benedykt trochę podejrzliwie, a trochę wstydliwie na niego spojrzał.

— Cóż? Zrobisz to, o co cię proszę? — grubiej już nieco zagadnął.

— Nie, mój ojcze... boli mię to bardzo... ale nie... — stłumionym głosem odpowiedział Witold.

— Dlaczego? Racze mi przynajmniej wytłumaczyć...

— Pozwól mi, ojcze, milczeć!

— Znowu! — krzyknął Benedykt i twarz jego od włosów do szyi zalała się szkarłatem. Chciał coś mówić, długo jednak nie mógł, aż ze stukiem krzesło, na którym siedział, odsuwając zawołał:

— Dobrze. Milczmy obaj. Chcesz mi być obcy? Zamykasz się przede mną jak przed wrogiem? Dobrze. Bądźże łaskaw uważać mnie od tego czasu za swego znajomego, który tym tylko różni się od wszystkich innych, że weźmiesz po nim sukcesję!

Tym razem Witold, bardzo blady, drżał cały, a z oczu sypały się mu iskry. Uczynił zrazu ruch taki, jakby miał za odchodzącym ojcem poskoczyć i z ust rzucić w zamian otrzymanej obelgi grad gorzkich wyrzutów. Ale nie uczynił tego. Było w nim coś, co nakazywało mu powściągać się i raczej wszystko znosić niż stargać do reszty łączący go z ojcem węzeł. Upadł tylko na krzesło, w obie dłonie wziął czoło i zawołał:

— Okropność! Okropność! Porozumieć się niepodobna! Błędne koło!

Łatwiej zapewne porozumieć by się mogli, gdyby obadwaj nie byli krewcy i wybuchliwi, gdyby nade wszystko nieustanne rozjątrzenie, w którym od lat dwudziestu kilku żył ojciec, nie przeszło drogą odziedziczenia i niejako zaszczepienia w krew i nerwy syna. W krwi i nerwach obydwóch gorzkim warem płynęły z jednej strony przebyte, a z drugiej widziane i odczute niezmiernie cierpienia.

Raz jednak, wkrótce po skończeniu żniw, Benedykt z sąsiedniego miasteczka do domu powracający siedział na bryczce z tak rażną i wypogodzoną miną, jakiej od dawna już nikt u niego nie widział. Zapominając nawet o gderaniu siedzącego na koźle stajennego chłopca, filuternie uśmiechał się do siebie i co mu się niezmiernie rzadko zdarzało, zamiast w dół pociągać, w górę czasem podkręcał wąsa. Gdy na dziedziniec wjeżdżał, zobaczył odjeżdżający od ganku i nieco z boku w cieniu jaworów zatrzymujący się zgrabny koczyszek, czterema pięknymi końmi założony, ze stangretem w liberii. Na ganku zaś stał tylko co tym koczyskiem<sup>53</sup> przybyły Zygmunt. Z parokonnej, trzęsącej, na żółto pomalowanej bryczki wyskakując Benedykt uprzejmiej niż zazwyczaj synowca powitał:

— W szczęśliwy dla mnie dzień przyjechałeś, Zygmusiu! Jak bym na sto koni wsiadł, taki rad jestem!

Zygmunt milcząc szedł za stryjem w głąb domu, a Benedykt znalazłszy się już w gabinecie swoim zdjął płaszcz płócienny, czapkę na krzesło rzucił i z kieszeni surduta list jakiś wyjął. Był to na pocztce w miasteczku otrzymany list od prawnika, któremu prowadzenie procesu z Bohatyrowiczami powierzył i który uwiadamił go, że strona przeciwna w podaniu skargi do instancji wyższej terminu uchybiła, że zatem wygrana pozostaje przy nim wraz z przyznaną mu przez pierwszą instancję sumą, koszta procesu wynagrodzić mu mającą. Listem o dłoń uderzając i szerokimi krokami po pokoju chodząc Benedykt wołał:

— Na swoim postawiłem! I przegrali, i będą jeszcze musieli tysiąc rubli mi wypłacić! Dla nich to suma ogromna, a i dla mnie także niemało znaczy... szczególnie teraz. Ot, lament podniosą! Ale nie daruję! Jak Boga kocham, ani grosza nie daruję! Jeżeli dobrowolnie nie oddadzą, licytować będę... konie, krowy, graty i choćby poduszki zlicytuję, a swoje odbiorę! Niech nie zaczynają! I mnie przecież ten proces kosztował, nie tyle wprawdzie, ale zawsze kosztował. A fatyga i zgryzoty czy za nic poczytywać się mają? Dla nich to dobra lekcja, a dla mnie tysiąc rubli... fu, fu! Nie piechotą chodzi!

Prawnik zapytywał w liście, czy ma czynić starania o wyegzekwowanie z bohatyrowickiej okolicy przyznanego mu przez sąd zwrotu kosztów. A jakże! Naturalnie! Natychmiast musi odpisać, aby usilne, najusilniejsze starania o to czynił. Egzekwować będzie należną mu sumę, egzekwować bez żadnego na nic względu! Na żadną nawet zwłokę nie pozwoli,

Chłop, Sąd,  
Sprawiedliwość, Szlachcic

<sup>53</sup>koczyszek, właśc. kocza — czterokołowy, półkryty wóz używany od XVI–XIX w. [przypis edytorski]

ściśle stosując się tylko do litery prawa, a jeżeli nie oddadzą prędko i dobrowolnie, na licytację wystawi, wszystko, co mają, na licytację... tak!

— Idź ty, Zygmysiu, na jakie pół godzinki do bab, a ja tę odpowiedź zaraz napiszę...  
Dziś wieczorem poczta z miasteczka odchodzi, umyślnego zaraz wysłać trzeba, ażeby nie spóźnić się...

Od dobrego już dziesiątka lat do napisania każdego listu przybierał się długo i z niechęcią. Dziś przecież już przed biurkiem siedział, papier z szuflady dostawał i ręce zacierał. Widocznie, przy zdarzeniach podobnych nic mu już, tak jak dawniej, w środku nie płakało.

Zygmunt, jak zawsze żurnalowy i trochę sztywny, z kapeluszem w ręku przez pustą salę jadalną przeszedł, ale po chwilowym wahaniu, zamiast udać się do pokojów pani Emilii, po wschodach z sieni na górę prowadzących iść zaczął. Dom ten znany mu był od dzieciństwa, a chwilowe wahanie sprawiła mu tylko myśl, że na górze mieszkała nie tylko Justyna, ale także i Marta. Przez okno przecież zobaczył starą pannę z kluczami i dziewczką folwarczną idącą ku oddalonym budynkom. Drzwi pani Emilii były jak zwykle szczelnie zamknięte, salon zupełnie pusty, z góry dochodziły dźwięki skrzypiec. Wszedł na schody, na wąskim i wpółciemnym korytarzyku oblały go fale muzyki Orzelskiego, otworzył drzwi prowadzące do pokoju, w którym, gdy był dzieckiem i dorastającym młodzieńcem, bywał dość często. Zamieszkiwała go wtedy Marta, teraz wiedział dobrze, że znaleźć tam może Justynę. Istotnie, na widok wchodzącego młoda panna podniosła się u otwartego okna i robota, którą w ręku trzymała — jakaś biała chustka z wyhaftowaną już jedną literą — z rąk jej na stół upadła. Trochę zbladła, potem zarumieniła się gwałtownie i zaledwie końcami palców dotykając dłoni, którą ze wzrokiem natarczywie w nią utkwionym wyciągnął ku niej przybyły, stłumionym nieco głosem zapytała:

— Czemu przypisać mam, kuzynie, odwiedziny twoje... w moim pokoju?

Zamiast odpowiedzi wpatrzył się w nią jeszcze uparciej i z żartobliwą pieszczotliwością wymówił:

— Niegościnna! Siadać mię nawet nie prosi!

— Owszem, usiądź, kuzynie, proszę!

Posunęła ku niemu krzesło i sama na uprzednim miejscu swoim usiadła, obojętna z pozorów, ale ze ściągniętymi trochę brwiami i migocącym w dalekiej głębi oczu zatrwożeniem. Usiadł tak, że końcem stopy obutej w cielisty kamasz i błyszczący trzewik prawie dotykał jej sukni. W otwarte okno spojrzął.

— Dość malowniczy widoczek... — zaczął.

— Znasz go od dawna, kuzynie — obojętnie i z oczami na robotę spuszczoneymi zauważyła. Obok znajdującej się już na chustce litery jednej zaczynała właśnie haftować drugą.

— Przez co mam rozumieć — podjął Zygmunt — że nie potrzebuję wcale przyglądać się mu przez okno twego pokoju. Uprzejma jesteś, kuzynko! Zresztą, masz w części słusność. Nie posiadam sztuki zachwywania się widokami rodzinnej natury, może dlatego, że silne wrażenia wywierać na mnie może to tylko, co jest nowe, oryginalne, niespodziane... Jakże można porównać taki choćby jak ten ładny widoczek ze wspañiałymi, zachwycającymi scenami natury...

Tu z wielkim istotnie wdziękiem słowa, wytwornie i malowniczo mówić zaczął o Renie, Dunaju, Alpach, szwajcarskich jeziorach, Adriatyckim Morzu... Może po części myślał o podbiciu ucha słuchaczki, bo głosowi swemu nadawał miękkie, muzykalne modulacje, ale widać też było, że wszystko, o czym mówił, budziło w nim kiedyś szczere zachwycenie, a teraz tęsknotę. Mówiąc nieustannie patrzył na pochyloną nad robotą głowę Justyny. Wzrok jego przesunął się po jej kruczym, lśniącym warkoczu, po czystych liniach śniadego czoła, po spuszczonej i frędzlą czarnych rzęs otoczonych powiekach, aż utkwiał w pałowych, pełnych, zupełnie w tej chwili spokojnych ustach i płynął z nich na kibić, której świeże i silne kształty rysowały się pod ciemnym stanikiem, a piersią poruszał oddech powolny i głęboki. Mowa jego stawała się też powolniejsza, kilka razy zająknął się, ręką dotknął czoła, aż nagle w połowie zdania opowiadanie przerywając, z rumieńcami wytryskującymi mu na blade policzki ciszej przemówił:

— Spodziewam się, że nie myślisz, kuzynko, abym tu przyszedł w celu opowiadania ci o łąkach i o wodach tego świata...

Oko, Słowo

Kochanek romantyczny,  
Miłość

Nie zmieniając postawy oczy na niego podniosła:  
— Gdy tu wchodziłeś, zapytywałam cię właśnie, kuzynie, o przyczynę...  
— Przyczyna taka. Chciałem cię zapytać czy to prawda, że pan Różyć stara się o ciebie, i czy... ewentualnie... masz zamiar poślubić tego już teraz wszechstronnie chudego milionera?

Mówił śpiesznie i głos jego był trochę świszczący. Ona ręce z robotą na kolana opuściła i głowę podniosła.

— Jeżeli zechcesz powiedzieć mi, kuzynie, jakim prawem zapytujesz mnie o to, wówczas na pytanie twoje odpowiem...

Powściągając się widocznie, znowu zapytał:

— A ty sama tego prawa nie domyślasz się, czy... nie uznajesz?

— Nie domyślałam się — odpowiedziała.

Pochylił się i chciał ująć jej rękę, ale ona krzesło swe cofnęła i ramiona u piersi skrzyżowała.

— Jest to najświętsze ze wszystkich praw na ziemi... prawo miłości! — zawołał.

Justyna szybko z krzesła powstała i dalej jeszcze ku otwartemu oknu cofając się zawołała:

— Proszę cię, o! Proszę cię, kuzynie, idź stąd!

Ale on tuż przed nią stanął.

— Nie lękaj się, Justyno, nie lękaj się niczego... Ta miłość, o której słuchać nie chcesz, jest tak czysta, wzniosła, idealna, że obrażać cię nie może... Wiem dobrze, co powiedzieć mi możesz. Sam dobrowolnie utraciłem to, czego teraz wszystkimi siłami pragnę... Ale przebacze mi chwilę słabości... Przypomnij sobie wiersz, który oboje tak lubiliśmy dawniej: *Ils ont péché, mais le ciel est un don; ils ont aimé, c'est le sceau du pardon!*<sup>54</sup> Bądź wspaniałomyślna i zwróć mi swoje serce, swoją ufność, przyjaźń... swoją duszę! Niczego więcej nie chcę, niczego więcej nigdy od ciebie nie zażądam, tylko — duszy twojej, Justyno!

Dusza

Przy ostatnich słowach z rozgorzałymi oczami obie już ręce jej pochwycił. Po jej twarzy przebiegły ironiczne drgnienia. Ręce swe z dłoni jego wysuwając zapytała:

— Czy to dusza moja, Zygmuncie? Te moje ręce, które w swoich chcesz trzymać, czy to moja dusza?

Potem znowu ramiona u piersi krzyżując z podniesioną, trochę pobladłą twarzą mówić zaczęła:

— Dobrze, powiem wszystko i niech się to już raz skończy. Kochałam cię, kuzynie, do tego stopnia, że po latach niewidzenia i kiedy już poślubiłeś inną, jeszcze nie mogłam obojętnie słuchać twojego głosu, a przy każdym twoim zbliżeniu się do mnie czułam, że wszystko wraca... wszystko, cała przeszłość moja do mnie wraca! Boże! Jak ja cierpiałam! Kiedy przyjeżdżałeś do Korczyzna, nie chciałam cię widzieć i nieraz jak szalona ku brzegowi rzeki biegłam... z myślą, że śmierć jest lepsza niż taka walka i taka trwoga...

— Justyno! Justyno! — z nowym wybuchem rzucił się ku niej Zygmunt.

Ale ona rozkazującym gestem usunęła go od siebie i dalej mówiła:

— Taka trwoga! Bo nie tyle żałowałam tego, co miałam kiedyś za najwyższe dla siebie szczęście, ile lękałam się... ach, jak lękałam się jakiejś złej chwili... jakiejś okropnej chwili... w której bym sama... która by... która by mnie wtrąciła w ostateczne już poniżenie. Poniżyć się nie chciałam... Tak, kuzynie, chociaż byłam bardzo upokorzona, chociaż i ty, kuzynie, i inni uczyniliście wszystko, coście uczynić mogli, aby mi dać poznać moją małość, moją nicość... ja jeszcze byłam dumna... owszem, wtedy dopiero stałam się dumna i lękałam się tego, co mi się wydawało ostatnim, najgłębszym poniżeniem... Duma moja, kuzynie, duma moja kobieca czy ludzka, nie wiem, odtrącała mnie wtedy od ciebie, broniła mię od ciebie, wypędzała mię z domu, kiedy przyjeżdżałeś... Czy wystarczyłaby ona zawsze?... Może tak... może nie... ale znalazłam inną pomoc, silniejszą!... Kiedy wtedy, pamiętasz? Przy wielu gościach do mnie mówiłeś... twoja żona, kuzynie, coś w tobie zauważyć musiała... może jej kto o przeszłości powiedział... patrzyła na mnie, na ciebie,

<sup>54</sup>*Ils ont peche (...)* (fr.) — zgrzeszyli, lecz niebo jest darem; kochali, i to jest pieczęcią przebaczenia. [przypis redakcyjny]



i w oczach jej łzy stanęły. Co mi ta kobieta złego uczyniła, aby miała przeze mnie płakać? Ja nie chcę, aby ktokolwiek przeze mnie płakał! Wtedy, kuzynie, złąkłam się nie tylko już poniżenia i wstydu, ale nikczemności. Pomiędzy mną a tobą stanęły łzy, które zobaczyłam w oczach twojej żony. Pomiędzy mną a tobą stanęło moje sumienie!

Mówiła to, profilem do niego zwrócona i nie na niego, ale w otwarte okno patrząc. Wyznania, które czyniła, zawstydyła ją i mieszały. On z tego jej zmieszania, z samych nawet wspomnień o przebytych z jego przyczyny cierpieniach czerpał nadzieję i śmiałość. Tuż za nią stojąc, w samo ucho prawie, pieszczotliwie i z rozmarzeniem jej szeptał:

— Czy podobna, aby Justyna, moja dawna, marząca, poetyczna Justyna, przywiązywała wagę do światowych praw i przesądów albo do zabobonnych skrupułów?... Łzy Klotyldy? Ależ upewniam cię, że quand même<sup>55</sup> uszczęśliwić ją potrafię! Sumienie? Rzecz względna! Inna dla natur niewolniczych i poziomych, a inna dla wyższych i niepodległych! Najświętszym prawem na ziemi jest miłość, najwyższą cnotą brać i dawać szczęście...

Chciała mu przerwać, ale on, roznamietniony i nadziei zwycięstwa nie tracący, mówił, a raczej szeptał dalej:

— Jestem bardzo nieszczęśliwy... zdaje mi się, że wszystko we mnie zamarło. Nie mam żadnego bodźca do życia... Nie mogę tworzyć. Ty jedna możesz mię wskrziesić i przywrócić szczęściu, życiu, sztuce. Opuść ten dom, zamieszkaż w Osowcach... ja tam teraz jestem panem. Moja matka wszystko dla mnie uczyni. Klotylda jest dzieckiem, które uszczęśliwić można cackami, a oślepić drobną monetą czułości... Będziemy żyć razem, nierozłączni... nie lękaj się! Nigdy nie obrażę i nie poniżę cię niczym! Będziesz tylko moją muzą, moim natchnieniem, towarzyszką i siostrą mojej samotnej duszy... Co świat podejrzliwy i brudny mniemać będzie o tym, że u boku mego staniesz, cóż nas to obchodzi, nas, którzy przebywać będziemy w krainie ideałów, wyżsi i czystszy od świata?...

Tchu mu zabrakło, z roziskrzonym wzrokiem i wilgotnym czołem chciał w oczy jej spojrzeć i już kibici jej dotknął ramieniem. Ale ona gibkim i oburzonym ruchem cofnęła się o parę kroków i z twarzą tak prawie białą, jak leżąca na stole chustka, przez kurczowo zaciśnięte zęby wymówiła:

— On, ona i trzecia! Zupełnie jak we francuskich romansach, których kiedyś tak wiele czytaliśmy razem!...

Nagle z wybuchającym uniesieniem zawołała:

— Za kogo mnie masz, kuzynie? O czym mówiłeś? Ależ ty chyba sam tego nie rozumiesz! Jak to! Kogoś niewinnego, kogoś, co nam nic złego nie wyrządził, krzywdzić w tym, co jest jego szczęściem, honorem, może życiem, co dzień, co godzinę, co chwilę kłamać i oszukiwać, wiecznie chodzić w masce czując pod nią trąd i plamy... Boże! I ty mi takie życie ofiarowywać śmiałeś!... Jakim prawem? Co ja ci złego zrobiłam? Jak śmiałeś? O! Jakież to szczęście, że ja cię już nie Kocham! Ale nie! Gdybym cię i kochała jeszcze, gdybym cię jeszcze tak jak dawniej kochała, przestałabym w tej chwili... z gniewu, z obrazy, z ohydy...

Teraz, gdy drżała i mięła w dłoni leżącą na stole chustkę, gdy pierś jej podnosiła się szybko, a oczy, w których jednocześnie przebiegały błyskawice i łzy, wśród bladej twarzy świeciły jak czarne diamenty, poznać można było, że nie różaną wodę bynajmniej w żyłach swych miała, ale krew gorącą, popędliwą, dumną. Nigdy tak piękną nie wydała się Zygmuntovi. Z zachwyceniem, z żądzą, ale zarazem i z urazą na nią patrzył.

— Myślałem, że miłość wszystko obmywa i uswięca... — zaczął.

Ale ona mu przerwała:

— Zmień nazwę, kuzynie, proszę cię, zmień nazwę... to nie jest miłość, ale...

Zawahała się chwilę, zawstydzenie czoło jej rumieńcem oblało, prędko jednak dalej mówić zaczęła:

— To jest romans... pełno go we francuskich książkach... pełno go i w życiu... O, znam go, znam go od dawna. Był on przekleństwem mego dzieciństwa, kiedy zabijał mi matkę, a dla ojca szacunek odbierał... Sposzrzegałam go i potem między ludźmi, a wszędzie, zawsze zaczynał się od... od gwiazd, a kończył się w błocie. O, muzy, siostrzane dusze, czyste uczucia, krainy ideałów... Boże! ile słów! ile pięknych, poetycznych słów! czy wy używając ich kłamiecie, czy nimi oszukujecie samych siebie? Może i tak bywa. Ale

<sup>55</sup>quand meme (fr.) — pomimo wszystko. [przypis redakcyjny]

ta poezja jest tylko wstępem do wielkiej, wielkiej prozy... Powiedziałeś, że miłość uniewinnia i uświęca wszystko. Być może, ale nie taka, co kryje się pod ziemią i wstydzi się samej siebie. Powiedziałeś, że prawa miłości są najświętszymi ze wszystkich praw świata. O, tak! Ale o jakiej miłości, ty, wykształcony mężczyzna i artysta, mówiąc to myślałeś? Nie o tej, nie, najpewniej nie o tej, której świtanie od niedawna ja uczułam w sobie... Idź na mogiłę ojca, kuzynie, idź na mogiłę ojca... Kochaj to, co kochał twój ojciec...

Nagle urwała. Do ostatka widać nie chciała myśli swoich wypowiadać. Zygmunt stał przed nią z pochyloną twarzą i zaciśniętymi zębami.

— Filozofka! — syknął. — Rezonuje, waży, rozważa, rozróżnia...

— Nie — odpowiedziała — o filozofii dokładnego wyobrażenia nawet nie mam. A za zdolność do rezonowania i rozróżniania pozorów z prawdą tobie, kuzynie, obowiązana jestem...

Ze zdumieniem i niedowierzaniem patrzył na nią.

— Ależ to być nie może, abys ty, Justyno, tak ognista niegdyś, poetyczna, zrobiła się nagle taka zimna, przesądna, pozioma! Nie! Ty chcesz przemocą stłumić uczucia swoje! Dumna jesteś i przed samą sobą chcesz odegrać rolę bohaterki.

Wzruszyła ramionami.

— Powiedziałeś, że mamy oboje natury wzniosłe i niepodległe. Proszę cię, kuzynie, abys zdanie swoje o mnie zmienił. Upewniam cię, że jestem kobietą zupełnie zwykłą i podległą zupełnie zwykłej uczciwości. Oto wszystko.

— Wszystko! I nic mi więcej nie powiesz? Nic? Nic?

— Owszem — śpiesznie odrzekła — konieczne jest nawet, abym ci powiedziała stanowczo i raz na zawsze, że z uczuć, które miałam kiedyś dla ciebie, nie pozostało we mnie nic wcale, prócz prostej zresztą życzliwości, którą mam dla wszystkich na świecie ludzi, i że przedmiotem moich myśli i marzeń jest coś czy ktoś... może zarazem coś i ktoś z tobą żadnego związku nie mający...

— Zapewne pan Różyć i les beaux restes<sup>56</sup> jego milionów... — wtrącił Zygmunt.

— Być może — odpowiedziała.

Zmieszany, obrażony, rozczarowany a jednak przez chwilę jeszcze ciekawego wzroku oderwać od niej nie mogący, wziął z krzesła kapelusz, oddał jej z dala ceremonialny ukłon i wyszedł z pokoju.

Było już po zachodzie słońca, kiedy ładny jego koczyc wtoczył się z turkotem pod kryty i brukowany ganek osowieckiego domu. Pani Andrzejowej na odgłos ten zadrżały trochę ręce, w których trzymała książkę. Na jednym z fotelów otaczających wielki stół z książkami i dziennikami siedząc podniosła głowę, spuściła powieki i ze spokojnymi rysami syna czekała. W sali znajdującej się na dolnym piętrze domu Klotylda grała na fortepianie. Jednocześnie z zaturkotaniem kół u podjazdu muzyka jej umilkła, potem ozwała się znowu i znowu umilkła, aż brzmień zaczęła burzliwie, beładnie, czasem żałośnie, czasem hucznie... Była to gra istoty drżącej, niespokojnej, czasem prawie bezprzytomnej, a umilkła zupełnie w chwili, gdy Zygmunt do pokoju matki wchodził. Czuć było, że to dziecko, które tam, na dole wielkiego domu, grało z biegłością utalentowanej uczennicy muzycznych mistrzów, rozmowa mająca stoczyć się na górze przejmowała nieznośną boleścią i trwogą.

Kiedy wchodził do pokoju matki, od pierwszego spojrzenia poznać można było, że w drodze z Korczyna do Osowiec zajmowały go buntownicze myśli i że pod ich wpływem powziął jakieś energiczne postanowienie. Obok znudzenia i niesmaku jakieś stanowcze zdecydowanie się na coś malowało się w jego twarzy. Pocałował rękę matki i naprzeciw niej siadając zaczął:

— Powiedział mi Wincenty, że mama życzyła sobie widzieć się ze mną, gdy tylko do domu wrócę. A ja także w ten piękny wieczór z Korczyna wracając postanowiłem bardzo poważnie pomówić dziś z mamą o rzeczach mających dla mnie wagę wielką, niezmierną...

Spojrzała na niego, w oczach jej zamigotał niepokój.

— Słucham cię, mów! Może myśli nasze spotkały się i o jednym przedmiocie mówić z sobą pragniemy.

<sup>56</sup>les beaux restes (fr.) — piękne resztki, ostatki. [przypis redakcyjny]

— Wątpię — odpowiedział — jestem nawet pewny, że mamie nigdy nie przyszło na myśl to, co ja dziś mamie chcę zaproponować, a raczej o co chcę bardzo usilnie prosić.

Uśmiechnął się do matki pieszczotliwie, z przymileniem i schyliwszy się znowu, piękną białą rękę na czarnej sukni spoczywającą pocałował.

— *Parions*<sup>57</sup> — zażartował — że propozycją moją mama będzie zdumiona... nawet oburzona... *oh, comme je te connais, ma petite, chère maman*<sup>58</sup>... ale po namyśle i spokojnej rozwadze, może...

— Słucham cię — powtórzyła, a piękne jej oczy, których blask łzy i tęsknoty zgasiły, z niewysłownym wyrazem powściąganej czułości spoczywały na tej pochylonej ku jej kolanom głowie, na którą, Boże, ileż nadziei, ileż jej cudownych marzeń i namiętnych modlitw spłynęło!

Głowę podniósł, ale nie wyprostował się, tylko w pufnej i razem coś pieszczotliwego mającej w sobie postawie, ręki matki z dłoni nie wypuszczając mówić zaczął:

— Nieprawdaż, najlepsza mamó, że u stóp twoich i u twojego serca dziecinne i trochę późniejsze nawet lata spędziłem tak, jak spędzać je musiała *la belle au bois dormant*<sup>59</sup>, słodko drzemiąca w swym kryształowym pałacu, wśród zakłętego lasu, którego nigdy nie dotykała jej stopa i z którego przychodziły do niej tylko wonie kwiatów i śpiewy słowików? Nieprawdaż, *chère maman*, że usuwałaś mię starannie od wszystkiego, co powszednie i pospolite, a przyzwyczajałaś w zamian do rzeczy pięknych, do uczuć delikatnych, do marzeń wzniosłych, nieprawdaż?

— Prawda — odpowiedziała.

— I to także jest prawdą, moja mamó, że przeznaczałaś mnie do zadań i losów zupełnie niepospolitych, wysokich... a tak wszystko skierowywałaś, abym nie mógł i nie chciał mieszać się z szarym tłumem? Czy to jest prawdą, moja mamó?

— Tak — odszepnęła.

Z powstrzymywaną ciągle czułością, której głucha obawa zwalczyć nie mogła, słuchała jego mowy płynnej, pełnej wdzięku i czuła na swojej ręce pieszczotę jego ręki miękką, delikatną. Takim, jakim przedstawiał się w tej chwili, łagodny, rzewny, na skrzydłach poezji kołyszący się, Zygmunt czarował ją zawsze i nie tylko ją jedną, bo i tę także duszę kobiecą, z którą rozstał się on przed godziną, a która długo jak ptak upojony kąpała się w tym czarze i tę drugą, prawie dziecinną jeszcze duszyczkę, która teraz na dole tego domu tonęła we łzach i trwodze, i — wiele zapewne innych na szerokim świecie.

— Nieprawdaż, *mon adorée maman*<sup>60</sup>, że potem sama wysłałaś mnie w świat szeroki, gdzie wiele lat spędziłem wśród najwyższych wykwintów miast, wśród najwspanialszych widoków natury, na łonie sztuki... że przez te lata zupełnie odwykłem od tutejszej szarości i pospolitości, do których zresztą i nigdy przyzwyczajony nie byłem, żyjąc w twoim idealnym świecie, tak jak zakłęta księżniczka żyła w swym kryształowym pałacu? Nieprawdaż, moja najlepsza, najrozumniejsza mamó?

— Prawda. Ale do czego zmierzasz?

— Zmierzam naprzód do tego, aby ci, *ma chère maman*, powiedzieć, że za wszystko, co wyliczyłem, jestem ci gorąco, niewypowiedzianie wdzięczny...

Tu pochylony znowu ustami dotknął jej kolan.

— Następnie do tego, że przecież rzeczą jest niepodobną, zupełnie niepodobną, abym po takiej jak moja przeszłości, został na zawsze przykuty do tego kawałka ziemi, do tych stajen, stodoł, obór... *que sais-je*<sup>61</sup>? do tego okropnego Jaśmonta, który co wieczór przychodzi mi klektać nad głową o gospodarstwie... do tych... tych... tych *que sais-je?* zamaszystych i razem jak nieszczęście znękanych sąsiadów... Czy to podobna? Moja droga mamó, czyż ktokolwiek, po takiej, jak moja, przeszłości, wobec takich, jak moja, ambicji i potrzeb może wymagać tego ode mnie?

Ręce szeroko rozpostarł, oczy mu się trochę szerzej niż zwykle rozwarły, zmarszczka przernęła czoło. Silnie do głębi był przekonany, że wymaganie, o którym mówił, byłoby absolutnie niemożliwe i niesprawiedliwe. Pani Andrzejowa myślała chwilę. Do pewnego

<sup>57</sup>*parions* (fr.) — załóżmy się. [przypis redakcyjny]

<sup>58</sup>*oh, comme je te connais* (...) (fr.) — o jakże cię znam, moja mała, kochana mamó. [przypis redakcyjny]

<sup>59</sup>*la belle au bois dormant* (fr.) — śpiąca królewna. [przypis redakcyjny]

<sup>60</sup>*mon adorée maman* (fr.) — uwielbiana mamó. [przypis redakcyjny]

<sup>61</sup>*que sais-je* (fr.) — czy ja wiem. [przypis redakcyjny]

stopnia słuszności skargom syna nie odmawiała. Pamiętała wybornie o swoich własnych wstrętach i nieudolnościach. Po chwili z namysłem mówić zaczęła:

— Ciernie twojego położenia rozumiem dobrze. Wszystko to, co wyliczyłeś, czyni je dla ciebie trudniejszym, niż bywa ono dla innych, Jednak, moje dziecko, niczyje życie na tej ziemi nie może być wolne od usiłowań, walk, cierpień i spełniania trudnych...

Prędko z krzesła wstając mowę jej przeciął:

— Dziękuję! Mam już tych usiłowań, walk i cierpień aż nadto dosyć. Utopiłem w nich dwa lata mego życia. *J'en ai assez*<sup>62</sup>.

— Gdybyś był wyjątkiem... Ale... wszyscy jesteśmy nieszczęśliwi...

Stając przed matką zapytał:

— Nie jest przecież życzeniem mamy, abym pomnażał poczet nieszczęśliwych?

W głosie jej czuć było trochę drżenia, gdy odpowiedziała:

— Nie ma na świecie matki, która by dziecko swoje nieszczęśliwym widzieć chciała, ale ja dla ciebie pomiędzy niskim szczęściem a nieszczęściem wzniosłym wybrałabym drugie.

— Któż tu mówi o szczęściu niskim? — zarzucił — czyż przyjemności wyborowych towarzystw, piękności wspaniałej natury, rozkosze sztuki stanowią niskie szczęście?

— Najpewniej nie. Ponieważ jednak tu się urodziłeś, tu są twoje obowiązki, tu żyć musisz...

— Dlaczego muszę? — przerwał. — Dlaczego muszę? Ale właśnie przybyliśmy w rozmowie naszej, droga mamó, do punktu, na którym umieszczę moją propozycję... *non*<sup>63</sup> moją najgorętszą prośbę...

Zawahał się przez chwilę, potem znowu przed matką siadając znowu pochylił się ku jej kolanom i rękę jej wziął w swoje dłonie. Znowu też pieszczotliwie, z wdziękiem, z odzieniem rzewności i poetyczności, mówić zaczął. Mówił o tym, aby sprzedała Osowiec, które były dziedziczną jej własnością, i aby z nim razem za granicę wyjechała. Mieszkać będą w Rzymie, Florencji albo w Monachium, każdego lata wyjeżdżać w góry lub nad morze. Kapitał osiągnięty ze sprzedaży Osowiec w połączeniu z tym, co Klotylda posiada i jeszcze w przyszłości od rodziców otrzyma, wystarczy im na życie, nie zbyt kowne wprawdzie, ale dostatnie i bardzo przyjemne. Zresztą, on może jeszcze kiedyś i bardzo bogaty zostanie, gdy w otoczeniu stosownym artystyczne natchnienia i zdolność twórczą odzyska. Żyć i podróżować będą zawsze razem, przyjemności wysokich używać, wszystkie marzenia swoje spełniać, tylko trzeba, aby wydostali się stąd koniecznie, aby koniecznie i co najprędzej wynurzyli się z tego morza pospolitości, nudy i powszechnych złych humorów. Z lekka żartować zaczął:

— Nieprawdaż, moja złota mamó, że tu panuje powszechny zły humor? Wszyscy po kimś albo po czymś płaczą, zbiedzeni, skłopotani, przełknięci... Stąd płynie melancholia, *qui me monte à la gorge*<sup>64</sup> i dławi mię jak *globus histericus* tę biedną panią Benedyktową... Raz tylko wyjeżdżałaś za granicę, droga mamó, i to dawno... jeszcze z ojcem. Nie znasz więc różnicy atmosfer... nie wyobrażasz sobie, ile znalazłabyś tam rzeczy pięknych, ciekawych, wzniosłych, prawdziwie godnych twego wykształcenia, smaku i rozumu!...

Milczała. Z głową podniesioną i spuszczonej powiekami siedziała nieruchomo, nie odbierając mu swojej ręki, która tylko stawała się coraz zimniejszą i sztywniejszą. Na koniec cicho, ale stanowczo przemówiła:

— Nie uczynię tego nigdy.

Porwał się z krzesła.

— Dlaczego? Dlaczego?

Podnosząc na niego wzrok głęboki i surowy odpowiedziała:

— Dlatego właśnie, co powiedziałeś... Dla tej właśnie melancholii.

— Ależ to jest wściek... *pardon*<sup>65</sup> krańcowy idealizm! Krańcową idealistką jesteś, moja mamó! Skazywać się na wieczny smutek, kiedy uniknąć go można, przyrastać do zapadłego miejsca na kształt grzyba, dlatego tylko, że inne grzyby siedzieć w nim muszą — to idealizm bezwzględny, krańcowy idealizm!

<sup>62</sup>*J'en ai assez* (fr.) — mam tego dość. [przypis redakcyjny]

<sup>63</sup>*non* (fr.) — nie. [przypis redakcyjny]

<sup>64</sup>*qui me monte à la gorge* (fr.) — to podchodzi mi do gardła, dusi. [przypis redakcyjny]

<sup>65</sup>*pardon* (fr.) — przepraszam. [przypis redakcyjny]

Patrząc mu prosto w oczy zapytała:

— A ty, Zygmuncie, czy nie jesteś idealistą?

On! Ależ naturalnie! Uważa się on za idealistę i nie przypuszcza nawet, aby go ktokolwiek o materialistyczne zasady albo dążności mógł podejrzewać. Ale w tym właśnie tkwi niemożność pozostawania jego tutaj. Spragniony jest ideałów i wyższych wrażeń, a otacza go sama pospolitość i monotonia. Idealistą zresztą będąc do ascetyzmu skłonności nie posiada. Fakirem<sup>66</sup> ani kamedulą<sup>67</sup> zostać nie może. Jest on człowiekiem cywilizowanym i posiada potrzeby zaszczerpione w niego wraz z cywilizacją: potrzeby uciech i rozrywek pewnego rzędu, tu do znalezienia niepodobnych. Dla braku wrażeń pracować nie mogąc, nie ma także żadnych przyjemności, a całe dnie przepędzać bez pracy i bez przyjemności jest to życie prawdziwie piekielne, od którego oszaleć można, nie tylko już ze zmartwienia i tęsknoty, ale z samej nudy...

Unosił się. Od dawna już pracujące w nim niezadowolenie i zniecierpliwienie teraz, wobec oporu matki, grożącego ruiną jedynemu jego ratunkowemu planowi, nadwerężało w nim nawet zwykłą wykwinność form. Wyglądał daleko mniej żurnalowo niż zwykle. Z rękami w kieszeniach surduta pokój przebiegał, kilka razy gniewnie i niespokojnie własną swoją postać obejrzał.

— Tu każdy — wołał — największy choćby idealista, najgenialniejszy artysta, przemienić się musi w opasłego wołu... Ciało prosperuje, a duch upada. Czuję w sobie okropną degrengoladę ducha... Prawdziwie i głęboko nieszczęśliwy jestem... Marnieję, ginę, wszystko, co jest we mnie wyższego, idealnego, przemienia się w żółć i tłuszcz!...

Przy ostatnich światłach kończącego się dnia pani Andrzejowa ściagała wzrokiem gwałtowną przechadzkę syna po pokoju i wtedy dopiero, gdy przerwał się na chwilę potok jego wółgryźliwej, wółżalosalnej mowy, głosem, który z dziwną trudnością wychodził z jej piersi, zauważyła:

— Czy zachęty do tej pracy, której pragniesz, i do tej, której nie lubisz, niejakiego przynajmniej wynagrodzenia braków, na które się skarżysz, nie możesz znaleźć w uciechach serca?... Ja kiedyś je posiadałam, znam więc ich moc i wagę. Jesteś, Zygmuncie, bardzo szczęśliwie ożeniony.

— Nie bardzo — sarknął.

Tak cicho, że zaledwie mógł ją dosłyszeć, zapytała:

— Czy nie kochasz Klotyldy?

Zakłopotany trochę, przechadzkę swą przerwał, stanął:

— Owszem... owszem... mam dla niej przywiązanie... dużo przywiązania... ale nie wystarcza mi ona... do duchowych moich potrzeb nie dorosła... ta wieczna jej czułość i nieustanne paplanie...

Z żywością mu przerwała:

— Jest to dziecko, piękne, utalentowane i namiętnie cię kochające dziecko, które w słońcu twojej miłości i przy świetle twego umysłu dojrzeć i rozwinąć się może. Nie tylko za szczęście, ale i za jej moralną przyszłość odpowiedzialny jesteś...

— *Pardon!* — przerwał — na pedagoga nie miałem powołania nigdy i do kształcenia żony mojej nie obowiązywałem się przed nikim. *Ce n'est pas mon fait*<sup>68</sup>. Jest się dobraną parą lub się nią nie jest. *Voilà*<sup>69</sup>! A jeżeli w tym wypadku są jakieś nierówności, ofiarą ich z pewnością jestem ja.

Plecami do pokoju zwrócony stanął przed oknem, za którym słońce, już niewidzialne, zapalało nad drzewami parku szeroki pas różowy. Przez kilka minut panowało milczenie, które przerwał stłumiony głos pani Andrzejowej. Czuć w nim było zdejmującą ją niewysłowioną trwożę.

— Zygmusiu, chodź do mnie... chodź tu... bliżej!

A gdy o parę kroków od niej stanął, szeptem prawie mówić zaczęła:

— Na wszystko, co kiedykolwiek nas z sobą łączyło, co kiedykolwiek kochałeś, proszę cię, abys mi odpowiedział szczerze, zupełnie szczerze... Złęklam się, widzisz, niezmiernie

<sup>66</sup>*fakir* — asceta, pokutnik hinduski. [przypis redakcyjny]

<sup>67</sup>*kamedul* — członek zakonu o surowej regule, zobowiązany do umartwień i długotrwałego milczenia. [przypis redakcyjny]

<sup>68</sup>*ce n'est pas mon fait* (fr.) — to nie moja rzecz. [przypis redakcyjny]

<sup>69</sup>*voilà* (fr.) — otóż to. [przypis redakcyjny]

myśli, która do głowy mi przyszła... Uczulam niezmierny ciężar na sumieniu... Jednak pragnę wiedzieć prawdę, aby móc jasno rozpatrzyć się w położeniu i co jest jeszcze do naprawienia, naprawić, czego uniknąć można, uniknąć... Czyżbyś prawdziwie i stale kochał Justynę? Czyżby to uczucie było przyczyną tak prędkiego zobojętnienia twego dla Klotyldy? Czy... gdybym, zamiast zrażać, zachęcała cię była do ożenienia się z Justyną i gdyby ona była teraz twoją żoną, czułbyś się szczęśliwszy, mężniejszy, lepiej do życia i jego obowiązków uzbrojony?

Zapytań tych wysłuchał z trochę gorzkim, a trochę lekceważącym uśmiechem, po czym z rękami w kieszeniach i podniesionymi trochę ramionami przechadzkę po pokoju znowu rozpoczynając odpowiedział:

— Bardzo wątpię. Wie mama, że rozczarowałem się do niej zupełnie. Zimna jest, przesądna, ograniczona, przybiera jakieś pozy bohaterki czy filozofki... Przy tym dziś właśnie zauważyłem, że ma takie zgrubiałe ręce i w ogóle wygląda więcej na prostą, hożą dziewczkę niż na pannę z dobrego towarzystwa... Już też Klotylda daleko jest dla mnie stosowniejsza... bo delikatniejsza, staranniej wychowana i wcale ładny talent do muzyki posiada... wcale ładny... Tylko że ja dziwnie łatwo oswajam się ze wszystkim, a jak tylko oswoję się, zaraz mię nudzi... *Ça dépasse toute idée*<sup>70</sup>, jaki ja mam głód wrażeń... Prawdziwie, pod tym względem nienasycony jestem i dlatego właśnie w tej tutejszej monotonii ginę, marnieję, przepadam...

Mówił jeszcze czas jakiś, ale trudno było zgadnąć, czy pani Andrzejowa go słuchała. Odpowiedź jego upewniła ją o dwóch rzeczach, naprzód o tym, że przez Justynę odtrącony został, następnie, że żadnej z tych dwóch kobiet prawdziwie i stale nie kochał. Czy kogokolwiek lub cokolwiek mógł kochać? Powoli, powoli wyniosła kobieca głowa żalobnym czepekciem okryta chyliła się na pierś, w której wzbierała hamowana jeszcze burza uczuć i podniosła się znowu wtedy dopiero, gdy Zygmunt kroki swe przed nią zatrzymując, raz jeszcze ze zmieszanem prośby i wyrzutu, pieszczotliwości i zniecierpliwienia pytać zaczął: czy cierpienia jego nie skłonią ją do wykonania planu, który ułożył? Czy po namyśle, zimno na rzeczy spojrzawszy, nie zgodzi się na to, czego on pragnie i dla podtrzymania swoich twórczych zdolności, dla uniknięcia ostatecznej degrengolady ducha koniecznie potrzebuje?

Wtedy pani Andrzejowa głowę podniosła znowu i głosem w którym brzmiała zwykła już jej wyniosłość i energia, odpowiedziała:

— Nigdy. Ja na te rzeczy nigdy zimno patrzeć nie będę. Dopóki żyję, nigdy na tej piędzi mojej rodzinnej ziemi, nigdy w tych ścianach obcy ludzie... obce bogi...

Nagle wybuchnęła:

— Wielki Boże! Ale po mojej śmierci ty to uczynić jesteś gotów... Tak! Ty to uczynisz pewno, gdy tylko ja oczy zamknę... Jak tchórz uciekniesz z szeregów zwyciężonych... Jak samolub nie zechcesz łamać się chlebem cierpienia... Kawał Chrystusowej szaty rzucisz za srebrnik, ażeby kupić sobie życie przyjemne... Wielki Boże! Ależ ty chyba w chwili uniesienia... w dziwnym jakimś śnie okazujesz się taki... Zygmuncie, o! Mój Zygmuncie! Powiedz mi, że naprawdę inaczej myślisz i czujesz...

Syn, spokojny i zimny, nie dając się unieść jej wybuchowi, jakby jej prawie nie słuchając mówił:

— Niech się mama nie unosi! — Ależ, moja droga mamo, proszę się tak nie unosić! Któż tu mówi o samych tylko przyjemnościach życia? Mnie idzie o coś wyższego, ważniejszego... o moje zdolności... natchnienia...

— Czyż dusza artysty — zawołała — musi koniecznie być tylko motylem na swawolnych i niestałych skrzydłach przelatującym z róży na różę? Czy tu ziemia nic nie rodzi? Czy tu słońce nie świeci? Czy tu królestwo trupów, że żadnego błysku piękna i życia dokoła siebie znaleźć nie możesz?... że nic cię zachwyceniem czy bólem, miłością czy oburzeniem wstrząsnąć i natchnąć nie może? A ja marzyłam... a ja marzyłam...

Tu głos jej drzeć zaczął powściąganymi z całej siły łzami.

— A ja marzyłam... że tu właśnie, w otoczeniu rodzinnej natury, wśród ludzi najbliższych ci na świecie, twórcze zdolności twoje najpotężniej w tobie przemówią... że raczej tu właśnie najpotężniej przemawiać do nich będzie każda roślina i każda twarz ludzka,

<sup>70</sup>*Ça dépasse toute idée* (fr.) — to przechodzi wszelkie wyobrażenie. [przypis redakcyjny]

każde światło i każdy cień... że właśnie soki tej ziemi, z której i ty powstałeś, jej lży i wdzięki, jej słodycze i trucizny najłatwiej wzbijają się ku twojej duszy i najpotężniej ją zapłodnią...

Stojąc przed nią w postawie zbiedzzonej, prawie skurczonej, ręce gestem zdumienia rozkładał i prawie jednocześnie z nią mówił:

— Ależ ja tego wszystkiego nie znam... ja, *ma chère maman*, z tymi światłami, cieniami, słodyczami, truciznami etc., etc od dzieciennych dni nie przedstawiałem... nie zżyłem się... nie przywykłem do nich... wcale do czego innego przywykłem... Nie można z cywilizowanego człowieka przedzierzgnąć się na barbarzyńcę z powodu... z powodu soków ziemi, z którymi się do czynienia nie miało!

Powoli, obu dłońmi opierając się o stół, bo może nogi posłuszeństwa jej odmawiały, powstała i zapłakała tak, jak płakała zwykle, bez łkania, bez najłżejszego drgnienia rysów, kilku grubymi łzami, które powoli stoczyły się po jej policzkach.

— Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina! — powoli wymówiła. — Zbłądziłam. Pomiędzy tobą a tym, co powinno być najwyższą twoją miłością, nie zadzierzgnęłam dość silnych węzłów. Mówiłam ci wprawdzie o tej miłości zawsze, wiele... ale słowa, to widać siew nietrwały... Zbłądziłam... Ale dziecko moje...

Tu białe ręce modlitewnym gestem na staniku żałobnej sukni splotła.

— Nie karz ty mnie za mój błąd mimowolny... o, mimowolny! Bo myślałam, że czynię jak najlepiej... Zamykałam cię w kryształowym pałacu i w dalekie światy wysyłałam, bo w myśli mojej miałeś być gwiazdą pierwszej wielkości, nie zaś pospolitą świecą, wodzem, nie szeregowcem. Widać zbłądziłam, ale ty błąd mój popraw. Pomyśl, głęboko pomyśl nad krótką historią swego ojca, którą znasz dobrze. Czy nie możesz z tego samego co on źródła czerpać siłę, męstwo, moralną wielkość? Twój ojciec, Zygmuncie, oprócz wielu innych rzeczy wielkich kochał ten sam lud, którym i ty otoczony jesteś, posiadał sztukę życia z nim, podnoszenia go, pocieszania, oświecania...

Nagle umilkła. W zmroku, który zaczynał już pokój ten napępiać, usłyszała głos drwiący i pogardliwy, który jeden tylko wymówił wyraz:

— Bydło!

O, Bóg niech będzie jej świadkiem, że pomimo wszystkich swoich instynktownych odraz i niedołężności nigdy tak nie myślała, nigdy na wielkie zbiorowisko ludzi, najbliższych jej w świecie ludzi, takiej obelgi, w najgłębszej nawet skrytości myśli swej nie rzuciła, że zbliżyć się do tego zbiorowiska, przestawać z nim, pracować nad nim nie umiejąc, sprzyjała mu serdecznie i dla najnędrniejszej nawet istoty ludzkiej miała jeszcze życzliwość i choćby bierne współczucie. O, Bóg tylko jeden widział burzę przerażenia, którą w niej wznicił ten jeden wyraz z obojętnie wzgardliwych ust jej syna spadły, bo on tej burzy, która jej głos odebrała, ani kredowej bladości twarzy jej oblewać poczynającej nie spostrzegł i stając przed nią, jakby z milczenia jej chciał korzystać, mówić zaczął:

— Bardzo dobrze rozumiem, o co kochanej mamie najwięcej idzie. I jakże nie rozumieć? Soki ziemi, chleb cierpienia, Chrystusowe szaty, lud... słowem... jak mówi stryj Benedykt, to... tamto!... Nigdy o tym mówić nie chciałem, ażeby kochanej mamy nie gniewać i nie martwić. Szanuję zresztą wszystkie uczucia i przekonania, szczególnie tak bezinteresowne, o, tak nadzwyczajnie bezinteresowne! Ale teraz spostrzegam, że zachodzi konieczność szczerego rozmówienia się o tym przedmiocie. Otóż przykro mi to bardzo, *j'en suis désolé*<sup>71</sup>, ale ja tych uczuć i przekonań nie podzielam. Tylko szaleńcy i krańcowi idealisci bronią do ostatka spraw absolutnie przegranych. Ja także jestem idealistą, ale trzeźwo na rzeczy patrzeć umiem i żadnych pod tym względem iluzji sobie nie robię... a nie mając żadnych iluzji, nie mam też ochoty składać siebie w całopaleniu na ołtarzu — widma. Proszę o przebaczenie, jeżeli mamy uczucia czy wyobrażenia obrażam, ale rozumiem, doskonale rozumiem, że osoby starsze mogą zostawać pod wpływem tradycji, osobistych wspomnień etc. My zaś, którzy za cudze iluzje pokutujemy, swoich już nie mamy. Kiedy bank został do szczętu rozbity, idzie się grać przy innym stole. Tym innym stołem jest dla nas cywilizacja powszechna, europejska cywilizacja... Ja przynajmniej uważam się za syna cywilizacji, jej sokami wykarmiony zostałem, z nią przez tyle lat pobytu mego za granicą zżyłem się, nic więc dziwnego, że bez niej już żyć nie mogę i że

Lud, Szlachcic

Dziedzictwo, Małżeństwo,  
Ojciec, Ojczyzna, Syn

<sup>71</sup>*j'en suis desole* (franc.) — jestem zmartwiony, martwi mnie to. [przypis redakcyjny]

tutejsze soki tuczą mi wprawdzie ciało w sposób... w sposób prawdziwie upokarzający, ale ducha nakarmić nie mogą...

Słuchała, słuchała i może miała takie poczucie, jak gdyby ziemia spod stóp się jej usuwała, bo obie jej dłonie mocno ścisnęły krawędź stołu.

— Boże! Boże! — kilka razy z cicha wymówiła, a potem jedną rękę od stołu odrywając i ku oknu ją wyciągając, z trudem, zdławionym głosem zaczęła:

— Idź na mogiłę ojca, Zygmuncie, idź na mogiłę ojca! Może z niej... może tam...

— Mogiła! — sarknął. — Znowu mogiła! Już druga dziś osoba wyprawia mię na mogiłę! Ależ ja za mogiły bardzo dziękuję... przede mną życie, sława...

— Bez sławy, bez grobowca, przez wszystkich zapomniany, w kwiecie wieku i szczęścia ze świata strącony, twój ojciec... tam...

— Mój ojciec — wybuchnął Zygmunt — niech mi mama przebaczy... ale mój ojciec był szaleńcem...

— Zygmuncie! — zawołała, a głos jej dźwięczał zupełnie inaczej niż zwykle: przeraźliwie jakoś i groźnie.

Ale i on także miał w sobie trochę popędliwej krwi Korczyńskich, którą wzburzył niezłomny opór matki.

— Szaleńcem! — powtórzył. — Bardzo szanownym zresztą... ale do najwyższego stopnia szkodliwym...

—Boże! Boże! Boże!

— Tak moja mamo. Niech mama mnie przebaczy, ale ja mam prawo mówić o tym, ja, który nie mogę zająć przynależnej mi w świecie pozycji, który nieraz w szczęśliwszych krajach czułem przybite do mego czoła piętno niższości, który o połowę uboższy jestem przez to, że mój ojciec i jemu podobni...

— Wyjdź! Wyjdź stąd! — nagle głos z piersi wydobywając zawołała. — Co najprędzej, o! Co najprędzej... bo lękam się własnych ust... o!...

Nie dokończyła, tylko z wysoko podniesioną głową i twarzą, której kredowa bledłość w ramie czarnego czepka odbijała na tle zmierzchu, rozkazującym gestem wskazywała mu drzwi.

— Ależ pójdę! Pójdę! z mamą o tych rzeczach rozmawiać niepodobna! Mogiły, złorzeczenia, tragedie! Co się tu dzieje! Co się tu dzieje! I o co? Za co? Dlaczego? Gdyby o tym gdzie indziej opowiadać, nikt by nawet nie zrozumiał i nie uwierzył!

Wyszedł i po cichu drzwi za sobą zamknął.

Są ludzie, którzy płakać umieją tylko nad mogiłami drogich sobie istot, czym zaś jest rozpacz nad śmiercią uczuć i ideałów doznawana, nie wiedzą. Lecz ta wspaniała kobieta, która z twarzą jak oplutek białą stała wśród zmroku niby w kamienną kolumnę przemieniona, czuła teraz, że na drodze jej życia i na dnie jej serca wznosi się druga mogiła, rozpaczniejsza jeszcze od pierwszej, bo nic już po sobie nie pozostawiająca. W tę drugą mogiłę kładły się na wieki i bezpowrotnie ją żegnały najdroższe jej uczucia i nadzieje, rozkładająca się w niej, niby ciało w retorcie śmierci na marną parę przerabiane, wiara jej w geniusz i w szlachetność syna... Wydało się jej nawet, że czuje zapach trupa i że ten trup znajduje się w niej samej, zalega dno jej własnej piersi, którą zdjęło śmiertelne zimno. Byłaby to agonია jej wielkiej miłości dla syna? Czyżby go kochać przestawała? Piers jej stygła, jakby w niej zagaśł jedyny płomień, który utrzymywał jej życie. Ona rozumiała, co tam gaśnie, i obie dłonie mocno przyciskała do serca, chcąc może zatrzymać to, co z niego ulatywało. Czuła, że wraz z zanikaniem jej miłości i wiary niezgłębiona próżnia otwiera się przed nią, kruszą się same podstawy jej bytu, jakiś nóż ostry i nielitościwy podcina same korzenie jej życia. Z postawy jej, ruchów rąk i drżenia rysów widać było nieznośną mękę, która bolesne prądy rozsyłała od kończyn do kończyn jej ciała, siłą cierpienia, zda się, wywlekając z niej duszę. Wtem oczy jej oślepiło jakieś wielkie, jaskrawe światło. Był to ów pas na niebie, przed chwilą różowy, a teraz krwawo zaczerwieniony, który za drzewami ogrodu i nad nimi pozostawiło zaszłe już słońce. Szeroki, równy, gdzieśgdzie zbalwaniony, podobny on był do rzeki krwi, po której przepływały kiry fioletów i nad którą niby rozwiewna gloria, ulatywały złotawe pary. To zjawisko przyrody dla kobiety, która patrzyła na nie, przedstawiło jakiś symbol i uderzyło jej w oczy jakimś przypomnieniem. Z miejsca, na którym stała, widziała tylko wąski, daleki rąbek błękitu, do promienia ideału, do wiecznej, chociaż dalekiej nadziei podobny, lecz więcej nic, nic



prócz tej rzeki krwi ciemnymi kroplami, jak ciężkimi łzami usianej, złotawą parą buchającą. Patrzała, patrzała, aż dłonie podnosząc do skroni, jak ktoś, kto przed gwałtownym wichrem ostać się nie może, okręciła się na miejscu i z jękiem na ziemię upadła. Kolana jej i ręce splecione, którymi sobie zasłoniła czoło, z głuchym stukiem o posadzkę uderzyły. Po pokoju rozlegać się zaczął szept, to gwałtowny, to znów tak cichy, jak gdyby z konającej piersi wychodził.

— Widziałeś? Ciebie znieważyl! Pamięć twoją, grób twój... Ideały nasze, wiarę, pragnienia zdeptał! Andrzeju! Czy ty mię słyszysz? Czy ty mi przebaczasz? Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina! Ale ja tego nie chciałam... Śmierci, o! Śmierci!

Ale śmierć nie byłaby okrutna, gdyby przybywała ku tym, którzy już życia nie pragną. Silne jej ciało zwycięsko opierało się targającej nim rozpacznej burzy. Przed oknem zasłoniętym czerwonością nieba długo z twarzą przy ziemi leżała, aż gdy podniosła ją i spojrzała w górę, wyraz niemego, osłupiałego zachwycenia nappełnił jej oczy. Po raz drugi doświadczyła wizji, której pragnęła i wzywała zawsze. Widziała Andrzeja. Kształty jego zaledwie rozróżniać mogła, bo owijały je złotawe pary, ale wypukłe rysy, w ciemnej gęstwinie włosów, z krwawiącą się plamą na czole, męczeńską bledością odbijały na tle krwawego obłoku. W te rysy wpatrzyła się ze stokroć większą jeszcze miłością niż w owym dniu dalekim, gdy ukochany zdejmował z jej skroni welon oblubienicy. Cisza głęboka, taka, jaka na ziemi bywa tylko przed wejściem jutrzenki, dokoła niej zaległa. Najłżejszy szmer ucha jej nie dolatywał; nie czuła też twardości ziemi, na której klęczała, ani przestrzeni rozdzielającej ją z zawieszonym pod niebem zjawiskiem.

— Czy mi przebaczasz? — drżącymi ustami szeptała.

Ale on, złotawą glorią owinięty, leżał na krwawym obłoku cichy, smutny, w daleki rąbek błękitu zapatrzony. Zdało się jej tylko, że z mglistych obsłon wydobyte, przejrzyste jego ramię na mgnienie oka wyciągnęło się nad jej głową.

— Bez ojca wzrósł — szeptała — bez ojca... bez ciebie!

Lecz na krwawym obłoku zeglująca kropla fioletu zbliżała się, rosła, wydłużała i powoli, rys po rysie, zasłaniała to oblicze blade, ciche, aż do końca zapatrzone, niby w promień ideału lub w wieczną, chociaż daleką nadzieję, w wąski, daleki rąbek błękitu.

### III

Dzień był znowu świąteczny i pogodny, ale rozległa równina, z jednej strony w lesiste pagórki, a z drugiej w półkoliste koryta Niemna ujęta, inną miała postać niżeli w świetne, skwarne, mozolne dni upłynionego już lata. Miała inną postać, bo było to święto wesole i rześkie jeszcze, w zebrane plony bogate, lecz już niby u wrót rozpoczynającej się jesieni stojące.

Zamiast świeżości, blasku i kipiątka wezbranego życia unosił się teraz nad tą równiną łagodny smutek natury, omdlewającej z wolna i z wdziękiem. Na spasionych miedzach, gładkich i pustych, zaledwie gdzieniegdzie sterczały nagie łodygi cykorii, ciemną czerwinią iskrzyły się bujne kity końskiego szczawiu, drobne puchy kotków<sup>72</sup> i żółknące dzięcieliny trwożnie przypadały ku stwardniałym krawędziom zagonów. Jak okiem zajrzeć, zdeptane przez trzody ścierniska zmartwiała żółtość swoją mieszały z ciemną szarością zoranej gleby i więdnącą zielenią kartoflisk, a wszystko to razem wyglądało jak kobierzec o barwach przygasłych i spłowiałych, na którym tu i ówdzie łanki dojrzałej gryki kładły rdzaworóżowe plamy, a majową zielonością odbijał na korczyńskich polach bujający wysoki gaj końskiego zębu<sup>73</sup>. Ścieżki tajemniczo przedtem na dnie zbożowej puszczy utopione widocznymi teraz, chociaż mdlawymi skrętami przepływały ciemniejszą od nich rolę, której spulchnioną powierzchnię gęsto osiadywały wrony, w zadumanych postawach spuszczać ku ziemi żeru szukające swe dzioby. U skraju ściernisk, pod laskami, wzbijały się z małych ognisk pastuszych niskie, nikłe, sinawe dymy; polne grusze, topole i wierzby stały jeszcze w zieleni gęstej, lecz szerniałej i bez blasku, a kiedy niekiedy, nie wiedzieć skąd się biorąc, żółty liść przelatował już powietrzem i gdzieniegdzie na polnych krzakach mlecznie białeły płatki pajęczyny. Zamiast upajającej woni kwitnących ziół, skoszonych

Ziemia

<sup>72</sup>kotki — ludowa nazwa koniczyny polnej. [przypis redakcyjny]

<sup>73</sup>koński ząb — ludowa nazwa kukurydzy pastewnej. [przypis redakcyjny]

traw, świeżo zżętej słomy i z drzew ulatniającej się żywicy, czuć było naokół jeden tylko mocny, wilgotny, razowe pieczywo przypominający zapach ziemi, głęboko przez pługi wzruszonej. Zamiast ogłuszających śpiewów ptastwa i niezliczonych w różnaitości swej brzęczeń owadów panowała wszędzie cisza, cisza nie śmierci jeszcze, ale wielkiego uspokojenia się istot i rzeczy, wśród której jednak ozywały się w górze ostre krzyki żurawi i klekot bociani, a w dole na mdlejących skrzydłach przelatwały spóźnione motyle, pszczoły nad łankami gryki brzęczały i powyżej drzew dzwoniła ciągle niewidzialna struna nadwodnych muszek. W dniu powszednie rozlegały się tu jeszcze przewlekle i posępne lub ochocze i krótkie wołania oraczy; widać także było szybko posuwające się pługi, z cichym chrzęstem po zoranej roli wlokące się brony i powoli, równo, w prostych liniach, z wyprostowanymi postaciami postępujących siewców, których ręce rytmicznymi prawie ruchami rzucały na zagony obfitą rosę ziaren. Nad tym zaś wszystkim, nad zaścielającym ziemię kobiercem przygasłym i spłowiełym, a gdzieś tam tylko rdzawą różowością lub majową zielenią rozweselonym, nad pociemniałymi drzewami, u których stóp wiły się nikłe dymy, nad z rzadka rozsianymi oraczami i siewcami, świeciło śród czystych, lecz bladych błękitów ciche, przygasłe, bladozłote słońce. Zdawać się mogło, że przez długie wylewanie na ziemię zapładniających ogni wywabiło ono z szaty ziemi świetne jej barwy i samo pobladło, a teraz na piękną jeszcze, lecz uciszoną i smętną spoglądało smętnym uciszonym okiem. Tak jak ziemia, która uśmiechała się jeszcze, lecz już nie wybuchala radością, ogrzewało ono jeszcze, lecz już nie paliło, laskawie zarzucało na wszystko płaszcz z bladego złota, lecz nigdzie nie rozniecało ognisk płomieni i iskier. Od pozbawionego tych ognisk, bladego błękitu nieba do spłowiełego kobierca ziemi stało powietrze niepokalanie przejrzyste, nieco chłodną rzeźwością przejęte, przypominające bliskie już, pajęczynowe, babie lato — do umieszczonego nad światem kryształowego dzwonu podobne.

Słońce

Wraz ze zmienioną postacią natury bohatyrowicka okolica nieco odmienną postacią przybrała. Nie był to już, jak przedtem, gęsto zbity i dla oka prawie nierozwikłany pas roślinności, śród którego z bliska tylko i ułamkowo rozpoznawać było można granice zagród ich domostwa. Teraz tylko wszystkie płoty i ściany budynków do połowy niemal tonęły w przedziwnie wybuchających, z niesłychanym gwałtem wzdymających się gęstwiniach. Były to gęstwiny, a raczej wzdęte rzeki, dzikie puszcze chwastów. Były to niby księgi natury o gęsto zbitych i coraz innych kartach. Z wysokiej, szerokolistnej, puszystej dla oka a twardej dla ręki pościeli olbrzymich łopuchów, babek, chrzanów bujały tam wysoko niezliczone osty, u wierzchołków ubrane w bladoróżowe, misterne, kolcami zjeżone kwiaty mieszające się ze śnieżnymi koronami krwawników<sup>74</sup>, z ciemną czerwienią końskich szczawiów, z zaroślami psich języczków, których podługowate liście wysuwały się zewsząd, jakby chciały swą ostrą powierzchnią lizać odzież przechodniów; gdzie indziej krzaczysty, grubiański żywokost mnóstwem białych guziczków osypyany rozpierał się tak szeroko, że nic już przy nim wzrastać nie mogło oprócz upartych mięt i piołunów rozlewających naokół mocne i gorzkie zapachy; gdzie indziej jeszcze zdziczałe spireje, ogołoczone z kwiatów malwy, przekwitłe i trującymi makówkami zwieńczone psianki tworzyły wysoką i nieprzebitą płataninę, której spodem kładły się krwiste liście więdnącej dzikiej lebiody, złożyły się suche szelestuchy, puszcza rosły chwoszczaje<sup>75</sup>, ruty i pokrzywy. Ale działo się tak tylko u płotów, stodół i stajen; gdzie indziej wszędzie rozwidniło się, rozszerzyło, poprzeszronniało. Najlżejszy pył, po niedawno spadłych deszczach, nie podnosił się z ziemi; w przejrzystym więc powietrzu, za ogrodami, z których zdjęto owsy, konopie i fasolę, domy i drzewa stały w wyraźnych, pełnych, odosobnionych zarysach. Pozostałe w ogrodach niskie tylko warzywa nic sobą nie zasłaniały, a na dziedzińcach i uliczkach, od płotu do płotu i od budynku do budynku, słały się już tylko niskie, zdeptane trawy. Wiśniowe i śliwowe gaje przerzedziły się i u dołu pustymi przestrzeniami przeświecały; stare lipy, grusze, topole i jawory, błyskając tu i ówdzie żółkły lub zaróżowionymi liśćmi, nabrały u szczytów koronkowej prawie przezroczystości. Kwiaty, bardzo już rzadkie, pod gankami i oknami domów ukazywały się w postaci nikłych floksów albo drobnych aster; w zamian, przez puste przestrzenie gajów i koronkowe gałęzie drzew widać było rozłożone

Rośliny

<sup>74</sup>krwawnik — tu: krwawnik pospolity, bylina o kwiatach białych lub białoróżowych. [przypis redakcyjny]

<sup>75</sup>chwoszczaj — białoruska nazwa skrzypu. [przypis redakcyjny]

na trawach brunatne lny, białaly pod blaskiem słońca rozciągnięte płótna i niewidzialne przedtem, na kształt skrawków drogiej materii, tu i ówdzie przebłyskiwały błękitne smugi Niemna.

Ranek był jeszcze, bo może trzech godzin do południa brakowało, gdy okolicę napełnił niezwykle gwar. Długo i nieustannie turkotały tam koła, parskały konie, rozlegały się powitalne wykrzyki. Ze wszystkich dróg przeryniających równinę ku Fabianowej zagrodzie zjeżdżały się bryczki, cwałowali jeźdźcy, pieszo dążyli mieszkańcy bohatoryrowickich zagród. Na koniec kilkanaście niewyprzężonych żółtych i zielonych, jedno i dwukonnych bryczek napełniło podwórkę zagrody i kilka jeszcze najbliższych podwórek; kilkanaście osiodłanych koni stanęło u różnych płotów; może sto osób różnej płci i wieku pstrą i ruchliwą falą okryło ogród, zieloną pomiędzy ogrodem i śliwowym gajem ulicę i rozlało się aż na drogę białym pasem u pustego pola sunącą. Na kilka mil wokół powszechnie wiadano, że byli to *weselniki*, przez Fabiana na małżeńskie gody jego córki pospraszani. Szeroko w powiecie słyneła ambicja, mowność, tak do ochoczej zabawy, jak do zuchwałych zadzierek skłonność Elżusinego ojca; więc chętnie ci i owi, przez szacunek, ciekawość a najbardziej nadzieję wesołych tańców i zalotów, dążyli do człowieka, który choć był ubogi, pokrewieństw i koneksji posiadał bez liku, a gdyby i z głodu miał mrzeć nazajutrz, przy okazji wystąpić musiał bucznym sobie panem.

Naturalną było rzeczą, że na weselu Bohatoryrowiczówny i Jaśmonta Bohatoryrowiczów i Jaśmontów znajdowało się najwięcej. Jednak przy powitalnych okrzykach, przy wzajemnym przywoływaniu się znajomych wiele innych nazwisk rozlegało się w powietrzu i nad trawami lecąc sięgało spokojnej, przezroczej wody Niemna, za którą je echa powtarzały i niosły aż w głębiny boru. Starzy i młodzi, przybyli tam licznie Zaniewscy ze spokojnych i w dobrej glebie siedzących Zaniewicz i z zaniemeńskich Obuchowców Obuchowicze złą sławę mający, bo choć dostatnie i pracowite chłopy, chętniej od innych awantur szukali, do bójkę skłonni, a do maczania języków w czarkach niewstręśliwi. *Zza* Niemna także przyjechali Osipowicze z Tołoczek, po włosach jak krucze pióra czarnych i twarzach jak u posągów kształtnych rozpoznawać się dający, i Łozowiczy z Soroczyc, hardo w górę podnoszący wąsa, mali a zwinni, z rodzinnej zgody znani, bo po czterech i pięciu w jednych chatach siedzący, zwadami nie obrażali Boga i nie gorszyli ludzi. Staniewscy ze Staniewicz jaśnieli w tłumie wysokimi czołami, których wczesne łysiny przypominały podgalane głowy przeddziadów; a byli tu także z piaszczystych Glindzicz ubodzy Maciejewscy i z najbliższych Samostrzelnik stateczni Strzałkowscy. Ze Starzyn swat Starzyński przywiózł trzech swoich synów i dwie tylko córki, lecz wzrostem i pełnią krwi pąsowej za cztery stanąć mogące, a z Siemaszek przybyli, jak trzy lwy, trzej Domunci, tutejszej Jadwigi stryjeczni, szerokością barów i obfitością czupryn tak przenoszący wszystkich, jak od wszystkich obecnych niewiast mniejsze i szczuplejsze były przybyłe z dwoma braćmi dwie Siemaszczanki, delikatne, bladawe, nieśmiałe dziewczynki, w zatrwożeniu swym ciągle trzymające się razem i po przezroczystej zieloności gaju przesuwające swe perkalowe sukienki w błękitne i białe paski. Był tam jeszcze z dorosłymi dziećmi stary Koroza, dawno już z zagrodowca na właściciela osobnego folwarczku wyszły; i z wyszukanyim imieniem Albin Jaśmont, ekonom z Osowiec, który z rotowym śmiechem o młodym swoim panu dziwne dziwy rozpowiadał. Był także szczupły i siwy jak gołąb felczer pobliski, o delikatnym profilu i filuternym uśmiechu, tytułem doktora powszechnie zaszczytany, i Józef Giecołd, mały dzierzawca z zapadłymi policzkami i zbiedzoną miną, którego małżonka w sterczącym kwiatami kapeluszu i z długim ogonem u wełnianej sukni z bryczki wysiadając wysoko ukazała grubą nicianą pończochę, a wnet potem papierosa zapaliła i tak już z zapalonym papierosem, oczy mrużąc i na nikogo nie patrząc, wyższość swą w pełni uczuwająca, przez ogród do domu dążyła.

Widoczne zresztą było, że wszyscy tu zgromadzeni dbali wielce o to, aby odzienie ich było weselu przystojne, ale że pod tym względem nie krępowała ich żadna wcale moda ani żaden despotycznie nakazujący zwyczaj. Na sukniach dziewcząt ukazywały się gdzieniegdzie szczuple draperie, niejaką pretensję do elegancji roszcujące, ale powszechnie były to bardzo skromne spódniczki i staniki kolorowymi paskami objęte, jesienne kwiaty w gładkich warkoczach, gdzieniegdzie złoto udający pierścionek na palcu, a u szyi szpilka z błyszczącym szkiełkiem, u wędrownego przekupnia nabyta. Mężczyźni prawie różnobarwniejszy przedstawiali widok niżeli kobiety. Czarne tużurki mieszały się tutaj

Wesele

Strój, Wiew

Lud, Mężczyzna

z surdutami z białego płótna, obok szarych kurt samodzielnymi jaśniały ubrania z karnarkowej dymki, wśród ciemnych, długich kapot, które nosili najstarsi, na kształt równo ociosanego krzaku zieleniał trawiasty surdut Starzyńskiego; wszystkimi barwami świata iskrzyły się na szyjach fantazyjnie związane chustki i krawaty, a tylko u piersi śnieżne przody koszul i po kolana wysokie buty z wpuszczonymi w nie spodniami ujednostajniały w części ten lud rosły, ogorzały, jednostajnie także karki prosto, a głowy śmiało trzymający.

Był to lud, ale lud, który nigdy nie podpierał strasznego gmachu przymusowej pracy ani twarzami w pył nie upadał pod piekielną obelgą chłosty. Był to lud, ale lud, za którym w dalekiej przeszłości jaśniało słońce ludzkich praw i dostojeństw, aż dotąd w dusze i na drogi życia kładące mu zbladłe, lecz jeszcze nie zgasłe promienie. Był to lud namiętne, niepohamowane, do waśni zgryźliwych, aż do występku czasem chciwy tej ziemi, którą na kształt kreta kopał w cichości i nisko, ale lud z tą ziemią jak z matką spojony i wszystkie pulsy jej życia i losów we własnych losach i żyłach czujący. Był to lud ogorzały, w obfitym pocie skąpany, z grubą skórą na twarzach i rękach, ale z gładkimi i prostymi plecami, wielką siłą ramion i okiem, które, acz na ciasne widnokregi, patrzyło śmiało i bystro. Gdziekolwiek stanęła ich większa nieco gromada, tam zdawać się mogło, że z ziemi wyrastał las dębów. Gdziekolwiek żywo i tłumnie zagadali, tam, zda się, przylatywały echa tej mowy, która brzmiała wówczas, gdy Rej z Nagłowic nad kuflem piwa i zrazem baraniej pieczeni gościł w Czarnolesiu. Gdziekolwiek zaśmieli się, spomiędzy warg rumianych błyskały rzędy jak śnieg białych zębów; gdy zdjęli czapki, ukazywali czoła od policzków bielsze i czupryny płowe, złociste, rudawe, czarne, lecz zawsze jak las obfite i z fantazją mającą pozór dumy odrzucone w górę.

Ale tak wyglądali tylko — młodzi. Starsi, niezbyt nawet starzy, chód miewali powolny, mowę rozważną, choć często obfitą, śmiech rzadki, oblicza zorane. Widać było, że życie, jakie wiedli, bardzo prędko uciszało ich, gasiło, z twarzy im wywabiało rumieńce, a nogi obciążało niewidzialnymi brzemionami. Grubobrzucha postać folwarczника Korozy i apoplektyczna cera Starzyńskiego stanowiły tu wyjątki. W zamian, chudością ciała przy wysokim wzroście i wyrazem cierpliwego zmęczenia na twarzy, u której wisiały długie, czarne wąsy, uderzał Walenty Bohatyrowicz, siedmiorga dzieci ojciec, a właściciel dziesięciomorgowego grunciku; zaś drugi Bohatyrowicz, dla gorliwej pobożności swej Apostołem od dawna przezwany, wielkimi, ciemnymi szklami osłaniał zaognione i wpełsłe oczy.

Podstarzałe lub stare kobiety, tak samo jak rówieśnicy ich mężczyźni, najczęściej chude, czasem drobne i delikatne, sterane miały twarze i powolną, choć czasem i wpadającą w zapalczywość mowę, a jedną tylko posiadały cechę, której nie posiadali mężczyźni: ceremonialność obejścia się i poruszeń. W suto wygarniowanych<sup>76</sup> kornetach lub nowożytniejszych czepkach, często nawet w prostych chustkach na głowach, w luźnych kaftanach i staroświeckich mantylach, z szerokimi kołnierzami u szyi i rękami pomarańczową prawie barwą odbijającymi od śnieżnych wygarniowań rękawów, składały one przed znajomymi układne dygi, wzajem sobie pierwszeństwa na ścieżkach i we drzwiach ustępowały, na górną lub skromną sadziły się mowę.

W całym tym zebraniu na parę godzin przed południem uczuć się dało niecierpliwe i trochę niespokojne oczekiwanie. Państwo młodzi i asysta weselna, jako to: dwaj swatowie, dwie swanie<sup>77</sup> i sześć par družbów, nie ukazywali się wcale przybyłym gościom, z których bardzo nieliczni tylko wchodzili do domu, a prawie wszyscy przechadzali się po ogrodzie i drodze albo siadali na długich ławach, tu i ówdzie ustawionych, na stosie desek pod stodołą, na kamieniach, na niskich płotkach. Wiedzano dobrze, że panna młoda już jest do ślubu ubrana i że pora już była wielka wyruszać w drogę do kościoła, lecz brakowało jeszcze jednej z najważniejszych osób asysty, mianowicie pierwszego družbanta. We wszystkich siedzących, stojących i przechadzających się gromadkach o tym tylko opóźniającym się, a tak ważnym gościu była mowa. Nie dziw, że opóźniał się: taki człowiek! Bogaty, przystojny i z tęgą głową; musiał przecież fanaberię jakąś okazać i nie dopuścić,

Kobieta, Wieś

Bogactwo, Chłop

<sup>76</sup>wygarniowany — przyozdobiony. [przypis redakcyjny]

<sup>77</sup>swania, swańka (gwar.) — zasadniczo każda mężatka uczestnicząca w weselu; także kobieta wykonująca pewne funkcje obrzędowe na weselu (w *Słowniku gwar* Karłowicza Orzeszkowa podana jako źródło tej formy). [przypis redakcyjny]

aby go za pierwszego lepszego uważano. Mężczyźni mówili o tym, że Kazimierz Jaśmont najmniejszym urodzajem ze sto kop żyta i ze trzydzieści pszenicy na polach swoich użyna, bydła może ze dwadzieścia sztuk posiada i piękne konie hoduje, a potem z zyskiem sprzedaje. Toteż dom sobie nowy niedawno zbudował i głośno przed wszystkimi oświadcza, że ożenić się zamysła, bo mu już kawalerstwo nagrzewać zaczęło. Lat ma ze trzydzieści dwa, posażnej sobie upatruje. A jakże! On by może na to wesele i nie przyjechał wcale, gdyby nie to, że chce mu się Domuntównie z bliskości w oczy popatrzeć. Aktorka! Jedno do drugiego, piękną fortunę we dwoje ufundują. Tylko że u tego tańca dwa końce. Podobno Domuntówna z kim innym już tak jak prawie jest zaręczona. Pogłosy o tym chodzą, ale może nieprawdziwe. Podstarzałe zaś kobiety opowiadały sobie wzajem, jaki to bogacz ten Kazimierz Jaśmont. Pracować — pracuje, bo nikomu ptaki same do garści nie lecą, z pługiem i kosą sam chodzi, ale dwóch parobków trzyma, złotny zegarek ma, a którejś niedzieli Michał Zaniewski za interesem do niego z rana przyszedłszy w szlafroku go znalazł. W szlafroku sobie siedział, fajkę palił i herbatę pił jak najpierwszy arystokrat. Ot jak! Czemu to inszym takie szczęście nigdy nie zaświeci? Ale widać już Pan Bóg tak chce, żeby jednym były gody, a drugim głody; jednym mąka, a drugim miękina<sup>78</sup>!

Dziewczęta, w ścisłą gromadkę zbite, oczy sobie wysłepiały na drogę patrząc, a zajmującego kawalera wypatrując. Jedna utrzymywała, że pan Kazimierz pewno od Jadwiśki dostanie dudka na kościele, bo ona już dawno sobie Jana Bohatyrowicza obrała i żeby tam nie wiadomo co, musi za niego wyjść; druga twierdziła, że pan Jaśmont Janka od Jadwiśki odsadzi, bo daleko, gdzie! może cztery razy bogatszy; inne chwaliły bardzo oczekiwanego kawalera mówiąc, że ślicznie tańczy i wierszami mówi. Delikatne, bladawe, zgrabne Siemaszczanki trzymając się pod ręce wsunęły się w grono wysokich i barczystych Bohatyrowiczówien, Jaśmontówien, Zaniewszczanek i Starzyńskich, a że tu obce były i nikogo prawie nie знаły, nieśmiało i cichutko zapytywać zaczęły, czy pierwszy družbant orację powie, bo jeżeli taki bogaty, to może też dumny i oracji powiedzieć nie zechce. Jedna ze Starzyńskich i dwie Zaniewszczanki od razu mówić zaczęły, że to już od tego zależeć będzie, czy mu się pierwsza družka upodoba, bo jeżeli nie upodoba się, to może zagrymasi i oracji nie powie, a jeżeli już powie, to bardzo piękną, bo jego mówienie zupełnie jak woda bieżąca, takie płynne, a do tego i wierszami przyozdabiane. Jak topola wysmukła, kruczowłosa Osipowiczówna nie wiedziała wcale, kto będzie pierwszą družką Alżusi, ale Bohatyrowiczówny wiedziały bardzo dobrze, że będzie nią panna Justyna Orzelska z Korczyzna, pana Korczyńskiego krewna, i mówiąc o tym uśmiechały się do siebie w sposób tak znaczący, że to uwagę wszystkich zwracało.

Wtem zieloną uliczką od bramy ku domowi wiodącą coś rączego, gromkiego, świetnego zaturkotało, zaparskało, przegalopowało i pod gankiem domu stanęło. Pierwszy družbant przyjechał. Przyjechał bryczką i jednym koniem, ale jaką bryczką i jakim koniem! Pierwsza świeciła nowiutkimi okuciami i najpiękniejszą majową barwą; drugi, czarny ogier (weselnicy pomiędzy sobą szeptali, że ze trzysta rubli można by było za niego zapłacić i że pochodził z własnego chowu właściciela), kark miał wygięty i szerść aksamitną. Prawie galopem jadąc — bo sam zapewne czuł, że się spóźnił — Kazimierz Jaśmont w jednym ręku, białą rękawiczką ociągniętym, trzymał rzemienne lejce, drugą nieustannie zdejmował z głowy granatową czapeczkę, tym sposobem wszystkich znajomych witając, a gdy to czynił, oprócz okuć bryczki i aksamitnej szerści konia, błyskały jeszcze pod słońcem jego złociste, kędzierzawe, w tył od szerokiego czoła odrzucone włosy. Jednemu z młodszych synów Fabiana wodze oddał, a sam do wnętrza domu wpadł, gdzie kilka minut ledwie zabawił, po czym znowu na ganek wpadając gromko zawołał:

— Muzyka!

Na ten okrzyk z tłumu wypadli trzej młodzi, szeroko naokół znani bracia Zaniewscy, którzy sztukę muzyczną gorliwie uprawiając, na weselach sąsiedzkich bezinteresownie i tylko dla własnego ukontentowania a grzecznego sąsiadom usłużenia do tańca grywali. Od paru już godzin o ścianę domu stały oparte dwoje skrzypiec i basetla. Amatorowie-muzykanci porwali je i z nimi do domu wbiegli. Ku domowi też pocisnęli się weselniki wszystkie, jedni do wnętrza jego wchodząc, inni otwarte drzwi i okna tłumnie obstępując.

<sup>78</sup>jednym mąka, drugim miękina — przysłowie: dla jednych mąka, dla drugich plewy. [przypis redakcyjny]

Świetlica Fabiana równie obszerna była, jak u Anzelma i Jana, z mniej tylko gładko otynkowanymi ścianami i starszą podłogą. Zwykłego jej umeblowania nie było dziś ani śladu, lecz każdy mógł się domyśleć, że łóżka z wysokimi pościelami, komody i skrzynie wyniesione zostały dla uczynienia z niej sali jadalnej. Pod trzema ścianami stały tam teraz trzy długie stoły, z desek naprędce zbite, białym płótnem ponakrywane, dobrze już napoczętymi pieczeniami, pierogami i serami zastawione, a zydlami i stolkami otoczone. Pomiędzy stolami, w głębi dość ciasnej przestrzeni, stali rodzice panny młodej i rodzice pana młodego, dwie swanie i dwaj swatowie. Elżusia, w sukni z białego muślinu i z kawałkiem tiulu, który jej od włosów aż do ziemi spadał, u boku swego miała narzeczonego, którego szyję obwiązano białym krawatem, tak szerokim i twardym, że najlżejszego nią poruszenia uczynić mu było niepodobna. Dalej plecami do drzwi stało sześć par družbów: Kazimierz Jaśmont z Justyną, Witold Korczyński z Antolką Jaśmontówną, Jan Bohatyrowicz z Marylką Zaniewszczanką, Adam Zaniewski ze Stefką Obuchowiczówną, Władysław Osipowicz z Cecylką Staniewską i Michał Bohatyrowicz z Alberta Starzyńską. U drzwi, przy ścianie, stanęła muzyka. Przez otwarte okna promienie bladego słońca, obficie lejące się do świetlicy, padały na rozstawione po stołach i napoczęte pierogi, pieczenie i sery, na rydzowatą i uroczysty wyraz mającą twarz Fabiana, na śnieżny i krochmalnymi garnirunkami sterczący kornet Fabianowej, na trawiasty surdut swata Starzyńskiego, na żółtą twarz i wyfiokowaną głowę swani Giecołdowej, na zadarty i od płaczu zaczerwieniony nosk panny młodej, na czarne i białe surduty družbów i białe, błękitne, różowe suknie družek. Mur takich samych surdutów i sukien za otwartymi drzwiami świetlicy zaległ się domu; nieruchomość wszystkich była zupełna, a cisza stała się tak wielka, że wśród niej słyhać tylko było, niby podmuchy wielkiego miecha, w jeden odgłos zlewające się, ciężkie w ścisku oddechy obecnych.

Wtem swania Giecołdowa, ze szczytu swej wysokiej i cienkiej figury z dumą dzierżawczyni na wszystkich patrząca, rzuciła na ziemię niedopalony papieros i zdeptała go wielką stopą w prunelowy bucik<sup>79</sup> ubraną. To nagłe przerwanie ulubionej znać, lecz z uroczystością momentu niezgodnej przyjemności nastąpiło wskutek ruchu przez pierwszego družbanta uczynionego. Nikt z obecnych głośno nie przyznałby się do tego, ale wszyscy z niepokojem oczekiwali, czy też wypowie on orację albo jej nie wypowie, jak to zdarzyło mu się parę razy, gdy zagrymasił i wypowiedzieć jej nie chciał dla tej przyczyny, że mu się pierwsza družka nie upodobała. Jednak przed kilku minutami, kiedy Fabian względem nieznającej się dotąd pary dokonał uroczystego aktu rekomendacji, wiele osób spostrzegło, że na Justynę bystro popatrzawszy podaną mu przez nią rękę z niskim ukłonem i w same koniuszki palców pocałował. Nikt nigdy nie widział, aby komukolwiek w ten sposób się kłaniał. Potem zaś do towarzyszy družbantów odwracając się, palcami pstryknął i, jak mógł najciszej, zaszeptał:

— Szyk panna! Zdaje się, spojrzawszy, miód do gęby kapie!

Jan spłonął cały i, jak zwykle gdy był wzruszony, w górę spojrzął; inni w znak potwierdzenia z cicha cmoknęli, głowami kiwając. Jeden tylko Władysław Osipowicz, któremu czarne włosy jak krucze skrzydła unosiły się nad głową, do błękitnookiej Cecylki, której był aspirantem, szepnął:

— Nic ja osobliwego w tej pannie postrzec nie mogę!

Więc upodobała się! Teraz Kazimierz Jaśmont uczynił poruszenie, które go ze zbitiej w ścisk kompanii nieco wyosobniło, stanął naprzeciw państwa młodych, tuż obok umieszczonej na stole, wiązkami mirtu piętrzącej się tacy, rękę w białej rękawiczce po złocistej czuprynie przeciągnął i głosem tak donośnym, że go za oknami i aż w ogrodzie słyhać było, mówić zaczął:

— Oto jest wianek uwity nie z pereł ani z diamentów, ale z zielonej mirty, znak paniński, oku ludzkiemu przypodobający się, a tobie, panno młoda, w dniu dzisiejszym chwalebna ozdoba być mający...

Mówiąc to wskazywał na tacę napełnioną mirtem; teraz wziął z niej mały mirtowy wianek i delikatnie go w wyciągniętym ku państwu młodym ręku trzymając ciągnął dalej, a coraz dobitniej i głośniej:

Obyczaj, Wesele

Panna młoda, Żona

<sup>79</sup>prunelkowy bucik — tj. pokryty czarną, szorstką tkaniną wełnianą. [przypis redakcyjny]

— Teraz bierz sobie na uwagę, przynajdostojniejsza paro, te kilka moich myśli, które w następującej zawrą się formie. Wszak widzisz, panno młoda, że już ostatni przyszedł termin, w którym ten wieniec, przed oczy twoje reprezentowany, nosić będziesz, bo od dzisiejszego dnia on zniknie i nie powróci więcej na twoją głowę.

Tu Elżusia zaczęła z cicha chlipać i z wielką trudnością z kieszeni ślubnej sukni wydobywać chustkę do nosa. Ale druźbant z oczami w nią wlepionymi nieprzerwanie ciągnął:

— Ach! Piękny to jest laur być panienką i jakże go nie żałować! Trzeba go oblać rzewnymi łzami, bo jakież by to było serce tej pięknej panny, gdyby w dniu dzisiejszym nie płakała? Ale ja tak powiadam, że nic nie ma na świecie przyrodniejszego nad stan małżeński i że Bóg, który utworzył niebo, ziemię i złotne gwiazdy, dla szczęśliwości ludzkiej i ten stan ustanowił. Nie ma tu przyczyny smęcić się i biedować. Bo ty, panno młoda, choć pozbywasz się piastowania matki i ojca, ale nabywasz przyjaciela wiernego na wiek wieków, aż do końca. A ty, panie młody, to weź na uwagę, że Bóg słońcem, a mąż dobrą żoną świat sobie weseli. Gdy tedy już nadszedł ten dzień weselny, od całej zgromadzonej asysty i wszystkich tu znajdujących się państwa krewnych, przyjaciół i znajomych, tobie, najdostojniejsza paro, jako wasz pierwszy i najstarszy druźbant, najlepsze życzenia wypowiadam...

Tu głos nieco zawiesił, a w ścisłości już nawet głośniejszych oddechów słyszeć nie było, z takim wyężeniem oczekiwali wszyscy dalszych słów druźbanta, które też dobitniejsze jeszcze i uroczystsze niż przedtem wkrótce zabrzmiały:

— Niechaj wam życia dzionek wije się jako wianek, w którym jasny kwiat z ciemnym się przemienia, ale wszystkie rozkosz czują, bo się wzajem obejmują. Troski po szczęściu i szczęście po troskach znosić będzie cię w spokojności, jedno od drugiego czerpiąc pocieszenie w przyjaźni i miłości. Cieszcie się, że dnia dzisiejszego w kościele świętym złączy się para, a przez mężczyznę i kobietę wzajemnie sobie będzie dana wiara. Oto już grzmi muzyka...

Tu istotnie dwoje skrzypiec i bassetla zagrzmiały czymś trochę do hucznego marsza, a trochę do zawieszistego mazura podobnym. Tę huczną muzykę głosem przenosząc i tacę mirtem napełnioną w obie ręce ujmując pierwszy druźbant kończył:

— Czas do kościoła po siódmy sakrament święty jechać, a wprzód do kolan rodzicielskich po ojcowskie i macierzyńskie błogosławieństwo upaść. Proszę tedy, panno druźko, niezmarszczonym czołem, wesołym okiem i łaskawą ręką te mirty przyjąć i druźbującym na znak dnia weselnego rozdać...

Z niskim ukłonem tacę z mirtem Justynie podawał, ona w zamian położyła na niej cienką, białą chustkę, z pięknie wyhaftowanymi jego cyframi. Cała twarz, wielka, różowa, piegowata, z szerokim czołem i zawieszistym wąsem, zapłonęła mu zadowoleniem i dumą.

— Gdybym złotny i brylantowy dar otrzymał, tak ukontentowanym bym nie był, jak jestem z tej pamiątki rączkami pani przygotowanej — wymówił z niskim ukłonem, lecz w teże chwili uczuł się pochwyconym w czyjeś ramiona. Był to Witold, drugi po nim druźbant, który nagle i ogniście w oba policzki go pocałował.

— Przepraszam... — mówił — może pan będzie się gniewał, że przy takiej małej znajomości, tak poufałe... ale ślicznie pan tę orację powiedziałeś... Czy pan ją sam ułożyłeś, czy też...

— Częściowo! częściowo... — ręce nowego przyjaciela w szerokich dłoniach tak mocno ściskając, że aż biała rękawiczka z chrzęstem pękła, odpowiadać zaczął, ale muzyka nagle umilkła i po świetlicy rozchodząc się zaczął do niepoznania zmieniony głos Fabiana. Elżusia, jak długa do nóg mu była runęła, a pan młody ze stukiem na kolana upadł, lecz z powodu twardego i szerokiego krawata głowy pochylić nie mogąc pozór klęczącego kołka zachowywał. Fabian zaś, chociaż go zwyczaj do wypowiedzenia oracji koniecznie nie zobowiązywał, przez wzruszenie zmienionym czy też umyślnie przybranym, bardzo cienkim głosem przemawiał:

— Dziady i przeddziady nasze na tym samym miejscu gody małżeńskie wyprawowali, gdzie i ja twoje, moja córko, dnia dzisiejszego wyprawuję. Masz wiedzieć, że nie powinnaś być swarna, marnotrawna, jęczyczna<sup>80</sup> ani ręce za pas zakładać albo, broń Boże,

<sup>80</sup>jęczyczna (gwar.) — gadatliwa, kłótliva. [przypis redakcyjny]

bałamutniom i pustotom życie swoje poświęcać, ale przyjacielowi swemu dozgonnemu we wszystkim pomocna, zgodna i uległa...

W tym miejscu przemowy Elżuscia, pomimo że twarz przy samej ziemi prawie trzymała i chustką wycierała oczy, połą surduta narzeczonego mocno pociągnęła i szepnęła:

— Proszę nachylić się! Czy to pięknie przy błogosławieństwie ojcowskim z nosem do góry sterczeć?

Jak na komendę Franus zgniółł brodą obręcz krawata i czoło ku ziemi pochylił. Fabian właśnie ku niemu mowę zwracał:

— A tobie, mój zięciu, ojcowskim słowem i sercem zapowiadam, abyś towarzyszkę, którą ci daję, szanował i we wszystkim jej był pomocny, zgodny, nieofokliwy, nie grubian, ale...

Tu pomimo załawionych oczu szorstka kępa wąsów poruszyła mu się jakby do uśmiechu.

— Ale tak samo i lejców zbytnio żonce nie popuszczaj, a to pamiętaj sobie, że zły gospodarz najpiękniejsze dziedzictwo niedozorem zmarnuje, a dbający i umiętny z łada czego uczyni co dobrego. To wam, moje dzieci, ostatnim ojcowskim słowem i z gruntu serca powiedziawszy Boga Wszechmogącego o błogosławieństwo i zesłanie na was... wszystkich... łask... i... po... pomyślności...

Teraz już rozpląkał się tak, że końca słów jego nikt dosłyszeć nie mógł, i z kolei błogosławiący młodą parę rodzice pana młodego płakali, i swania Starzyńska rozpląkała się, a swania Giecołdowa, gardząc tkliwością tłumów, powiekami prędko mrugała, aby spod nich łzy nie wypuścić, panna młoda a za nią i pan młody prawie już ryczeć zaczęli, wtem za oknem, w mozaice mnóstwa z zewnątrz napelniających je twarzy, ukazała się żółkła, chuda twarz z ogromnymi, ciemnymi okularami i Bohatyrowicz Apostoł ramiona wznosząc żałosliwym głosem zawołał:

— Przyobiecane jest królestwo niebieskie człowiekowi, który synowi swemu albo córce swojej małżeńskie gody wyprawi!

Słowa te były kroplą przepełniającą czarę wzruszenia obecnych, których ogromna już większość wybuchnęła płaczem, a przy tym i całować się pomiędzy sobą zaczęła. Płacząc obejmowali się i całowali rodzice panny młodej i rodzice pana młodego, swatowie i swanie, drużki i družbantowie, a w świetlicy, za oknami, za drzwiami, przez kilka minut nic więcej słyhać nie było, jak tylko szlochania, całusy, a wśród szlochań i całusów zaczynane, urywane, niedokończone powinszowania, podziękowania, błogosławieństwa i życzenia. Drużki płacząc i razem śmiejąc się, całując i winszując kręciły się wśród obecnych i wszystkim wiązki mirtu do sukien przypinały, a pierwszy Kazimierz Jaśmont w tym powszechnym zamieszaniu i wezbraniu uczuć porządek czynić zaczął. Kilka razy po wzburzonym mrowisku okiem wiodąc, szerokimi barami niecierpliwie poruszył, kilka razy palcami pstryknął, usta otworzył i zamknął, aż na koniec czupryną jak grzywą wstrząsnąwszy wyprostował się jak struna i grzmotowym głosem krzyknął:

— Jazda!

A potem, niby wieloryb wody, piersią i bokami tłum prąc, a głosem pszczolne jego brzęczenie przenosząc, wołał ciągle:

— Jazda, państwo! jaz-da! jaz-da! jaz-da!

Więcej niżeli połowa obecnych pocisnęła się ku zaprzężonym bryczkom i osiodłanym koniom, ale pierwszy družbant przed tą ściśliwą falą z rozpostartymi ramionami stanął, piersią własną jej nawał wstrzymując i wołając:

— Wolniej, państwo! wol-niej! Po porządku! Po porządku !

I potem długo w tłumie głów, twarzy, surdutów, sukien, rojącym się dokoła bryczek i koni, przesuwająca się nieustannie jego granatowa czapka, wierzch tylko kędzierzawej czupryny przysłaniająca, a głos nakazujący, dyktatorski wołał i dyrygował, rozlegał się w urywanych i po wielokroć powtarzanych wykrzykach:

— Proszę siadać! Niechajże państwo siadają! Panna młoda ze swoją swanią! Pan młody ze swoim swatem! Druga swania i drugi swat razem! Pierwsza panna družka! Gdzie pierwsza panna družka? Proszę za mną! Ślicznie proszę! Druga panna družka z drugim panem družbantem. Trzecia panna družka z trzecim panem družbantem... Muzyka! Hej! Słyszycie tam, muzykusy! Zaniewscy, hej! Siadać na tę bryczkę... tam... za asystą!...



I tak dalej, i tak dalej, przez dobry kwadrans, aż na koniec wszystko razem gruchnęło, zagrzmiało, zatętniało, wybuchnęło muzyką, śmiechem, krzykami, parsaniem koni i z gęstego tumanu kurzawy, który wzbil się nad Fabianową zagrodą, wytoczyło się na gładki, spłowiwały kobierzec uścielający szerokie pole, pod blade złote słońce, w przejrzyste jak kryształ powietrze.

W zagrodzie Fabiana przecież nie zapanowała zupełna cisza. Przynajmniej połowa zebranego towarzystwa pozostała tu i raczyła się żywnością rozstawioną na stołach, przy których potem, aż do zachodu słońca, coraz zmieniali się biesiadnicy. Do rosółów, pieczeni, kiełbas, naleśników, makaronów, przeplatanych umiarkowanie popijanym miodem i piwem, zasiadano, dla ciasnoty miejsca, partiami z pary dziesiątków osób składanymi. Gdy jedni w świetlicy zajadali, inni, czekając na kolej swoją lub ją odbywszy, w ogrodzie i na drodze przechadzali się, zalecali, gwarzyli.

Fabian świetlicy nie opuszczał ugaszczając i zabawiając gości tak gorliwie, że aż oblewał się potem rzęsistym, który co chwilę chustką z oblicza, z łysiny i z karku ocierał. Jednak pomimo gościnności i zwykłej mówności każdy mógł poznać, że potajemnie dręczył go dolegliwy frasunek. Mniej niż zazwyczaj prawił facecji i przysłów, często obfitą mowę w połowie przerywał i zamyślał się czoło marszcząc, a kępkę wąsów naprzód wysuwając. Także sam frasunek, pomimo zresztą szczerego oddawania się przyjemnościom odpoczynku i zabawy, pomimo powolnego wychylania niedużych czarek miodu i piwa, znacznym był i na innych Bohatyrowiczach, starszych zwłaszcza gospodarzach i ojcach rodzin. Ci i owi z cicha albo też głośno i z rozmachem opowiadali znajomym z innych okolic przybyłym o procesie z panem Korczyńskim przegranym i o ciężkim z tej przyczyny strapieniu; niektórzy ponuro pomrukiwali, że po tym weselu wprędce gorzko się przyjdzie zasmęcić lub też że to wesele prędko się w płacz zamieni, gdy twardy i nieubłagliwy sąsiad na karkach im z egzekucją siędzie, a kiedy najszumniejszy i najweselsi z biesiadników Fabianowi winszowali, że takie chwalebne gody małżeńskie córce swej wyprawiał, on rękami zatrząsł i z wybuchającą już alteracją troskę swą wygadał.

— Jezu ukrzyżowany! — ramiona rozstawiając wołał. — Żebym ja był lepiej nagle zginął, niżeli takiego zniszczenia i wstydu, jaki mnie wprędce spotka, doczekał! Wesele! Wesele! Pewno, że wesele, i to córki, ot, tak samo jednej, jak ta jedna głowa na karku! Ale co z tego! Trzy dni wesela, a do śmierci smutku! Żeby mnie ziemia pochłonęła, nim koniec tego wesela nastąpi, daj Boże!

Inni strapiionych sąsiadów pocieszać usiłowali.

— Nie bójcie się! Więcej Bóg ma, niż rozdał! — krzyczał Starzyński.

Bohatyrowicz Apostoła, ciemne okulary ku sufitowi zwracając, skruszonym głosem prawił:

— Czasowe to straty, marność tego świata, doczesność... znikomość...

A poważny, niemłody Strzałkowski, w długim surducie z samodziału do siermięgi podobnym i z myślącymi oczami wśród steranej twarzy, perswadował:

— Cóż robić? Trapić się nie należy, bo żeby i największe trapienie się, nic nie pomoże. Pan Korczyński twardy jest i dla biednych ludzi nieubłagliwy, ani słowa... i my jego znamy... Ho, ho! Dobrze na swoich skórkach poznali... Ale, słyszę, syna ludzkiego on ma, wilkiem na ludzi nie patrzącego. Może on pośrednikiem między ojcem a sąsiadami zostanie...

— Pewno! A jakże! To już i ja sam sobie myślałem! — z wolna potwierdził Walenty Bohatyrowicz.

— Już nam pewno potrzeba udania się do niego wypadnie — mówili inni. — Już inaczej nie będzie, tylko że jego na jednacza pomiędzy nami a panem Korczyńskim poprosim.

Fabian przeciw temu zamiarowi burzył się i buntował. On nikogo prosić o nic nie będzie, ostatnią krowę sprzeda, a jak Łazarz u bogaczowego progu nie legnie. Ale krzyczeli go inni.

— Co masz czuprynę jeżyć, kiedy niemocen jesteś! — wołali. — Tanio tobie przychodzi teraz groźnie stawać, a drogo było do procesu tego sąsiadów nie namawiać albo lepszego i pocziwszego adwokata naleźć. Sam wszystkich na rzeź wydał, a teraz od jedynego ratunku ubiega...

Fabiana wymówki te nade wszystko już mieszały i gryzły.

— Ja siebie winnym nie sędzę! — tłumaczył się na wpół z gniewem, na wpół z płaczem. — Nikt złego nie chce. Zamyślałem jak najlepiej dla powszechności naszej uczynić i panu Korczyńskiemu wszystko pomścić. A że przez złego człowieka oszukany zostałem, czy dlatego już na wąskie paski mam być pokrajany!

— Albo to młody pan Korczyński nożem po ciebie ci pojedzie? — pokrzykiwali sąsiedzi. — Przed nim i upokorzyć się nie wstyd, bo on biedzie w oczy nie pluje, ludziom życzliwy jest i ludzkiej przyjaźni też szukający...

— Bóg mię ubij na ciebie i duszy — za głowę chwytając się wyrzekał Fabian — jeżeli spodziewałem się, że taki los na mnie padnie i że na starość przemienię się w Joba o zmiłowanie proszącego...

A Apostoł, suche ramiona w grubych rękawach kapoty ku sufitowi wznosząc, żalostliwie upominał:

— Nie będą synowie pokutować i mrzeć za ojców, ale każdy w swoim grzechu i w swojej pokucie umrze!

Tak nie po weselnemu trochę starsi w świetlicy gwarzyli, ale młodzieży napelniającej ogród i drogę nie do strapien i smętnych rozmyślań dziś było. Wieczór zbliżał się, nadchodziła pora rozpoczynania tańców, a naprawdę już nawet i nadeszła, bo rzeźwy chłodek wieczoru muskać zaczynał twarze rozgorzałe od jedzenia, rozmów i chichotów, ale zwlekało się to jakoś dla przyczyn różnych. Naprzód, państwo młodzi z asystą długo za obiadem przesiadeli, bo u początku jego swat Starzyński wdał się był w długą orację, co słów kilka, niby grzmotem, śmiechem przerywaną, a u końca Apostoł wypowiadał bardzo budujące i nabożne modlitwy i upomnienia; potem muzykantów zawołano do stołu, a teraz, kiedy i muzykanci już podjedli, pierwszy družbant znowu, niezadowolony widocznie i kwaśny, po drodze przechadzał się lub pośród niej stawał, ciągle jakby kogoś oczekując i wypatrując, a z nikim oprócz Domuntów prawie i mówić nie chcąc. Z Domuntami widać i dawniej znał się, ale teraz to już przyjaźń z nimi zawierał i przed nowymi przyjaciółmi popisywał się też widocznie, bo i swego czarnego żrebca, ze stajni go wyprowadziwszy, ze wszystkich stron im prezentował, i złoty zegarek co kilka minut z kieszeni kamizelki wyjmując, niby która godzina patrzył, i na koniec nogę w błyszczącym bucie daleko naprzód wysunawszy podjętym z ziemi drewnikiem począł w zębach dłuwać, zupełnie tak jak najpierwsze arystokracji po jedzeniu czynić są zwykli. Jakkolwiek wzrost miał dobry i nieskąpo mierzone bary, przy ogromnych Domuntach prawie mały wyglądał, przenosząc ich w zamian o wiele śmiałością i elegancją. Przyłączyło się ku nim wkrótce kilku bojaźni nieznających Obuchowiczów, podszedł w swym kanarkowym ubraniu i z ręką na kłębie opartą Michał Bohatyrowicz, z wąsami w górę zbliżyli się Łozowiccy, a z nimi razem stanął Staniewski o wysokim czole, i tak może we dwunastu utworzyli pośród drogi wyborową niby gromadę, odgłosami żywej rozmowy w ciche powietrze bijącą.

Za nimi, tuż przy drodze, synowie Fabiana: rudawy i chmurny Adam, rudy, pleczysty i wiecznie śmiejący się Julek, wśród tłoku innej młodzieży męskiej i dziewcząt na oścież i szeroko otwierali salę do tańca. Mieściła się ona w stojącym tuż przy drodze u krańca ogrodu gumnie. Stuknęły, skrzypnęły, na oścież rozwarły się wrota gumna, z ciemnej głębi jego wybuchnęła na ogród i drogę mocna woń napelniającego zasieki zboża. Na grube słupy rozdzielające zasieki z tokiem do mlócki przeznaczonym młodszy synowie Fabiana wdrapywali się jak wiewiórki zawieszając na nich dobrze oszklone i ściśle zamknięte latarnie. W głębi toki zasiedli muzykanci, instrumentów swych z przeciągłymi piskami i huczeniami próbujący; z boku pomiędzy słupami wąskie ławki obsiadywać zaczęły podstarzałe kobiety; środkiem przechadzały się pod ręce się trzymając drobne i nieśmiałe, jeszcze wszystkim tu obce Siemaszczanki, na których pomimo delikatności kształtów i rysów znać było ubóstwo i pracę. Zresztą, wszyscy jeszcze na otwartym powietrzu stali, gdy z pola na drogę skrzyły i ku zgromadzeniu dość szybko dążyć zaczęły dwie postacie: konia i kobiety. Koń był duży, utrzymany dobrze, ale mocno na jedną nogę kulejący, kobieta do szybszego chodu napędzała go wielką gałęzią.

— Jezui! — w gromadce u wrót gumna stojącej ozwały się kobiece głosy. — Toż to Jadwiśka! Czy ona rozumu pozbyła się, aby w dzień weselny tak pokazywać się ludziom?

Wysoka, pleczysta, bosa, w krótkiej samodziałowej spódnicy i różowym kaftanie, jeszcze na żniwa sprawionym, z roczochraną kosą na plecach, Domuntówna kulawego

Muzyka, Obyczaje, Wesele

Gospodyni, Kobieta, Koń,  
Wieś

konia gałęzią popędzała i mijała świątecznie ustrojone gromadki o nic nie dbając. Na kilka pozdrowień i zapytań przesłanych jej zza płotu i od otwartych wrót gumna, basowym swym głosem i drogą iść nie przestając odpowiedziała, że parobek wczoraj jej najlepszego konia skaleczył, więc go dziś sama do konowala zaprowadziła, a teraz stamtąd wraca. Parobkowi bydłęcia powierzyć nie chciała, bo by je gorzej jeszcze zmarnował.

— Nu! Nu! — wołała, gałęzią z lekka po bokach konia uderzając i jednej z gromadek pytanie rzuciła:

— Czy moje bracia z Siemaszek przyjechali?

Pierwszemu druzbantowi zaś ledwie oczy z głowy nie wyskakiwały, tak patrzył w nią. Widział ją już raz przedtem, ale dziś podobala mu się więcej jeszcze niż wtedy. Obu ramionami uderzył się po bokach, palcami zapstrykał.

— Szyk panna! Widać zaraz, że gospodynia zawołana i cenę dobrego zwierzęcia zna! Ot, gdybym tego konia z bliskości mógł obejrzyć, zaraz bym mu co poradził od wszelkiego konowala lepiej!

Widać było, że aż trząsał się i do panny, i do konia, że bosa noga, rozczochrana kosa i samodziałowa spódnica panny wcale jej w oczach jego ujmy nie czyniły, szacunek, owszem, i szczęśliwą ufność w przymioty jej budząc. Z bliskości jednak ani na nią, ani na jej skaleczonego konia popatrzeć nie mógł, bo z drogi na węższą ścieżkę, krócej do jej zagrody wiodącą, skręciła. Ktoś z dala ku niej zawołał pytając: czy na tańce przyjdzie? Odkrzyknęła, że może komu tańce w głowie, ale jej bynajmniej, bo chorego konia dopatrzeć trzeba i przy dziaduniu siedzieć. Z podniesioną głową i wytężonym słuchem Jaśmont odpowiedzi jej wysłuchając, po czym jedną rękę kładąc na ramieniu jednego Domunta, a drugą na drugiego, coś do nich poszeptając, a oni zaraz biegiem puścili się za stryjecznią, i z dala widać było, jak przyjacielsko z dziewczyną za ręce się ściskali, coś jej prawili, o coś prosili, a ona opierała się, przeczącą głową trzęsła, na koniec znowu ścisnąwszy się z braćmi za ręce, kulawego konia dalej popędziła. Domuntowie zaś z odkrytymi czuprynami biegiem ku Jaśmontowi wracali, czapkami machając i z dala wołając:

— Przyjdzie! A jakże! Ma się rozumieć, że przyjdzie! Nie chciała, mówiła, że dziadunia pilnować musi, ale braci posłuchać musiała i obiecała, że przyjdzie!

Usłyszawszy to Kazimierz Jaśmont wielką, różową, piegowatą twarz ukontentowaniem rozpromienił i naprzód na złoty zegarek spojrzawszy, a potem z kieszeni tużurka skórzaną papierosnicę wydobywszy stryjecznych Jadwigi papierosami częstował.

W tej samej prawie chwili, z innej już strony, bo od korczyńskiego dworu, nadchodziły dwie kobiety; jedna bardzo wysoka, w czarnej mantyli, z wysokim grzebieniem nad włosami, druga znacznie niższa, w białej sukni z różową opaską. Witold, który sporej i zaciekawionej gromadce młodzieży z ożywieniem prawił o użyźnianiu ziemi pastwisk pozbawionej przez uprawę łubinu, spostrzegłszy nadchodzące kobiety rzucił się ku nim i obie w ręce ucałował. Po chwili zjawiała się i Fabianowa, którą dziewczęta z wielkim krzykiem z gumna wywołały, i menuetowe swe dygi, już o Giecołdach wspominając, przed panną Martą Korczyńską wykonywała. Działo się to pod samą ścianą gumna, lasem chwastów obrosłą, ku której ze strony przeciwnej od Anzelmowej zagrody posuwała się hałaśliwa i pełna śmiechów gromadka. Była tam panna młoda ślubną swoją suknią jaśniejąca i z pomocą męża jako też kilku dziewcząt i chłopców gwałtem na wesele swe przywodząca sąsiada Anzelma. Nie miał przyjść wcale; nie mógł dobrowolnie wmieszać się w gwary, w hałasy, w tłumliwe gadania; zamknął się był nawet w swoim przeciwku, ale go tam szarańcza weselna opadła pod przewodnictwem panny młodej, która pierwsza przez otwarte okno do wnętrza przeciwka wskoczyła. Dopóty go hrabia, mrukiem, gardzicielem i tetrykiem przezywali, dopóty prosili i piekielnie nad samymi uszami hałasowali, aż zgodził się pójść z nimi na godzinkę, na jedną godzinkę, byle państwu młodym tej ubligie nie czynić, że bliski krewny i najbliższy sąsiad weselnymi godami ich wzgardził. Tyle tylko uprosił sobie, że pozwolili mu nowe buty wdziać i czarnym krawatem kołnierza codziennej koszuli obwiązać. Teraz już nie opierał się, tylko wielkiej baraniej czapki co moment przed znajomymi uchylając, ze zmaconym wzrokiem i cierpiącym uśmiechem szedł tam, dokąd go Elżusia z jednej strony, a Franus z drugiej pod ramiona wiedli. Wtem gwałtownym prawie ruchem ramiona swe uwolnił i ściślej jeszcze otulając się kapotą, z oczami w jeden punkt wlepionymi, ku ścianie gumna cofać się zaczął, aż plecami się oparł o nią, po kolana prawie w wysokich chwastach stając. Zobaczył Martę, która

Kobieta, Mężczyzna,  
Starość, Wspomnienia

zobaczyła go także i kilka jeszcze szerokich kroków uczyniwszy stanęła. W czarnej spódnicy i mantyli, z liliową kokardą u szyi, trochę przygarbiona, jak ciężki słup, z podaną naprzód małą, żółtą, pomarszczoną twarzą przed nim stanęła. Rozswawolona gromadka z panną młodą na czele swego dokazawszy pierzchnęła w strony różne; oni przez całą minutę na siebie patrzali. Anzelm z wolna czapkę nad głową podnosząc przyciszonym i bardzo zająkliwym głosem zaczął:

— Kopa lat... ko... ko... pa... lat...

A ona także zaczęła:

— Góra z górą... góra z górą...

I wyciągnęła ku niemu swoją dużą, ciemną rękę, którą on powolnym ruchem ujął i w obu dłoniach zatrzymał. Znowu milcząc na siebie patrzali; jej broda i dolna warga trząść się zaczęły, on głowę z wolna kołysał:

— Dwadzieścia trzy lata... dwadzieścia trzy lata... — mówiła.

A on, w skupionej jakby i osłupiałej kontemplacji pogrążony, oczu z niej nie spuszczać zaczął:

— Poranek widział kwitnącą, rumianą, a wieczór...

Urwał, mocniej głową wstrząsnął, kędyś w bok spojrzął. Ona zarumieniła się tak, jak to w czasie poranku bywać musiało, i nagle, jakby otrzeźwiawszy, zaśmiała się:

— A pan Anzelm może myśli, że nie postarzał? Oj, oj! Wieczny śmiech! Nie my jedno starzejemy...

On także wyrwał się z toni wspomnień, w którą go pogrążył widok tej kobiety, rękę jej ze swoich wypuścił i z uśmiechem zażartował:

— Słusznie! A jakże! Starość grubianka, nikogo nie zdobi...

Nie zauważyli, że obstąpiło ich kilku starszych bohaterowickich gospodarzy, którzy Martę kiedyś znali i ku niej szli z powitaniem. Każdy jej przypominał, jak niegdyś w Korczynie ją często widywał; jeden nad długością upłynionego czasu zastanawiał się, drugi chciał wiedzieć, czy pamięta brata jego, który podówczas kędyś daleko i na zawsze z okolicy wywędrował; trzeci, najstarszy, z cicha coś prawił o swoim synu, o panu Andrzeju Korczyńskim i ruchami głowy na zaniemeński bór ukazywał. Ona wszystkim ścisłała rękę, wszystko pamiętała i razem ze wszystkimi głową trzęsła powtarzając:

— Stare czasy! Stare czasy!

A potem przez Fabianową zapraszana do gumna weszła i tam także pośród siedzących na ławie niewiast sporo dawnych i dawno niewidzianych znajomych swoich ujrzała. Rzuciła się ku niej w jasne barwy dnia tego ubrana Starzyńska i wpół z płaczem, wpół ze śmiechem swego pierwszego nieboszczyka przypominać jej zaczęła; podeszła Walentowa i oświadczyła swą dobrą o tym pamięć, że panna Marta niegdyś w onych starych i inszych, wcale inszych niż terażniejsze czasach, troje jej dzieci czytania i pisania nauczyła; zbliżyła się też i Giecołdowa rekomendując się jako dzierżawczyni sąsiedniego folwarku i papierosami ją traktując; inne wypowiadały zdziwienie, że ją tu widzą... Ona wszystkich powitawszy na ławie pomiędzy nimi zasiadła, dziwiącym się odpowiadając.

— A cóż robić? Moje panie! Co robić? Nie chciało się kurze na wesele, ale musiała...

Koncept ten wywołał ogólną wesołość i poufałość. O! Ona wiedziała, jak z tymi ludźmi mówić i mówić tak lubiła. Siedziała między nimi, o sprawach tyjących się wesela i gospodarstwa rozmawiała, odmłodzona jakby, choć przygarbiona, wesoła jak nigdy, choć trochę zmieszana, wilgotnym wzrokiem po otaczających ją postaciach i twarzach wodząc... Naprzeciw niej Witold, posiadający tu znajomości bez liku, Marynię Kirlankę zaznajamiał z Siemaszczankami, które trzymając się pod rękę nową znajomość z widoczną radością zawiązywały. Młodziutka panienska, w tym samym stroju, w jakim była na wielkim obiedzie w Korczynie, wyglądała zawsze na przedziwnie świeżą różę polną i uszczęśliwiona spoczywającym na niej wzrokiem przyjaciela, jego obecnością ośmielona, serdecznie obie ręce do nowych towarzyszek wyciągała.

Tymczasem na słupach wznoszących się nad tokiem Julek świece w latarniach zapalił; przy tym świetle ukazały się w cieniu zasieki pełne zboża i wąskie pomiędzy nimi uliczki, dokoła zaś gumna wrzało. Słońce za bór już zapadło. W szarej godzinie za rzadkimi ogrodami Niemen tu i ówdzie srebrnie pobłyskiwał. Po ogrodach, trawach, gajach toczyły się męskie i kobiece głosy, pojedynczo, chórem, wstydliwie, to niecierpliwie wołające:

Muzyka, Obyczaje, Taniec,  
Wesele

— Panie Jaśmont! Jaśmont! Panie Kazimierzu! Kaziu! Panie Jaśmont! Jaś-mont! Jaś-mont!

Nic już innego prócz tego nazwiska przez kilka minut słyhać nie było. Starzyńska w rozpaczy drogą biegła.

— Bo to — wołała — nie wiadomo, czy na pogrzeb czy na wesele ludzie przyjechali. Owszem! Kiedy kto na Jadwiškę czeka, to niech sobie do niej idzie, ale wprzód, jako drużbantowi przynależy, tańce rozpocznie... Panie Jaśmont! Owszem, gdzie on przepadł? Panie Jaś-mont! Jaś-mont! Jaś-mont!

Nie przepadł, tylko aż dotąd przechadzając się po drodze, ze stryjeczyni Jadwigą rozmawiał i z rozmowy tej widać zadowolonym się uczuł, bo zewsząd wykrzykiwane nazwisko swe usłyszawszy, papieros na ziemię rzucił, nogą go zdeptał i ze Starzyńską u rękawka jego uczeponą w wesołych poskokach do gumna wpadł. Tu bystro wśród obecnych rozejrzawszy się, przed pierwszą drużką — jak to obowiązkiem jego było — stanął i do tańca ją zaprosił, a gdy ona w znak przyzwolenia lekko mu się odkloniła, ku muzykantom rękę wyciągnął i huknął:

— Zaniewscy! Rznijcie!

Muzyka skoczną polkę zagrała; tańce od godziny już niecierpliwie oczekiwane rozpoczęte zostały. Na toku wirowało par ze dwadzieścia, to jednocześnie, to gdy ścisk zbyt wielki się stawał, po kilka i kilkanaście. Witold w roli drugiego drużbanta naprzód pannę młodą do tańca zaprosił, Elżusia zaś z ukontentowaniem z ławki poskoczyła i rękę na ramieniu mu składając głośno go upominała:

— Bardzo słusznie! Tylko niech pan długo tańczy i dobrze trzęsie, bo ja inaczej nie lubię!

Marynia Kirlanka dostała się jednemu z młodych Siemaszków, a małe Siemaszczanki porwane zostały przez ogromnych Domuntów, co widząc podżyte niewiasty na ławach chichotać zaczęły i dzielić się uwagą, że Domuntowie z dzbankami po wodę poszli. Zresztą pary zmieniały się i dobierały coraz inaczej. Niektórzy z kawalerów mieli na rękach glansowane lub bawełniane rękawiczki; ci zaś, liczniejsi, którzy ich nie mieli, przed rozpoczęciem tańca chustkami do nosa owijali sobie rękę, w której spoczywać miała ręka ich tancerki; wszyscy po przetańczeniu tancerki swoje ku ławom i stołkom albo przynajmniej ku ścianom przyprowadzali i na podziękowanie składali przed nimi grzeczne ukłony. Nie przesadzały dziewczęta opowiadając, że Kazimierz Jaśmont ładnie tańczy. Istotnie, tancerz był z niego ochotny i zgrabny, dla tancerek nadzwyczaj dworny, i wszyscy tam prawie poruszali się gibko, raźnie, z wielką na boki współtancerzy uwagą, tancerkami jak piórkami wywijając, a przytupując tak często i gromko, że pod ich stopami tok odzywał się grzmotem. Gadań też, śmiechów, conceptów na ławach i w tłumie, otwarte wrota stoły zalegającym, było niemało. Raz Adam, który nie tańczył, ale u samych drzwi stojąc spod brwi jak zawsze schmurzonych często ku latarniom wzrokiem rzucał i na wszystko, co działo się w gumnie, pilną uwagę zwracał, wyprostował się i z gniewu zaczerwieniony donośnie krzyknął:

— Bardzo przepraszam, ale kto tam jest taki dureń, że w gumnie papirosa pali?

Pomiędzy niewiastami zrobił się na te słowa ruch wstydlivy i ironiczny. Żółta iskra, która zza rozmiotanych sukien tancerek przed Adamem była błysnęła, zgasła, a z przeciwnej strony rozchichotany głos Starzyńskiej rzucił odpowiedź:

— Dobrze. Bo to pani Giecołdowa papirosa zapaliła...

Na to znowu podniósł się i zagrział chór śmiechów kobiecych i męskich, a niezmiyszany bynajmniej Adam wcale nie po cichu zdanie swe o zdarzeniu wypowiadał:

— Bo niechaj baba w gumnie nie smali! Hrabinia!

Kiedy zaś polkę zamienił kontredans tańczony skocznym i przyspieszonym krokiem, jedni z mężczyzn w balansach szeroko ramiona rozstawiali i na środek toku wybiegając, pilnie przyglądali się swoim nogom, inni zaś, do których pierwszy drużbant należał, zachowywali całą powagę i grację tańcowi temu właściwą, lecz po ukończeniu ostatniej jego figury, jakby kajdany z nóg pozrzucał, w tak siarczystą puścili się galopadę. Nie przerwał jej, lecz tylko nieco ją zmącił przeraźliwy pisk psa, który okrutnie przez kogoś nadeptany wymykał się spośród tłumu i naprzeciw którego, tłum rozpychając, biegł wielki, zwykle powolny Julek i pospiesznie na ręce go schwycił. W tańcach Julek udziału nie brał. Gdzie mu tam było, leniwemu i gapiowatemu, puszczać się w ścisk i skoki! Stał tylko u drzwi

Pies

i to na latarnie, to na tańczących patrząc, białe zęby w nieustającym uśmiechu pokazywał, do Sargasa, który u nóg mu się tulił, czasem mrugając, jakby pocieszał go i upewniał, że zaraz to wszystko się skończy, a oni znowu we dwóch na Niemen pójda. Teraz sporego kundla spod nóg tańczącym wychwyciwszy, bez uśmiechu już, owszem, gęsto obrosłą twarz do jego czarnej szerści żałośnie przytulając, wyszedł z gumna i już nie ukazał się tam więcej.

Tymczasem Władysław czy, jak go tam nazywano, Ładyś Osipowicz, ten, co miał włosy jak krucze skrzydła czarne i u skroni rozpostarte, z ramieniem do objęcia błękitnookiej Cecylki Staniewskiej już przygotowanym, niecierpliwie zawołał:

— Zaniewscy! Do roboty! Polkę grajcie!

Polki tej Justyna już nie tańczyła. Wypadkiem sprowadzonym przez ruchliwość tłumu znalazła się za ławą i rzędem obsiadających ją kobiet w znajdującej się pomiędzy zasiekami krótkiej, cienistej uliczce. Na drewnianych słupach wiszące latarnie rzucały tu trochę tylko mętnego światła, z zasieków bił zapach uschłych ziół i kłosów. Justyna głowę ubraną w grona jarzębin o puszystą i wonną ścianę uschłego zboża oparła i w zamyśleniu przed siebie patrzyła. Czy zdawała sobie jasno sprawę z przyczyn głębokiego wzruszenia, którym przejmował ją widok tego mrowiącego się przed nią ludu? Zapewne; gdyby przed kilku jeszcze miesiącami znalazła się tutaj, uczułaby się nieznana pośród nieznanymi, zmieszana, obojętna, może znudzona. Dlaczegoż teraz serce jej uderzało mocno, prędko, przyjaźnie? Dlaczego?

Boże! Przychodził czasem chwila, w której z dna duszy ludzkiej podnosi się to, co natura na nim posiadała i co czekało tylko promienia, powiewu, aby urosć w kwiat, kłos albo strzałę. Promień ten, powiew może nie przybyć i wówczas człowiek kładzie się do mogiły, samym sobą nie stawszy się nigdy. Ku niej one przybyły. Z gorzkiego morza cierpienia wynurzyła się wtedy, gdy wśród zbóż i bławatków po raz pierwszy ujrzała ochoczego oracza i jego błękitne oczy utkwione w nią z tajoną, nieśmiałą tkliwością. Przypomniały się jej teraz złote łany, pośród których w upalny dzień lipcowy sierp z jego ręki przyjęła, i szybkie jak błyskawica wspomnienie zaniósło ją z tego tłumu w głębie zaniemeńskiego boru, na Mogiłę, w tej nocnej porze grubym zmrokiem obleczoną. Zdało się jej, że to, co teraz czuła, stamtąd podówczas w sobie przyniosła, że te uczucia, których doznała tam i tu doznawała — to jedno. Wszystko, co w dniach ostatnich usłyszała z płomiennych ust Witolda i co w samotnych godzinach przedumała sama, jednym także strumieniem myśli głowę jej przepływało, i przypominała sobie jasno, wyraźnie przypominała ów sen swój czy owo marzenie, w którym zapaloną lampą świeciła z góry tym domostwom i tym ludziom, a promienie jej lampy niemi światła ślizgały się po dachach, ścieżkach, płotkach, szerokich polach, o starożytny grobowiec, o dwór korczyński, o leśną mogiłę zaczepiając i wszystkie te ułamki jednej całości jakoby w łańcuch wiążąc. Jakaś niby elektryczna iskra o serce jej uderzyła, na czoło płomień, a w oczy wilgoć rzucając. Wtem tuż przy sobie usłyszała głos przyciszony i nieśmiały, który przemówił:

— Dziesięć lat krócej żyć chciałbym, byle wiedzieć, o czym pani tak zamyśliła się w tym momencie?

Jan Bohatyrowicz nie tańczył dotąd wcale. Do pocztu drużbantów należał; jednak ani wystroił się po weselnemu, ani wesołości najmniejszej nie okazywał. Krótką siermiężkę swoją zielonymi taśmami ozdobioną przywdział, białym krawatem kołnierz cienkiej koszuli przewiązał i wcale nie zdawał się dbać o to, co tam ludzie o jego odzieniu i zasępieniu myśleć lub mówić będą. Wyglądał tak, jakby mu coś potajemnego serce zjadało. Ledwie przywitał się z tym i owym; od początku tańców w kącie przy muzykantach stał z ramionami u piersi skrzyżowanymi i poprzeczną zmarszczką na czole. Kiedy niekiedy tylko na tańczący tłum spoglądał, kogoś w nim upatrując i wtedy oczy błyskawicami mu połyskiwały; zresztą, pannom, które go kilka razy zaczepiły, oburkliwie i nawet trochę ironicznie odpowiadał, od rówieśników usuwał się jak od ognia; matkę przemocą do tańca go ciągnącą naprzód prosił, aby mu pokój dała, a potem wprost ofuknęła. Nikt mu też nie dokuczał ani go nie niepokoił; ludzi było wielu i bez jednego łatwo wszyscy obejść się mogli.

Jednak tu i ówdzie o nim gadano. Podstarzałe kobiety szczególnie w pochmurności jego węszyły jakąś niezwykłą historię. Jadwiśka Domuntówna na wesele nie przychodzi, Janek tak wygląda, jak gdyby wczoraj matkę i ojca pochował... Widać pokłócili się z sobą,

Kondycja ludzka, Przemiana

Taniec, Zabawa

Dziedzictwo, Kondycja ludzka, Płotka

a może też wszystko pomiędzy nimi już i rozerwane. Z drugiej strony, co się tam miało rozrywać, kiedy podobno nic, jak się należy, związanym jeszcze nie było? O zaręczynach nikt nie słyszał, tyle tylko, że tam jego stryjaszek i jej dziadunio, jeszcze kiedy przytomniejszym niż teraz był, pomiędzy sobą to małżeństwo układali. Może on i dla innej przyczyny pokazuje się takim sępem? Może to u nich melancholia i tetryctwo w rodzie? Nieboszczyk jego ojciec taki był zawsze pogrążony w sobie i mrukowaty, stryj na ciężką chandrę w kwiecie lat swoich zapadł, a obaj górnice zawsze myśleli, przez co Jerzy zginął marnie, a Anzelm też niezupełnie po ludzku życie strawił. Może Janek przyrodził się do ojca i stryja? Zawsze wesoły bywał, do tańca i różańca stający, osobliwie też w śpiewaniu prześcigał wszystkich. Ale do pory dzban wodę nosi i na każdego taki moment przyjść musi, w którym prawdziwe jego przyrodzenie na wierzch wyłazi. Przyrodzenie, gdybyś i widłami odpychał, powraca. Widać, że i on taki sam będzie pogrążony w sobie i górnice myślący, jakimi byli jego ojciec i stryj... Przyszła jednak chwila, w której Jan wzrokiem ku uliczce pomiędzy zasiekami rzuciwszy, oczami błysnął, pomiędzy ławą a ścianą przecisnął się, w przyćmionej jej głębi się znalazł i nad głową Justyny nieśmiało, z cicha mówił:

— Pani zapytuje, dla jakiej przyczyny ja markotny jestem i nie tańczę? Przed panią jedną to wypowiem, że podczas<sup>81</sup> takie wątpliwości mnie oblegają, że ni to żywy, ni to umarły chodzę i na dnie Niemna prawie wolałbym leżeć niż z takimi wątpliwościami żyć...

Justyna cichych tych słów słuchała z pochyloną głową i jak najprostsza wiejska dziewczyna ze zbożowej ściany, do której się przycisnęła, długie słomy i kruche źdźbła uschłych ziół wywlekała. Czula, że głowę jej płomieniem ogarnia wzrok uporczywy i namiętny, i słyszała szept cichszy jeszcze niż przedtem:

— Cudnie te jarzębiny czarne włoski pani ubierają... i sukienka ta sama, która była podtenczas, jak spólnie jeździliśmy na Mogiłę...

Chwilę milczał, a potem poprosił:

— Żebym ja mógł jedną gałązkę tej jarzębiny dostać... zdaje się, że już i przez to szczęśliwy byłbym!

Szybkim ruchem pąsowe grono od białego stanika odpięła i podając mu je głowę podniosła. Kilka sekund patrzali na siebie, oboje spłonieni i prawie drżący... Potem on gestem namiętnej radości włosy z czoła odrzuciwszy gałązkę jarzębiny u guzika siermięzki umieścił.

Wtem u wrót gumna zrobił się ruch niezwykły: rozstępowano się tam przed kimś, kogoś witano. Muzyka grać przestała; Kazimierz Jaśmont w posuwistych poskokach ku wrotom pobiegł; za nim skoczyli Domuntowie i kilka dziewcząt pośpieszyło. Na salę tańców weszła Domuntówna, ale Domuntówna w metamorfozie. Kto ją przedtem bosą, rozczochraną i kulawego konia pędzącą widział, z trudnością teraz poznawał. Suknię miała amarantową, obfitymi draperiami obwieszoną, a z tyłu w ogromną turniurę<sup>82</sup> zaopatrzoną. Było to arcydzieło krawca z najbliższego miasteczka, w którym też zapewne kupiła wielkie liście z pozłacanego papieru, przystrajające jej wysoko spiętrzone i od pomady świecące włosy. Na rękach miała białe rękawiczki, w ręku papierowy wachlarz malowany, a od całej jej osoby były błyski złoto i srebro udających szpilek, kolczyków, bransolet. Szła wyprostowana, bardzo na twarzy czerwona, śmiała, lecz ponura. Dziadunio w śnieżnej kapocie we wrotach gumna przez Witolda i kilku innych ludzi otoczony i zatrzymany został, a ona zaledwie parę kroków na toku uczyniła, spostrzegła dwie osoby; pannę i kawalera z cienistej pomiędzy zasiekami uliczki wychylających się pod światło latarni. Stali bardzo blisko siebie: panna jarzębiny na głowie miała, a kawaler w pętlicy ubrania. Widok ten niby pięścią w pierś jej uderzył; wydeła usta, a pod sobolowymi brwiami szafir jej oczu roziskrzył się i naokół gniewne błyskawice cisnął. We wrotach rozlegały się wesołe śmiechy. Dziadunio uporczywie Witolda Korczyńskiego za ojca jego, Benedykta, poczytywał, a o dziadku, Stanisławie, mówił jak o obecnie żyjącym dziedzicu Korczyzna. Że pradziad Dominik już nie żył, o tym pamiętał, a wywijając w górze zeschniętym palcem, z luną radości na wyłysiałym czole wspominał:

— Dobry był z pana Dominika kompan... O! Dobry... pamiętam... jakeśmy razem w trzydziestym i pierwszym roku...

<sup>81</sup>podczas (gwar.) — tu: czasami. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>turniura — poduszeczka kładziona z tyłu spódnicy damskiej zgodnie z wymaganiami mody dziewiętnastowiecznej. [przypis redakcyjny]

Witold go u ściany na stołku sadzał i sam przy nim siadając, chciwie o stare historie prosił. Z drugiej strony szczupłą postać staruszka, klęcząc w trawach, obejmowała Marynia Kirlanka, a kilku stojących obok młodych ludzi rozważało, co też tak ciekawego być może w gadaniu człowieka, który jeżeli nie cały rozum, to przynajmniej dobrą jego połowę postradał.

— Żeby tylko ktokolwiek Pacenki nie wspomniał, bo zaraz sfiksuje... — z cicha mówili.

A w gumnie ukazanie się Jadwigi wywołało różne wrażenia. Niektóre z kobiet usta pootwierały dziwiąc się jej strojowi. Aż w oczach miga, tak się bogato wystroiła. Wiadomo! Aktorka! Wśród męskiej młodzieży powstały ciche chichoty.

— Żeby Julkowego Sargasa z tyłu jej na tej poduszce położyć, toby się zmieścił!

— Złotnych liści we włosy nakładła i myśli, że pięknie. A to czysta trumna, galonami przyozdobiona!

Ale dziewczęta wcale inaczej o stroju aktorki myślały. Najwięcej je uderzał i zachwycał wachlarz. Małe Siemaszczanki, trzymając się pod rękę, dokoła wspaniałej panny krążyły przeciągłe okrzyki wydając.

— Jezus! Otóż śliczne róże na tym wachlarzu! A te złotne liście zupełnie takie, jak w Łunnie<sup>83</sup> u matki Boskiej na ołtarzu...

Jadwigę te oględziny i dziwowania się niecierpliwiły. Wcale nie dla tych sroczek mordowała się nad strojem przez dwie godziny, a ten, dla kogo to czyniła, stał tam ciągle przy tej... w jarzębinach! Rozgniewanym wzrokiem na sukienki w błękitne i białe paski rzuciła.

— Dziwowało ciało, czego nie widziało! — sarknęła. — Proszę mnie pozwolić przejść, bo z moimi braćmi przywitać się muszę...

Razem z braćmi, którzy ją otoczyli, stanął przy niej Kazimierz Jaśmont, a że już raz gdzieś u znajomych widzieli się i rozmawiali z sobą, tedy śmieje przemawiać do niej zaczął. Od braci już słyszała i z czułych wejrzeń, które rzucał na nią, miarkować mogła, o czym on zamyśla. Więc szybko wzrokiem ku Janowi rzuciwszy rozweseliła się nagle i dla Jaśmonta uprzejma się stała. Kiedy tak, to tak! Niechże widzi, że i ją Bóg i ludzie jeszcze nie opuścili! Bardzo układnie i dobranymi wyrazami mówiła, że smętnie jest, iż lato kończy się, a zaczyna się zima, bo choć letnią porą roboty dużo, ale też i przyjemności więcej, a zimową porą nadmiar ją smętek jakiś opada... Na co Jaśmont poważnie odpowiedział, jako wszystkie czasy mają swój czas, a w dekretach boskich tak zapisano, aby była pora urodzenia i pora umarcia, pora cieszenia się i pora smęcenia; potem z nagła ją zapytał, czy da wiarę, że ona jemu aż trzy razy śniła się w tym tygodniu. Jadwiga o tym wątpiła, bo gdyby z panem Jaśmontem dobrze znajomą była, to co innego, ale trudno kogoś śnić tak mało znając. Jaśmont wtedy cicho szepnął:

— Co kto miłuje, to i we śnie czuje... A co się tyczy małej znajomości, to bynajmniej! Bo ja panny Jadwigi wszystkie skrytości wiem i w serduszku pani jak w otwartej książce czytam...

Zaczął jej znowu coś z cicha mówić, a oczami rzucał w stronę, gdzie stał Janek; ona zaś zaczerwieniła się jeszcze mocniej, zaśmiała się głośno i głośno też odpowiedziała.

— Niech pan będzie upewniony, że ja o tę osobę tak dbam, jak pies o piątą nogę.

Wtedy już i z braćmi, i z niektórymi dziewczętami w głośną rozmowę się wdała, i tylko bacznie na nią patrząc odkryć było można, że wrzała wewnątrz i że zanosząc się czasem od śmiechu, końcem wachlarza to jedną, to drugą powiekę przyciskała, oczy zaś jej tak błyszcząły, że Jaśmont je porównał do brylantów ognie sypiących, i naprawdę zapatrzył się w nie z upodobaniem szczerym i wielkim. Tańczyć nie chciała i długo opierała się namowom braci i konkurenta; jednak rozmyśliła się i przyrzekła, że raz zatańczy, ale chyba krakowiaka, więcej nic, jednego tylko krakowiaka. Wprzód jednak zobaczy, co dziadunio robi i czy mu czego nie potrzeba. Wyszła przed wrota, a Jaśmont Witolda za ramię pochwywszy do ucha mu szeptał:

— Niech pan będzie taki łaskaw i z panną Domuntówną w drugiej parze do krakowiaka stanie, bo ja z pierwszą panną družką w pierwszej parze muszę...

Potem wpadł do gumna i zakręcił się na toku wołając:

— Niechaj do tańca grają, już się nogi zwijają! Krakowiaka, Zaniewscy!

<sup>83</sup>Łunna — wieś w pobliżu Grodna, znana Orzeszkowej z pobytu wakacyjnego. [przypis redakcyjny]



Zaniewscy po półgodzinnym odpoczynku na całe gumno zahuczeli różnym krakowiakiem, ale tańczyć go nie zaraz zaczęto, bo nie wszyscy taniec ten umieli, więc pary dobierały się z niejaką trudnością. Na koniec dobrało się ich dwanaście, z pierwszym drużbantem na czele, który wołałby z Domuntówną, ale przez uszanowanie dla zwyczaju i osoby z pierwszą drużką przodem wybiegł, a wszyscy za nimi w poskokach biegli, głośno hołubce wybijając i zgrabnie, gibko wyginając się w strony obie.

Justyna niczym szczególnym nie wyróżniała się z grona tancerzek. Nie była piękniejsza od kruczowłosej Osipowiczówny ani od Antolki i Siemaszczanek zgrabniejsza, ale miała w tańcu większą od tamtych powagę i grację. Więc lekko na ramieniu tancerza zawieszona, z półuśmiechem na pąsowych ustach, jak łabędź płynęła przodem korowodu, a widzowie dokoła stojący i siedzący patrząc na nią głowami kiwali i szeptali, że z tak piękną panną miło by było tańczyć aż do końca świata. Ale najuporczywiej i coraz ognistej znad rzędu kornetów i czepków ścigał ją wzrokiem Janek, coraz rozkoszniej uśmiechać się zaczynał i niecierpliwą stopą parę razy o tok uderzył, aż do kieszeni siermiężki sięgnął, bawełniane rękawiczki pośpiesznie na ręce włożył i przez obsiadujące ławę niewiasty przeskoczył. Na ławie powstał krzyk i pisk; łokciem jego, a uchowaj Boże! I nogą może zaczepiony czepak Giecołdowej na ucho jej się zsunął, co dzierzawczynię bardzo rozgniewało, a u jej sąsiadek wywołało głośne współubolewania i tajemne szepty. Ale ona na zostawiane za sobą miny i gniewy wcale się nie oglądając, parze tańcowi przodującej drogę zabiegł, rozgłośnie w dłonie uderzył i na całe gumno zawołał:

— Klaskanego!

Wszyscy wiedzieli, co to oznacza, więc tancerze natychmiast w tył się cofać zaczęli i obejmować panny za nimi się znajdujące, a tancerka z pierwszej pary, jak ptak lekki i szczęśliwy, ze wzniesionymi ku niemu oczami, na ramię Jana spłynęła. On po raz pierwszy kibić jej obejmując, ukropem na twarzy się oblał i wzrokiem w górę rzucił, lecz potem, jakby radością i dumą szalony, z głośnym hołubcem nad ziemię się porwał i z ramieniem nieco podniesionym w górę, a twarzą ku twarzy tancerki schyloną, szumnie i dumnie dokoła toku taneczny korowód prowadził.

— Owszem! Przecież pięty do tańca poruszył! — zawołała w tłumie Starzyńska.

On zaś w tym miejscu, gdzie muzykanci siedzieli, stanął, przez co też wszystkie pary zatrzymać się musiały, i swoim pięknym głosem nie tylko na całe gumno, ale na ogród, drogę i szerokie pole zaśpiewał:

Świeci księżyc, świeci  
Okolo północy,  
Ciebie przestać kochać  
Nie jest w mojej mocy!

Ten przyspiewek po prostu zachwyił wszystkich, szczególnie kobiety. Aż w dłonie uderzały i chichotały z uwielbienia. Póki dął się, to dął się, ale jak przestał, to już go nikt nie prześcignie, nawet pan Jaśmont, który ślicznie tańczy i jeszcze śliczniej mówi, ale do śpiewania to już bynajmniej niezdatny. Ale pierwszy drużbant, czy to ambicją powodowany, czy dla rozweselenia Jadwigi, która nadęta i jak nieżywa poruszała się przy nim, na tym polu także popisać się spróbował. Po kilku zwrotach tańca z kolei jak wryty stanął i bardzo cienkim dyszkantem, niezupełnie na nutę krakowiaka, zaśpiewał:

Powierzchność często myli  
Szczególniej kobiety,  
Chociaż oczko łzą umili,  
Lecz serce, niestety!

I niepotrzebnie z Jankiem w zapasy wchodził, bo pokazało się, że wcale z czym popisywać się nie miał, i przyspiewek niestosowny wynalazłszy, i w słuchaczach obudziwszy nawet zdziwienie: jakim sposobem taki duży mężczyzna mógł taki cienki głos z siebie dobywać? W zamian kruczowłosej Osipowicz z błękitnooką Cecylką Staniewską, jakby umyślnie przed matką jej stanąwszy, prawie tak pięknie, jak Janek, zaśpiewał:

Śpiew, Obyczaje

Koło domu steczka,  
Chowaj, matko, pieska:  
Masz córeczkę ładną,  
To ci ją ukradną!

I ogromny Domunt, znowu z malutką Siemaszczanką, jak z dzbankiem po wodę idący, więcej gromko niż melodyjnie huknął:

Za rzeką, za Niemnem,  
Kukaweczka kuka,  
Mam tego za dudka,  
Kto posażnej szuka!

Ale krakowiak już się kończył i inni, choćby chcieli, do śpiewania nie mieli czasu. A tylko Janek jeszcze, jak do przyspiewków hasło dał, tak je i zakończył, nie w porę nawet, bo przed samym końcem tańca, krótko, lecz dobitnie wypiewując:

Najpierwsze kochanie  
Kiedy serce chwyci,  
Radością i smętkiem  
Dosyć je nasyci!

Po czym zaraz tancerkę swoją jak piórko dokoła siebie okręcił i na jedno kolano przed nią przypadając, rękę jej do ust przycisnął. I w tym jeszcze starszy družbant chciał go naśladować, ale nie mógł, bo Jadwiga gwałtownie ręce mu swe odebrała i nie czekając, aby ją, jak to czynili wszyscy, ku siedzeniu jakiego odprowadził, ze wzdętą piersią i roziskrzonymi oczami, ponura i groźna, plecami odwróciła się do niego i z gumna wyszła. Wychodząc niby burza, oddychała głośno, łokciami i piersią ludzi roztrącała, a wzrokiem ścigała wychodzącą też na otwarte powietrze parę. Ścigała ją wzrokiem i dobrze widziała, jak w jarzębinę ubrana głowa panny w szczęśliwym niby zapomnieniu pochylała się ku ramieniu kawalera, który z jarzębiną u szarej siermiężki a twarzą w płomieniach, wciąż coś do niej mówił...

Muzyka grać przestała, młodzież zmęczona i zarazem roz hulana rozsypała się pod odkrytym niebem, na którym gwiazdy przygasać zaczynały przed wschodzącym u dalekiego skrzyżowania rzeki, jakby z jej toni wylaniającym się ogromnym, jaskrawym księżycem. Część młodzieży z zapalonymi papierosami wyszła na pole, ale więcej było takich, którzy wyrzekając się przyjemności palenia, w bliskości gumna pozostali, pojedynczymi parami rozpraszając się po ogrodzie, zielonej uliczce i śliwowym gaju. Gwar przycichł, rozmowy stały się cichsze, gdzieś tam zupełnie ciche; pod blednącymi gwiazdami skrzydło Erosa<sup>84</sup>, wonią miry i mirtu napojone, łagodnie muskało te głowy tańcem i śpiewem rozgrzane. Pod ścianą gumna na stosie belek i po kolana w chwastach siedząca para szeptała.

— Jak Boga kocham — szeptał mężczyzna — stryj i brat nadaremnie lękają się i młodymi twymi latami mnie od szczęścia odgradzają. Czy ja zwierzę jestem albo barbarzyńcem, abym pracą nad siły kochanej kobiety zdrowie nadwierał? Toż i u brata rączek na krzyż nie składasz, a w mężowskim domu więcej pracować ci nie przyjdzie, na to przysięgam! Służącą wezmę, sam sobie ręce mozołami okryję, a Antolka przy mnie zbyt wielu męczarni nie dozna... Czy Antolka temu wierzy i moją stronę trzyma? czy też mam, nieszczęśliwy, długo jeszcze sierotą żyć na tym świecie?

Szept kobiety odpowiedział:

— Pan Michał wie, że ja od stryja i brata zależę. Oni mnie wychodowali, nijakiej krzywdy nigdy nie uczynili, a przeciwnie, zawsze od nich dobroci i przyjaźni doświadczałam... Co oni zechcą, tego i ja zechcę; jak każą, tak ja postąpię...

<sup>84</sup>Eros (mit. gr.) — bóg miłości, przedstawiany zwykle jako skrzydlate dziecko, uzbrojone w luk i strzały.  
[przypis redakcyjny]

— Dobrze! Owszem! Jaż Antolki nie namawiam, aby przeciwko stryja i brata sępem stawiała<sup>85</sup>... Ale już chciałbym raz się dowiedzieć, już raz chciałbym tą pewnością mieć, że Antolka sama jest za mną...

I jeszcze ciszej pytał:

— I czy Antolka czuje kiedy, że miłość w serduszkach mruczy i spać, jak potrzeba, nie daje, mój obraz przed oczami stawiając?

Nie wiadomo, jaka była odpowiedź, ale zapewne pomyślna, bo szept męski śmielszy stał się i nalegający.

— Gołąbek nawet samiczkę w dzióbek bodzie, kochanie jej chcąc pokazać! Czyż mnie tyle nawet nie wolno, co gołębiowi? Jak cudzemu mnie przy Antolce siedzieć wonno, ale głodno!

Pod świrnem zaś świeciła biała suknia, a obok niej wysmukły młodzieniec z cicha przemawiał:

— Tak, moja droga Maryniu, wyjadę stąd pełen szczęścia, że cię znalazłem taką, o jakiej marzyłem; prostą, skromną, pracującą, zdolną zrozumieć i kochać te zadania, które kobieta oświecona i szlachetna dziś pełnić powinna...

— Kiedyż ja, Widziu, tak mało oświecona jestem, tak mało jeszcze wiem i umiem...

— Prawda, że wiele jeszcze uczyć się musisz, ale nie tylko z książek... od życia i od ludzi także, i najwięcej... Ludzi kochaj, ludzi badaj, z ludźmi żyj...

— A jak pojedziesz, czy napiszesz kiedy do mnie? Czy kiedy przyslesz mi jaką książkę?

— Będę pisał, będę ci książki przysyłał i ani przez jeden dzień nie zapomnę o tobie, moja ty najmilsza i najlepsza. A gdy już na zawsze wrócę i w Korczynie zamieszkać, wtedy już nigdy rozstawać się nie będziemy, ale zawsze razem dla naszych drogich idei walczyć i pracować. Czy dobrze, Maryniu? Czy chcesz tego? Dobrze?

U białej sukni dwie splecione ręce gestem zachwycenia wzniosły się w górę.

— O Widziu, Widziu, ty mi niebo na ziemi ukazujesz i czuję sama, wiem, że na nie zapracować, zasłużyć powinnam!

U brzegu śliwowego gaju stała Jadwiga Domuntówna w gronie kilku dziewcząt i chłopców, którzy wkoło niej żartobliwą rozmowę wiedli. Pierwszemu drużbantowi, który na fochy bohduki swej nie zważając ani na krok jej nie odstępował, zarzucano tam nieśmiałość, bałamuctwa i wyrażano wątpliwość, czy ożeni się kiedykolwiek, skoro dotąd tak wesoło kawalerskiego stanu kosztował. On zaś na Jadwigę spoglądając, bardzo poważnie odpowiadał, że i motyl z grzędę na grzędę przelatuje, nim na jednym kwiatku siedzie, że i nędznemu lżej nie samemu, a cóż dopiero kiedy człowiek ma czym podzielić się z przyjacielem dożgonnym. Potem kołysząc się w strony obie, niby od niechcenia, cienkim swoim dyszkantem zanucił:

Świat mnie cały przy tobie staniał i tanieje,  
Serce me za tobą pójdzie w puste knieje!

Ale ani przymówki, ani przyśpiewki nic nie pomagały. Jadwiga, milcząca i zasępiiona, głośno oddychając i z wydętymi ustami, zdawała się być upostaciowaniem chmury pełnej gromów tuż, tuż z niej wypaść mających. Jak nieprzytomna, jak oczarowana, patrzyła ciągle w jedną stronę, w tę mianowicie, kędy opodał, plecami do niej zwrócona, na niskim płotku siedziała para ludzi. Rozmowy ich słyszeć nie mogła, ale w zmroku dostrzegła czerwień jarzębin strojących głowę panny... Ta głowa, w krucze warkocze i czerwone jarzębiny ubrana, prześladowała dziś ją jak mara, jak ogień parzący, jak urągliwe senne widowisko!

Tymczasem na niskim płotku obok Justyny siedząc, Jan cicho, ale z zapalem mówił:

— Pani zapytuje, czy doprawdy najpierwsze? Niech jutro zginę, jeżeli do tego czasu prawdziwe kochanie choć raz do serca mojego zajrzało! A czy to może być inaczej? Czy ja hrabia albo arystokrat, aby z kwiatka na kwiatek przelatywać i tylko sobie różne zabawki wymyślać? W naszym wieśniackim życiu do bałamuctwa ani czasu, ani ochoty nie ma. Jak nie przychodziło kochanie, to nie przychodziło, a jak przyszło, to już i nie przejdzie...

— Czasem jednak przechodzi — w zamyśleniu rzekła Justyna.

<sup>85</sup>sępem stawiać — tu: przeciwstawiać się, walczyć. [przypis redakcyjny]

— U państwa każdą rzecz łatwiej rozwiewają wiatry niżeli u nas, a do tego wiele też i od charakteru zależy. Jaśmont, na przykład, gdyby Jadwiński i nie dostał, byłoby mu o to bynajmniej, bo dla posagu głównie chce ją wziąć, a stryj Anzelm nie dostawszy tej, której żądał, całe życie w samotności strawił, i stary Jakub rozum postradał, zdrady w kochaniu doznawszy...

— A panna Domuntówna czy teraz takiej zdrady nie doznaje?

Jak oparzony tym zapytaniem, o mało się z płotka nie porwał.

— Ja już odgadłem, że pani mnie te pytania zadaje z przyczyny Jadwiński.

Spoważniał, głowę podniósł, wprost na siedzącą przy nim kobietę śmiałym wzrokiem patrzył.

— Zakleństw i przysięgań nijakich czynić nie będę, bo gdzie wiary nie ma, tam i przyjaźni prawdziwej być nie może, a tylko to pani z gruntu serca mojego, żadnym ciężkim grzechem nie splamionego, powiem, że pomiędzy mną a Jadwińską nigdy nic nie było, że nic jej nigdy nie oświadczałem i nie przyrzekałem, a tylko z namowy stryja i przez uwagę na jej poczciwość był bym może ożenił się z nią w czasie, gdyby insze wcale słońce na moim niebie nie błysnęło. To zaś, że ona przylepiła się do mnie jak smoła i ściga mię swoim nadaremny kochaniem, wybaczyć jej trzeba, bo od dzieciństwa mnie znając przyzwyczaić się mogła i odstać jej trudno... Jednakowoż spodziewam się, że do upamiętania przyjdzie, a ja przed nią bynajmniej winnym się nie sędzę... Czy pani mnie wierzy? Jak zbawienia duszy słówka tego czekam: czy pani wierzy?

Uczuła, że na jej rękę o płotek opartym spoczęła dłoń gorąca, twardą skórą powleczone, a jednak dziwnie miękka, błagalnym jakby drżeniem zdjęta... Gumno, świron, chata z oświetlonymi oknami zakręciły się jej w oczach, ujrzała naraz wszystkie gwiazdy ospujące wysokie niebo i uczuła wszystką krew zbiegającą jej do serca. Z cicha odpowiedziała:

— Wierzę!

Wtem krzyknęła i oboje na równe nogi zerwali się z płotka. Pomiedzy głowami ich spory kamień, jakąś silną i zręczną ręką rzucony, świsnął, przeleciał i tylko szyję Janka z lekka drasnąwszy, o kilka kroków na zagon buraków upadł. Zewsząd rozległy się okrzyki i zapytania.

— Co to? Kto to? Skąd to? Na co? Za co?

Ale niemało osób widziało, że była to Domuntówna, która prędko schyliwszy się kamień z ziemi była podjęła i ramieniem zamachnąwszy, na rozmawiającą opodał parę go rzuciła. Trzęsła się przy tym tak, jak gdyby ją febra brała. Kogo właściwie ugodzić kamieniem zamyśliła: Jana czy jego pannę, nie wiadomym było, dość że w mgnieniu oka o jej postępkę dowiedzieli się wszyscy, a w zielonej uliczce pomiędzy gajem i ogrodem wielka powstała wrzawa. Już i ci, którzy z papierosami na pole byli wyszli, powrócili i o zaszłym zdarzeniu różne podnosili głosy. Najwięcej było takich, którzy je ganili głośno i wyraźnie, żadnych pod tym względem ceremonii nie czyniąc. Już i wprzód wyróżniający się strój, nadętość i pochurność panny u wielu przychylności dla niej odjęły; niektórzy też z natury do złośliwych ucinków i żartów skłonni byli. Więc poważnie lub z pośmiewiskiem wypowiadane zdania rozlegały się naokół:

— Sama siebie postępką takim zeszpeciła!

— Śliczna panna, która ze swoim kochaniem jak dziad z torbą niechcącemu w oczy lezie!

— Wypchała się jak harmata i kamieniami strzela!

— Dobry anioleczek! Teraz chyba dudek ją do ołtarza zaprowadzi!

— Dziękuję i za dziedzictwo, kiedy od własnej żonki nieprzyrodzoną śmiercią mam umierać!

— Jak koń cygański okryła się blachami i myśli, że ludzi ubijać jej wolno!

Z drugiej przeciw strony znaleźli się tacy, którzy się za dziewczyną ujeli. Naprzód Kazimierz Jaśmont, zrazu zdumiony i oszołomiony, do przytomności przyszedłszy, palcami pstryknął i zawołał:

— Szyk panna! Bez złego psa i bez strzelby dom od złodzieja obronić potrafi!

Już tak widać wszystko na dobre sobie tłumaczyć umyślił. A Domuntowie, po stronie swojej dwóch Siemaszków mający, gromko i groźnie krzyknęli:

Bijatyka, Kobieta,  
Męzczyzna, Przemoc,  
Zazdrość

— Kto o siostrze naszej jedne jeszcze złe słowo wypowie, dowie się, po czemu u nas czupryny targują!

Wojnę miłującym Obuchowiczom w to tylko było grać! Jakkolwiek sami przedtem z Jadwigi drwinkowali, teraz skoczyli ku tym, którzy pierwsi szukali zaczepki; zaś kilku Bohatyrowiczów i Jaśmontów w towarzystwie Zaniewskich i Staniewskich kozłami przy swoim stali, drwinkować nie przestając i oświadczając głośno, że nijakich nakazywaczy się nie lękają ani napominających apostołów nie potrzebują. Na burzę srodze zanosić się zaczynało. Już Obuchowicze ku płotom się zbliżali, w zmroku wypatrując, skąd by najlepszego kołka wyrwać; już w gronie przeciwnym ten i ów pomrukiwał o pogruchtaniu kości i nakarbowaniu pysków, gdy spod gruszy w ogrodzie stojącej rozległ się głos donośny i nalegający:

— Za pozwoleniem wszystkich panów, mnie także słówko w tym zamieszaniu rzucić wolno, bo nie od kogo, tylko ode mnie wszystko poszło. Ja nie wiem, kto wymyślił, że panna Domuntówna przez złość na mnie kamień rzuciła, bo to jest nieprawda. Co do rzucenia, ani słowa — rzuciła, ale nie przez jaką, broń Boże, pomstę albo zły zamiar, tylko dla zabawy, żeby mnie nastraszyć, a później z mojego strachu drwinkować. Mnie się zdaje, że takiego żartu, choć i grubowatego, za grzech śmiertelny poczytywać nie można ani też za niego na złe języki brać, tym więcej, kiedy panna jest zacna i nic jej wcale do zarzucenia nie ma. A jeżeli ja za ten postępek do panny Domuntówny żadnej pretensji nie mam, to i nikt z niej naigrawać się albo na gańbę dekretować<sup>86</sup> jej nie powinien i jeżeli komu jeszcze to do głowy przyjdzie, wtedy ja wspólnie z panami Domuntami postaram się to jemu z głowy wybić!

Pod gruszą stojąc, prawie był niewidzialny, ale w głosie jego usłyszeli wszyscy stanowczość i śmiałość. Tedy wielu ramionami wzruszyło i uwierzyło albo udało wiarę w to, że postępek Domuntówny był tylko żartem grubowatej panny. Kiedy tak, to tak. Jeżeli temu, kto ubliży doświadczył, podoba się ją za płochą zabawkę uważać, to dla jakiej przyczyny insi za niego ujmować się mają? Z drugiej strony, Domuntowie z kompanionami także uspokajając się zaczęli, bo postępek Jana podobał się im bardzo i humor poprawił. Ucichli tedy i z pierwszym drużbantem poszli drogą ku zagrodzie Jadwigi wiodącą, u której końca połyskiwała z dala biała kapota jej dziadunia. Zaraz bowiem po dokonaniu postępkę z kamieniem, cała trzęsąca się jak w febrze, poszła ona dziadunia swego szukać i znalazła go z drugiej strony gumna na stołku siedzącego i kilku starszymi ludźmi otoczonego. Właśnie tym starszym ludziom, pomiędzy którymi znajdował się ekonom z Osowiec, Jaśmont i dzierżawca Giecołd, historię z dwunastego roku o zmarłym u rodzicielskiego płotu oficerze Franusiu opowiadał, gdy wnuczka ku niemu przypadła i na rękach prawie ze stołka go podniosła.

— Chodźmy do chaty, dziaduniu, chodźmy do swojej chaty! — mówiła. — Dość już my tu pobyli i nabawili się... czas nam we dwoje sobie ostać...

Objęła go ramieniem, tuliła do siebie i sama do niego się przytulając, w zeszlą rękę go całowała, a drogą ku swojej zagrodzie wiodła.

— Chodźmy, dziaduńku, chodźmy do własnej chaty! Rozbiorę dziaduńka, do łóżeczka położę... do spania zakolyszę... mój mileńki, jedyńki, stareńki dziaduńku!

Im więcej od Fabianowej zagrody oddalała się, tym więcej nad drepczącym w objęciu jej starcem kwiliła, a lzy jak paciorki z oczu jej na jego kapotę i głowę padały.

W zielonej zaś uliczce jedni tylko Obuchowicze z niezadowoleniem jeszcze pomrukiwali, pięknej sposobności powojowania żałując. Jeden z nich nawet przed jednym z Siemaszków się zwierzał, że przeszłej nocy śniło mu się, jakoby gruszki z drzewa rwał, z czego też pewność czerpał, że na tym weselu guzy będą... tymczasem widać, że już na niczym wszystkozejdzie. W zamian zgodę lubiący, jakkolwiek hardowasi Łozowiccy, a także staceczni Strzałkowscy sobie i inszym pokojowego zakończenia sprawy bardzo wieszowali utrzymując, że chamy tylko byle o co za lby się ciągną, w dobrej zaś kompanii hałasy takie, a broń Boże bitwy, wcale są nieprzystojne. Zresztą zaszła okoliczność, która od świeżego zdarzenia uwagę powszechną zupełnie już odwróciła. Z podwórka na uliczkę wybiegł w wielkim pędzie Julek, ze sobą skaczącego i radośnie skomlącego Sargasa mając i na cały głos wołając:

<sup>86</sup>na gańbę dekretować — wyrażać naganę, orzekać winę niechonorową. [przypis redakcyjny]

— Na Niemen, na Niemen! Wszystkich państwa proszę na Niemen, bo już czajki<sup>87</sup> i czółna przygotowałem... po całej okolicy zebrawszy i u brzegu postawiwszy... Na Niemen! Proszę na Niemen!

Nigdy prawie nie widywano go takim pędem biegającego i wykrzykującego z takim zapalem, że mu się aż ruda czupryna na wsze strony rozwiewała i oczy iskrzyły się w zmroku jak u kota. Ale bo też zapraszał teraz wszystkich do swego właściwego domu i wzywał do zabawy, wśród której, jak inni w tańcach i śpiewaniu, celować mógł, przewodzić, dyrygować. Razem z nim na Niemen gości zapraszał Sargas, ku wszystkim radośnie się rzucając, skomląc, wyskakując, a co moment pyskiem zwracając się ku rzece i przylatujące od niej wiatarki nozdrzami w siebie wciągając. Dziewczęta pierwsze przyjaźnie odpowiadały wezwaniu.

— Pływać! Pływać! Ze śpiewaniem pływać! Panie Michale! Panie Władysławie! Panie Zaniewski! Panie Jaśmont! Panie Bohatyrowicz! Na Niemen popłyniem! Ze śpiewaniami popłyniem! Na Niemen! Na Niemen!

Tym kobiecym głosom odpowiadały męskie:

— Jestem! Idę! Biegnę! Do usług! A kto z kim? Panno Kaźmiro! Panno Cecylio! Panno Antonino! Panno Mario!

I mnóstwo znowu imion i nazwisk leciało po trawach zroszonych, po ogołoconych ogrodach i przeredzonych gajach, a nad wszystkimi wykrzykami i odpowiedziami górowało wołanie:

— Na Niemen! Na Niemen!

Ktoś w wielkim zmieszaniu głosów potężnym basem nucić zaczynał:

Za Niemen tam precz...

Ach, czegoż za Niemen?

Czy błoń tam kwiecistsza...<sup>88</sup>

A ku rzece, której imię mnóstwem ech rozlegało się po ciemnym borze i szerokim polu, z wysokiej góry, w bladym jeszcze świetle księżycy, schodziło i zbiegało par kilkanaście.

Jan szerokimi krokami ogród przebywał, widocznie kogoś szukając i we wszystkich stronach upatrując, gdy na rękawie swojej siermiężki uczuł czyjaś rękę i zaraz mu przed oczami błysnął czarny warkocz czerwonymi jarzębinami przetykany.

— Popłyniem!

— Popłyniem!

— Ale sami... we dwoje... moja droga pani... moja złota! Swoim czółkiem... własnym, tym samym, które nas do Mogiły zawiozło.

— Dobrze!

Czółno to stało u stóp Anzelmowej zagrody, w gęstwinie oczeretów<sup>89</sup> ukryte, i Jan tylko wiedział, gdzie je znaleźć można. Więc ku Anzelmowej zagrodzie oboje pobiegli, dla pośpiechu płot przeskoczyli w tym samym prawie miejscu, w którym go tak często Elżusia i Antolka przeskakiwały, a po paru minutach byli już pod lipami. Tu w miejscu jednym gałęzie zwieszały się tak nisko, że Justyna, aby pod nimi przebiec, pochylić się musiała. Jan pochylił się także i pod tym ciemnym sklepieniem rękę, która nad zroszoną trawą białą suknię unosiła, pochwycił, do ust poniósł i już jej więcej z dłoni nie wypuścił. Dłoń w dłoni z wysokiej góry ku przybrzeżnym oczeretom biegli i ani zauważyli, że za sobą pozostawiali dwoje ludzi pod lipami na trawie siedzących i tak przyciszoną rozmową zajętych, że na przebiegającą w pobliżu parę ze swej strony także uwagi nie zwrócili.

Byli to Anzelm i Marta. Jakim sposobem i gdzie spotkali się w tłumie po raz drugi? Powiedzieć by to mogły te stare wspomnienia, które ich ku sobie pociągnęły. Ale tłum prędko opuścili i od dawna już oboje znajdowali się w Anzelmowej zagrodzie, której dom, drzewa, ule Marta ciekawie i długo oglądała, jedne chwając, drugie krytykując, a kiedy niekiedy dawnemu przyjacielowi z doświadczenia zacerpniętych rad udzielając. Odkąd

Miłość niespełniona,  
Wspomnienia

<sup>87</sup>czajka — lekka łódka. [przypis redakcyjny]

<sup>88</sup>Za Niemen tam precz (...) — początek pieśni Augusta Bielowskiego (1806–1876), która współcześnie cieszyła się wielką popularnością (tu w wersji nieco zmienionej). [przypis redakcyjny]

<sup>89</sup>oczerety — trzciny. [przypis redakcyjny]

ściemniało, siedzieli pod lipami na trawie wspólnie z żółtym Mucykiem, który u nóg swego pana rozciągnięty leżał, i zdawało się im, że wszystko już sobie powiedzieli, co do powiedzenia mieć mogli. Więc zamilkli oboje w postawach jednostajnych, policzki na dłoniach opierając. Po kilku minutach przecież na białych wargach Anzelma pod siwiejącym wąsem uśmiech drzeć zaczął. Z tym uśmiechem, powolnym sposobem swoim mówił:

— Czy panna Marta pamięta, jak pierwszy raz na zaproszenie panów Korczyńskich do Korczyna przyszedłszy i na panią spojrzawszy, gawronem z otwartą gębą stanąłem, aż wszyscy śmiać się ze mnie zaczęli?

Ona z cicha zachichotała:

— Czemuż bym pamiętać tego nie miała? Ale dlaczego wtedy pan Anzelm tak skołowaciał?

— Ślicznością figury i ognistością oczów pani zadziwiony i oślepiiony zostałem...

— Tak, tak to kiedyś było! — głową z wysokim grzebieniem trzęsąc szepnęła stara panna.

— Tak, tak to było! — potwierdził Anzelm.

Potem ona przemówiła pierwsza:

— A pamięta pan Anzelm, ile to gości zbierało się wtenczas w Korczynie? Jakże oni plany układali sobie, jakie sprzeczki zawodzili... jakie nadzieje mieli?...

— Jak nieboszczyk pan Andrzej wszystkim przewodził, a nasz Jerzy niejedną raz z narażeniem się poradą i pomocą jemu służył?

— A tak, tak to było! Wieczny smutek! — szepnęła.

— Wieczne odpoczywanie racz im dać, sprawiedliwy Boże! — baranią czapkę nad głowę podnosząc wtórował Anzelm.

Po paru minutach ona przemówiła znowu:

— A pan Anzelm pamięta, że to ja panu karmazynową czapeczkę uszyłam i otoczyłam ją siwym barankiem?

— A pani pamięta, czyja to rączka mnie na pagórku piaszczystym poświęcony medalik na szyi zawieszała?

— Tak, tak to kiedyś było... — powtórzyła.

— Tak, tak to wszystko przeciwne wiatry daleko od nas odniosły...

Wtem umilkli, wyprostowali się, zaczęli patrzeć i słuchać. Przed dwojgiem tych starych, prawie u kresu życia stojących ludzi, którzy jedyną złotą chwilę swojej przeszłości wspominali, świat oblał się morzem liryzmu roztopionego w promienie i w tony. Księżyc znacznie już podniósł się na niebie, zmalął, przygasł i łagodnym światłem oblewając wysoką górę i bór przeciwległy, oszklili powierzchnię rzeki drobnymi falami pomarszczoną. Pod napowietrzną, bladą lampą księżycy w wodzie jakby zanurzona stała kolumna światła, podstawą zwrócona ku powierzchni rzeki, a ognistą kulą dna jej sięgająca, pełna wewnętrznych drzeń i migotań. W tych zaś światłach marzących i drżących kilka łodzi i członów sznurem a cicho sunęło po szlaku rzeki, wiosłami szkliste tonie roztrzając i krzesząc w nich złote, przemijające blaski; a znad łodzi i członów wzbijał się chór głosów, to potężniej, to słabiej, to przeciąglej, to weselej rzucający pod niebo, w głębie boru i na wodę nuty dawne, przez świat zapomniane, w odległej przeszłości drzemiące, a tu zdające się budzić i zmartwychpowstawać. Zdawać się mogło, że kędyś na oścież roztworzyła się jakaś skarbnica pieśni i w tę kotlinę wysokimi ścianami od świata odgradzoną, na tę szeroką i poważną rzekę wylewała wszystkie tęsknoty, żale, westchnienia minionych lat i pokoleń. Więc naprzód rozległa się tęskna piosnka o biednym żołnierzu, który idzie borem, lasem, przymierając z głodu czasem. Potem zleciał tu duch Szopena. Skąd, jakimi drogami, na skrzydłach jakiej miłości i pamięci? Zagadka! Dość, że w nutę mistrza ubrane popłynęły słowa:

Lecą liście z drzew, co wyrosły wolne,  
Na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne,  
Nie było, nie było, matko, szczęścia tobie,  
Wszystko się zmieniło, a twa dziatwa w grobie!...

I dziewczyna z zapłakany okiem skarżyła się na kurhanie nad krynicą:

Jak ja mogę być wesołą,  
Kiedy zdrój w żalobie?  
Jak tu z ziemi podnieść czoło,  
Kiedy matka w grobie?

A po zapłakanej dziewczynie zaśpiewał smutny wygnaniec :

Poleć, motylku, poleć tam dalej,  
Zaleć, motylku, w me rodzinne strony,  
Zanieś westchnienie do ulubionej,  
Zanieś mój uśmiech do ulubionej!

Piękna Osipowiczówna, jak smukła topól w świetle księżycy pośrodku łodzi stojąca,  
zawiodła pierwsza:

Szumiała dąbrowa, wojacy jechali,  
Mojego Jasieńka na wojnę wołali.  
Siadaj, Jasiu, siadaj, konik osiodłany!  
Przy kim mnie porzucisz, mój Jasiu kochany?

A po prześpiewaniu tej pieśni męski już tylko chór zagrzmiął, zahuczał inną skargą,  
innym a ciężkim, w tony zaklętym postrachem:

Jak to pięknie, jak to ładnie,  
Kiedy żołnierz z konia spadnie,  
Koledzy nie pożałują,  
Jeszcze go końmi stratuja!

Jeden woła: Ratuj, ratuj!  
Drugi woła: Tratuj, tratuj!  
Leci kula armatowa,  
Leci kula, leci kula,  
Nieszczęśliwa moja głowa

I tak dalej, dalej, pieśń o rozkoszach wojny, niby rotowy ogień, huczała i grzmiała, aż  
zakończyła się strofą bezbrzeżnej żalości:

Trąba woła: Tra-ta! tra-ta!  
Nie ma ojca ani brata!  
Ni żadnego przyjaciela  
Oprócz Boga Zbawiciela!

Nic na niebie ani na ziemi nie przeszkadzało szerokiemu rozleganiu się pieśni śpiewanych na łodziach i czółnach, nic ich nie mąciło; woda je srebrnie od szklistej powierzchni odbijała, echa podwajały i nieść zdawały się w dal coraz dalszą; lekkie wiatry pogodnej nocy latały po szczytach boru, który czasem szumiał z cicha, jakby w głębinach jego spoczywające duchy wskrzeszały i długimi westchnieniami lub cichymi śmiechy niegdyś im znanym, kochanym pieśniom wtórzyły. Na wysokiej górze pod starymi lipami siedząca para ludzi patrzyła i słuchała. Oczarował ją oddech przeszłości własnej i niewłasnej; melodia światła i tonów we dwie kamienne figury zakłęła. To, że byli żywymi ludźmi, poznać można było tylko z ich oczu ścigających szlaki blasków, które za łodziami to powstawały, to znikwały; z ruchu ręki Anzelma, machinalnie głaszczącej psa u nóg mu leżącego, i z głośnego, coraz głośniejszego oddechu Marty. Łodzie zaś dosięgły już stojącej pod księżycem kolumny światła i nad zanurzoną w wodzie ognistą jej kulą w chwilowym milczeniu przepływały jedna za drugą, ciemne, ciche, lekkie jak widma. Za kolumną i księżycem, tam gdzie rzeka wspaniałym ruchem za ścianę boru skręcała, samotny głos męski śpiewać zaczął:

Miłość, Miłość  
niespełniona, Młodość,  
Starość, Wspomnienia



Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna,  
Jak różany kwiat...

— To Janek śpiewa... — rzekł Anzelm.  
— Pamięta pan, jakieśmy kiedyś tę piosenkę razem śpiewali?... — zapytała kobieta.  
— A ja i nie słyszałem już później takiego ślicznego głosu, jaki był podtenczas u pani...  
Zatrząsa głową:  
— Tak, tak to było!  
Od skrętu rzeki dochodziły słowa:

Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,  
A ja doliną...

Anzelm w polonezową nutę, poważną i tęskną, zasluchany, z bladym na ustach uśmiechem sam nucić zaczął:

Ty rozkwitniesz różą, ty rozkwitniesz różą,  
A ja kaliną!

I Marty usta żółte, zwiędłe otworzyły się także; oboje dalekiej nucie zawtórzili:

Ty pójdziesz drogą, ty pójdziesz drogą,  
A ja łożami,  
Ty się zmyjesz wodą, ty się zmyjesz wodą,  
Ja mymi łzami.

Anzelm ciągnął jeszcze:

Ty będziesz panną, ty będziesz panną  
Przy wielkim dworze...

Ale kobieta obok niego siedząca zakrztusiła się, pochyliła głowę, o podniesione kolana oparła i kaszłała... Tedy i on nucenie przerwawszy, ucha ku niej przychylił. Zdało mu się, że nie tylko kaszel dobywał się z jej piersi... Za rękę ją wziął.

— Nie trzeba płakać! — z powagą przemówił — płakaniem śmiechu nie odzyszczesz... ubiegła woda nie wraca... W kwiecie wieku rozłączyliśmy się z sobą, a znów spotkali dziadem i babą. Niedziwno też, że opadły nas przypomnienia i romanse. Ale nie w czas już nam do takich rzeczy, a myśleć trzeba o tych młodszych, którzy jak latoroście przy zwałonych drzewach, przy nas wyrosli. Jedno zachodzi, drugie wschodzi. Może to słońce, które nam smętnie świeciło, dla nich pogodniej zaświeci. Niechże mnie tedy pani z łaski swojej powie: czy ta panna Justyna jest doprawdy taką dobrą i zasną panną, jaką się pokazuje? Czy można spodziewać się, aby do naszego wieśniackiego życia i pracy przy ziemi uzwyczajić się mogła? I czy, broń Boże, mój Janek przez nią nieszczęśliwym nie zostanie? Może i pan Korczyński dać mu jej nie zechce? Może i ona sama w ostatnim momencie od takiego losu uciec? Może to obowiązkiem moim jest przystojnie, ale z gruntu serca ją poprosić, aby mojego chłopca zawczasu odtrąciła boby on może przez to uleczonym mógł jeszcze zostać?

Kiedy Anzelm mówił, Marta głowę podniosła i potwierdzająco nią kiwała. Kilka razy jeszcze chrząknęła, a potem odparła:

— Prawda! słowo honoru, prawda! Przypomniała sobie babka dziewiczy wieczór! Wieczna głupota! Mężczyzna zawsze od baby mędrszy. Prawda! Co nam już ze śpiewania i płakania przyjdzie! O młodszych pogadajmy...

O tej samej porze w domu Fabiana, którego okna zza gałęzi topoli pobłyskiwały, wrzało, huczało, gotowało się jak w zamkniętym i na ogniu stojącym kotle. Przed godziną, kiedy młodzież z wysokiej góry ku rzece zbiegała, pośród mnóstwa okrzyków brzmiał jeden, nie najmniej donośny:

Łzy, Śmiech

— Panie Witoldzie! Panie Korczyński dobrodzieju! Panie Witoldzie dobrodzieju! Prosimy! Pokornie prosimy!

Na koniec z przywoływany w ogrodzie się spotkawszy Fabian rękę młodzieńca pochwylił i z niskimi ukłonami do wnętrza domu go zapraszał.

— Z przyczyny interesu — mówił — z przyczyny interesu w zabawie panu dobrodziejowi odważam się przeszkodzić... Ale prośbę do pana zanieść umyśliliśmy... my starzy... prośbę do pana...

W głosie jego słyhać było wzruszenie, a pomimo że nisko się kłaniał i pokornie prosił, wąsy co moment jeżem mu nad wargami stawały. Witold Siemaszczankom, które trzymając się pod ręce w towarzystwie ogromnego Domunta nadbiegały, Marynię powierzywszy, ochotnie i ciekawie za gospodarzem zagrody poszedł.

W świetlicy pomimo pootwieranych okien gorąco było jak w łaźni; na trzech stołach jeszcze jadłem zastawionych paliło się parę lampek, w których skąpym świetle kipiała mozaika ludzkich kształtów i rysów. Na pierwszy rzut oka rozpoznać tam można było tylko postacie siedzące i stojące, do ściany przyparte, na stołach szeroko łokcie rozkładające, ramionami i wąsami poruszające. Po kilku minutach dopiero z tej zwikłanej mozaiki wylaniały się i wyosobniały głowy łysiejące, siwiejące, osiwiałe, czoła zarumienione i spotniałe, twarze barwą do rydźów albo do ziemi podobne. Tak jak pośród młodzieży bawiącej się w gumnie i na Niemnie, nikt tu pijany nie był, ale panujący w świetlicy upał i przez dzień cały choć wstrzemięźliwie popijane miód i piwo twarze te oblewały ogniem i potem, w którym z dokładnością mistrzowskiej rzeźby występowały nierówności skór grubych i chropowatych, niezliczone, we wszystkich kierunkach pokrzyżowane, cienkie jak włosy i grube jak palce zmarszczki, bruzdy, wyźłobienia. Było to pokolenie, po którym już długo życie przeciągało swoje pługi i brony, które też pod jego chłodnym strumieniem przygasło, spowolniało, jednak czymś silnie tknięte, jeszcze zapłonąć i wybuchnąć mogło. Zapłonęło też i wybuchnęło przy wejściu Witolda. Mnóstwo rąk wyciągnęło się ku młodzieńcowi, dłoń jego chcąc uścisnąć i mnóstwo głosów razem mówiło:

— My tu pana za pośrednika i orędownika naszego zaprosili!

— Na sędzie!

— Na jednacza!

— Przez panów do króla, przez świętych do Boga, a przez syna do ojca... — zaczął Fabian.

— Abyś pan nas osądził i na śmierć albo życie zadekretował — przebił go ktoś inny.

— W jednym gnieździe niejednaki ptak się lęgnie; a choć ociec pański pokazuje się krzywdzicielem i gardzicielem naszym, pan nam pokazałeś się przyjacielem i bratem.

— Z dobrym targ dobry! — huknął ktoś spod ściany.

— To prawda! A jakże! Przed dobrym i upokorzyć się nie wstyd! — prawil Walenty Bohatyrowicz.

A Apostoł żałośliwym głosem inne głosy przenosząc, nabożnie wołał:

— Jezusa przede Bogiem Ojcem, a pana przed srogim sąsiadem za ubłagalnika mamy!

Witold zdziwiony zrazu, spoważniał i spochmurniał. Jednak wybiwszy się z tłumu żwawym ruchem na stole usiadł i z tej wysokości wszystkie ku niemu zwrócone twarze ogarniając, głośno przemówił:

— Jestem! Słucham was! Dziękuję, żeście mię zawołali...

Płomię wystąpiło mu na czoło. Mimo woli rękę w górę podniósł.

— I niech tak w przyszłości swojej doścignę, co ścigam, jak serdecznie was kocham i wszystko dla was uczynić gotów jestem!

Wtedy kilkunastu ich na raz mówić zaczęło, ale Fabian po krótkich usiłowaniach ten chaos głosów uśmierzył i sam sprawę przedstawić podjął się. Była to sprawa dawna, początkiem swoim sięgająca końca młodzieńczych zapałów Benedykta Korczyńskiego, a złożona z mnóstwa drobnych uraz i zająć, jak z mnóstwa atomów składa się gruba chmura. Prawdą było — i Fabian nie zaprzeczał temu — że pan Korczyński niejedyn raz słusność miał za sobą i że niejedyn raz od sąsiadów, wszelkimi niedostatkami trapionych, stawać mu się mogły krzywdy i ujmy. Ale na różne choroby są różne sposoby, zaś te, których pan Korczyński używał, po pas w biedę ich wtrącały i wielką gorzkością karmiły. O komarowe sadło każdego przed sądy ciągał, za kłosek snopem, a za snop kopą wynagradzać sobie każąc. A wiele razy chcieli i próbowali zgodnym słowem, dobrowolną

Alkohol, Obyczaje, Wieś

Dobro

umową te sporki zakańczając, nigdy do tego nie dopuszczał. I nie dla tej przyczyny nie dopuszczał, aby w procesach smak znajdował — bo wiedzieli dobrze, że sam jak na krzyżu rozpięty wyglądał, ale dla tej, że nadmiar już chciwym stał się, a najwięcej dla tej, że uboższymi gardził, prawie ich za ludzi nie mając...

Tu Fabian, który dotąd więcej żalonym niż rozgniewanym głosem przemawiał, rękę na kłębie oparł i wąsy najeżył.

— Niechaj mnie darowanym będzie — zawołał — że przed synem na ojca to wypowiadam... ale w panu dobrodzieju jedyny ratunek obaczywszy, wszystkie skrytości serca otworzyć muszę. Srogi na twarzy jest pan Korczyński i język ma gruby...

— Inaczej jak mruk do człowieka i nie zagada... — przebił ktoś drugi.

Głosy mieszały się znowu, zawrzały.

— Złymi słowami siecze po duszy, gorzej niżby różgami po ciele siekł!...

— Jakby go język od dobrego słowa bolał...

— A jednakowoż może być, że przygłaskaniem prędzej by nas zmusił swego dobra strzec niżeli biciem!

Apostoł zza tłumu ramion i głów ciemnymi okularami połyskując wołał:

— Z mułu i błota ziemskiego, rodzaju myśmy ludzkiego!

Fabiana głos znowu przeniósł i przetrwał inne.

— I mrówka ma swój gniew! — pot z czoła i policzków ocierając wołał. — I myśmy się już dla pana Korczyńskiego wszelakiej życzliwości pozbyli. Jakie: „Pomagaj Boże, takie: „Bóg zapłać!” Wytoczyliśmy panu Korczyńskiemu wojnę i słuszności swojej pewność mieliśmy...

Witold, w swobodnej zrazu postawie na stole siedząc i przez to nad otaczającymi go postaciami i głowami górując, teraz uczynił ruch niespokojny czy niecierpliwy.

— Moi drodzy — zawołał — czegoż wy ode mnie chcecie? Co ja na to poradzić mogę? Puście mię stąd.

Ze ściągniętymi brwiami zeskoczyć chciał z wysokiego siedzenia swego, ale otoczono go jeszcze ściślej, a Fabian i za ramię go pochwycił.

— Bóg mię ubij na duszy i ciele, kiedy jednym słóweczkiem obrazić pana zamyslałem! — z przerażeniem wołał.

Inni podnieśli proszące głosy, aby wysłuchał ich i ratował. Pozostał więc, ale ruchliwe rysy jego zmieniły wyraz. Z wesołego i niemal swawolnego młodzieńca, jakim był przed godziną, stał się chmurny, skupiony w sobie, niemal ponury. Słuchał jednak, a raczej z nateżeniem wsluchiwał się to w pojedyncze, przemawiające głosy, to w wybuchające co chwilę gwary. Pokazywano mu jakąś bardzo starą, żółkłą i prawie spleśniałą mapę, którą Fabian na czymś strychu w jakiejś spróchniałej skrzyni znalazł, a na której wyraźnie, jak dzień jasno stać miało, że wielki kawał wygonu, het, tam, takimi a takimi granicami objęty, nie do pana Korczyńskiego, ale do bohatyrowickiej okolicy należeć powinien. Ho, ho! Gdyby oni ten wygon kiedyś im widać zrabowany odebrali, dopiero by im życie słodkie nastąpiło, a przy tym pokazaliby sąsiadowi, że podczas i mały komar wielkiego konia do krwi kąsał! Fabianowi o to ostatnie, zdaje się, więcej jeszcze chodziło niż o pierwsze. Sąsiadów do procesu werbował, ale nie zwerbował ich więcej jak dziesięciu. Ci za wszystkich plecy nastawili i pootwierali worki. Inszym łydki ze strachu drżały. Ale właśnie najodważniejsi najubożsi byli. Procesując się w długi leżli. Adwokat — któż mógł wiedzieć, że był to oszust, skoro tak pięknie i rozumnie gadał? — pomyślny skutek zaprzysięgał, przez dwa lata jak krowy ich doił, aż na koniec terminu uchybił, apelacji w porę nie podał i wszystko przepadło. Ale nie koniec na tym; trzeba im jeszcze wielką sumę panu Korczyńskiemu wypłacić i to wprędce, bo już niejedyn raz i nie przed jednym człowiekiem oświadczał, że ani godziny zwłoki nie udzieli, ani grosza nie daruje, a egzekucją, gdy tylko czas przyjdzie, bez miłosierdzia cisnąć będzie. Czas zaś jest bliski; najdalej za dwa tygodnie egzekucja nastąpi, a razem z nią już chyba skończenie świata, bo żeby nie wiadomo jak starali się, takich wielkich pieniędzy w dziesięciu nie zbiorą i nigdzie nie znajdą. Więc i w nich teraz strach uderzył; rozpoznali, że zagrzęźli w gąszcz nieprzeniknioną i że nijakiego dla nich ratunku nie ma oprócz upokorzenia się i prośby o zmiłowanie. Teraz ten i ów z płaczem mówił. Fabian także nie tylko już pot z twarzy ocierał. Znowu w ten sam cienki i żałośliwy ton wpadł, jakim dziś z rana błogosławił do ślubu córkę.

Słowo

Kondycja ludzka

Chłop, Sąd, Szlachcic,  
Własność

— Bogiem Ojcem świadczę się — wołał — że gorzko mnie jest na starość Łazarzem u bogaczowego progu żebrzącym zostawać! Na swoją biedę może bym oczy zmrużył, ale cudze łzy na sumieniu nosić zbyt ciężko. Cóż mam nieszczęśliwy robić? Gryźć rzemień — darmo! Przyszła potrzeba w pokorę uderzyć i syna rodzzonego prosić, aby przed swoim ojcem naszym orędownikiem został...

Tu rozplakał się już rzewnie, ale wstydził się tej słabości, więc chustką pot i łzy po twarzy rozmazując, przerywanym głosem uniewinniał się:

— Płacz utrapionemu nie grzech... I pies wyje, kiedy smętny...

Apostoł zaś wołał:

— Przyjdzie Chrystus sędzić biednych i bogatych, żywych i umarłych...

Z tłumu wyosobnił się nieco wysoki, chudy, z czarnymi, obwisłymi wąsami Walenty. Na twarzy jego, zoranej i bladej, wyraz jakby długiego męczeństwa mieszał się z nieograniczoną, cichą cierpliwością. Z cicha, spokojnie mówił, że siedmioro dzieci wyhodował, córki wyposażył, dla synów guwenera przez lat kilka wspólnie z sąsiadami najmował, aby choć czytać i pisać umieli. Niełatwoż przyszło z dziesięciomorgowego grunciku wszystko to wydymuchać! Piersi sobie pracą nadwęgrył, że dla ciężkiego oddechu trudno mu już za pługiem chodzić. Było jednak, jak było. Bóg nie opuszczał, a ludzie prawie i nie słyszeli o nim, tak spokojnie w swoim zaciszku siedział *horując* i za wszystko Bogu dziękując. I choć od pana Korczyńskiego, tak samo jak inni, niejedną raz złe słowo usłyszał, zniósł to cierpliwie i milcząc, jak ubogiemu przed wielmożnym przystało. Ale oto na starość zgłupiał. Namówiony, do procesu wlaź. Co teraz nastąpi? — nie wie. Pewno przyjdzie gruncik sprzedać, długi zapłacić i pod kościół z torbą pójść. Wola boska! Niech i tak będzie! Gdyby jednak pan Korczyński zgodził się poczekać, wypłatę na dłuższy czas rozłożyć, może by jeszcze przy pomocy jednego z zięciów, nie bardzo biednego człowieka, i wyratował się... A żąda tego, bardzo żąda, bo każdemu miło myśleć, że zamknie oczy tam, gdzie je na ten świat otworzył, gdzie też jego dziady i przeddziady...

Nie mógł dokończyć. Łzy toczyły się po spokojnej przecież, niezmaczenie cierplivej jego twarzy, a ręce chude, jak ziemia ciemne, mozolami<sup>90</sup> i dziwnymi jakimis garbami okryte, zacierał i ścisnął tak, że aż stawy w palcach trzeszczały. Witold pochylił się nagle i te biedne, spracowane, zrozpaczone ręce mocno w swoich ścisnął. Ale wnet inni ich rozdzielili, prośby swe przekładając. Niechby pan Korczyński kontentował się tym, że proces wygrał, a tą karą, na którą ich sąd zadekretował, do reszty ich nie zarzynał. Jeżeli zaś tak już nadmiar pieniędzy tych pożąda, to niech przynajmniej folę jaką da, czasu popuści, żeby i swoje odebrać, i ludzi nie pomarnować! Ktoś ze zniechęceniem ręką rzucił:

— Daremne gadanie! Pan Korczyński tego nie uczyni. A co jego nasza pomyślność czy nasze zmarnowanie się obchodzi?

— Owszem! Barania śmierć, wilcza stypa! — z goryczą zaśmiał się ktoś u ściany stojący.

— Trzy rzeczy są na świecie najgorsze — z grzmotowym śmiechem wtrącił się Starzyński — wesz za kołnierzem, wilk w oborze i chciwy sąsiad za miedzą!

— Królowa Saba przed Salomonem przepowiadała, że szatan, zaraziciel dusz ludzkich, królestwo łakomstwa na ten świat sprowadzi! — żałośliwie wołał Apostoł.

Teraz jednak Strzałkowski, ów poważny człowiek w samodziślowej siermiędze i z myślącą twarzą, za stołem siedząc, powoli, z zastanowieniem, ale dobitnie mówić zaczął:

— Do mnie ani do mojej oklicy ten interes wcale nie należy, ale tak samo, jak Bohatyrowicze, w bliskim sąsiedztwie pana Korczyńskiego mieszkając, niejedną raz parzyłem się przy tym samym ogniu i sadzę od niego padającą na siebie niosłem. Jednakże ja tak mówię: żeby pan Korczyński po ludzku i po bratersku z nami żył i postępował, może by i sam na takiej kalkulacji lepiej wychodził, może by z tego i spólna korzyść wynikała. Bo ja tak mówię: u pana Korczyńskiego dużo ziemi, a u nas dużo rąk; u pana Korczyńskiego większy rozum, a u nas większa siła. Jednego on z nami rzemiosła człowiek i tyle tylko, że u niego warsztat wielki, a u nas maleńkie. Więc ja tak mówię: nijak być nie może, aby ręce nie przydały się ziemi, a ziemia rękom, albo żeby rozum nie potrzebował siły, a znów siła rozumu; albo też aby jednego rzemiosła ludziom nigdy już wcale nie przychodziło spólnie pogadać, i pomyśleć, i poratować się w potrzebie. Tedy ja tak mówię...

<sup>90</sup>mozol (gwar.) — zgrubienie i stwardnienie naskórka na ręce lub nodze. [przypis redakcyjny]

Łzy

Bieda, Dziecko, Ojciec

Ciało, Cierpienie, Łzy

Chciwość

Rozum, Siła, Sąsiad,  
Współpraca

Ale nie pozwolono mu dokończyć. Słowa poważnego sąsiada, jakkolwiek do najmniej zamożnych należącego — co i po ubraniu jego poznać można było — nie tylko podobały się zgromadzonym, ale gdy byli już aż do placu rozżaleni i na sercu upadli, obudzili w nich znowu ambicję i wiarę w siebie.

— A pewno! A jakże! A tak jest! — ze wszystkich stron wołano. — Nie zawsze umierać, kiedy tłuką falą! I my, chwała Bogu, żyjemy, choć nas wszelakie biedy i niedostatki gniotą. Z umarłego tylko nijakiej już korzyści osiągnąć nie można, a u żywego trzeba jej tylko poszukać. Raz pan Korczyński na całe pole i przed gromadą ludzi od próżniaków i hultajów nas lajał, kiedy w gorący czas robotnika znaleźć nie mógł, a my w najem do niego iść nie zechcieli. Pewno! Naturalnie! A jakże! Cudzem, a do tego i gardzielowi, ciał naszych i dzieci naszych ani na jeden dzień w niewolę nie zaprzędamy i na pańskie ubliżenie albo, broń Boże, i ekonomiczne popychanie dobrowolnie wystawiać się nie będziemy. Lepiej już głód cierpieć i w zgnilych chatkach mieszkać, niżeli w egipską niewolę za mamy pieniądze iść! Ale gdybyśmy w panu Korczyńskim nie cudzego i nie gardziela, ale przyjaciela i opiekuna naszego obaczyli, gdyby każdy mógł zaprzysiąc, że na jego polu obchodzenia się ludzkiego dozna, ho, ho!...

Tu kilkanaście głosów zaśmiało się grubo i triumfująco:

— Zobaczyłbyś podówczas pan Korczyński, czy my próżniaki i hultaje! I Niemnowej wodzie płynąć nie łatwiej, jakby łatwo gospodarstwo jego płynęło. Ot, te same kawalery i panny, co teraz w gumnie hulają i na Niemnie pieśni wywodzą, nieleniwie by około jego dobra chodzili, a jakby przez to jeden i drugi grosz z jego kieszeni na nas kapnął, to by i wspólny dorobek, i wspólna uciecha z tego wyniknęła. Alboż te kawałki ziemi, co u niego tak jak prawie marnują się, bo ani ich ugnoić, ani jak potrzeba zasiać niesilny! Oni by je chcieli w długoletnie dzierżawy brać, synów swoich rozsadziliby na tych dzierżawkach, dobroczynnie swego błogosławiąc i wiernie jemu według kontraktów uiszczając się. On mrze na pieniądze, bo ma długi i wielkie ekspensy; oni głód wielki na ziemię cierpią, bo małe grunciki, a wiele dzieci mają. Obydwom tedy stronom dogodziłby taki kompromis i Bóg to wie! Może też obydwie od ostatniego zginienia wyratował. Bo i pan Korczyński nie jak w raju na tym świecie żyje i nie nadmiar mocno na Korczyńcu jest ufundowany. Ludziom gęb nie pozatykać: gadają!

I wiele jeszcze różnych uwag i wniosków czynili do młodego słuchacza swego i, jak go nazwali, sędzi się zwracając, a zawsze kończąc wyrażeniem wątpliwości, aby właściciel Korczyńca zechciał przychylić się do ich prośb i żądań i inaczej na nich niżeli wilk na barany albo król na niewolniki swoje spoglądać.

— A ja tak mówię — raz jeszcze z zastanowieniem odezwał się poważny Strzałkowski — niechaj głowa nie mówi nogom, że jej potrzebne. Jak nędznemu, tak też i bogatemu lepiej nie samemu!

A Apostoł przemawiał:

— Anieli chcący nad innymi głowy podnieść ze wszystkim upadli!

Teraz z pierwszego uniesienia ochłonawszy, do zwykłej powolności mowy i ruchów wracać zaczęli. Przycichły głosy, uspokoiły się rozmachane ramiona. Wielu z tych, którzy środek świetlicy tłumem ruchliwym napelniali, w medytacyjnych postawach, na zydlach i stoikach zasiadło. Policzki na dłoniach poopierali, głowami wstrząsali, ten i ów rozwodził się jeszcze nad wszelakimi trudnościami ogólnego ich położenia. Jednemu Fabianowi trudno było do równowagi ducha powrócić i językowi milczenie nakazać. Do najbystrzejszych przy tym należąc, niektóre rzeczy, dla wielu innych obce lub zapomniane, rozumiał. Na brzegu stoła przysiadł, ramiona skrzyżował, głowę na pierś zwiesił i w tej melancholijnej postawie, powolniej niż wprzód, lecz długo jeszcze prawił:

— Żebyż to my onegdaj srokom spod ogonów powylatywali albo żeby ten, który pokazuje się nieprzyjacielem naszym, wczoraj z dopustu bożego od końca świata przybył, nie taką czuliśmy gorzkość. Cudzy, to cudzy! Ale my tutaj więcej prawie jak trzysta lat siedzimy, a panowie Korczyńscy może półtorasta<sup>91</sup> Korczyń w swoim rodzie trzymają. Jeden Bóg naszym ojcem i jedna ziemia matką. Tedy gorsze my niż zwierzęta: bo i między zwierzętami swój swego zna. Wilk wilka nie pożera i kruk krukowi oczów nie wydziobuje...

Sąsiad, Chłop, Szlachcic

<sup>91</sup>półtorasta (przestarz.) — sto pięćdziesiąt. [przypis edytorski]

Ktoś zza stołu przerwał:

— Kto komu teraz swój?

Walenty Bohatyrowicz powoli zawtórował:

— A ma się rozumieć! Nieboszczyk pan Andrzej to był swój!

— A jakże! — ozwały się westchnienia i głosy — jak jego nie stało, ojca i przewodnika nam nie stało. Krótko on żył na świecie, ale wiele dobrego zrobił, a bez niego my jak barany na rzeź odłączone zostali. Ni do kogo przytulić się, ni od kogo rady i światłości zaczerpnąć nie mamy. Zewsząd otoczyły nas granice, których przestąpić nam nie wolno, i znikąd nie spodziewamy się rady, jak w tym ścisku i ograniczeniu ratować się i postępować. Podczas już myśli takie nas nachodzą, że wnuki albo może i dzieci nasze, jak jeszcze troszkę rozmnożą się, wszystko porzucą, na koniec świata pójną chleba szukać, bo tu już go dla nich nie wystarczy. Już tylko o dusze nasze nieśmiertelne przed Panem Bogiem ubijać się nam trzeba, aby na psie nie zeszyły. Niejeden raz i przy każdej okazji my od pana Korczyńskiego słyszeli, że nadmiar głupi jesteśmy, to znów od szkodników i złodziejów on nas wyzywał. Może to nie ze wszystkim prawda, ale może trochę i prawda. Jednak winnymi się nie sądzim, bo i mądry robi się głupi, gdy go bieda złupi, a każdemu już wiadomo, że muchy gęściej na wrzodach siadać lubią jak na zdrowym ciele.

Bieda, Choroba, Głupota,  
Mucha

Jak wprzódę hałas i wrzawa przemieniły się w szmer głosów rozważnie i z wolna ciękących, tak teraz szmer ten roztapiał się w milczeniu. Fala uczuć, oburzeniem i trwogą wzdęta, opadała coraz cichszymi i nieśmielszymi skargami, aż na powrót do tych serc, zawsze ciepłych, wróciła i umilkła. Twarze ochłodziły i oschły z potu, nie pozbywając się przecież ani jednej ze swoich niezliczonych bruzd i zmarszczek; ręce na kolana popadały lub na stołach posplatane, od okrywającego je białego płótna jak grudy ziemi lub kromki razowego chleba odbijały. Fabian nawet ucichł i tylko ciężko dysząc, ze zjeżoną kępą wąsów, od czasu do czasu pomrukiwał:

— Nie cudzy my tu... nie z końca świata przybłądy... nie sroce spod ogona wczoraj wyskoczyli... Więcej niż trzysta lat pomnik naszych fundatorów na tej ziemi stoi... więcej niż trzysta lat, z ojca na syna, my tę ziemię rękoma naszymi drapiem i potem swoim zlewamy!... Włości nijakich my nigdy nie mieli i nikogo nie gnietli i nie ssali. Dla jakiejże przyczyny teraz marnie ginąć i przepadać nam wypadło? Dzieci nasze pod tymi grudkami ziemi, których powiększyć nie jesteśmy silni, jak głodne robaki nie w czas poginą, a wnuki, z dopustu bożego, chyba już na psy zejda... ród nasz jak woda z góry do głębokiego rowu z tego miejsca spłynie i pamięć o tym, że my tu kiedy żyli, przepadnie...

Przez otwarte okna wlatywał do świetlicy szelest topoli, a z daleka, zza wiszącego nad wodą księżycy i w wodzie stojącej kolumny złotej przyplływała chóralna, poważna, polonezowa nuta:

A gdy pomrzemy, a gdy pomrzemy,  
Każemy sobie,  
Złotne litery, złotne litery  
Wyryć na grobie!

#### IV

W obszernym domu korczyńskim paliły się tylko dwa światła: jedno w buduarze pani Emilii, drugie w gabinecie Benedykta. Wielki salon i większa jeszcze sala jadalna pogrążone były w ciemności, którą rozpraszać zaczynało niepewne jeszcze, tu i ówdzie na okna i na posadzkę kładące się światło księżycy. W tym półmroku rozlegały się ciężkie, nieustanne kroki. Ktoś przechadzał się po salonie tam i na powrót, w głębokim znać zamyśleniu. Zamyślenie to czuć było w miarowym, monotonnym stąpieniu przechadzającego się człowieka, a ile razy mijając jedno z okien wchodził on w słup księżycowego światła, ukazywała się w nim na chwilę i wnet znowu mieszała się z ciemnością postać jego wysoka, ciężka, z pochyloną głową, założonymi w tył rękoma, zwisającymi na pierś wąsami, tak samotna, jak gdyby pokój ten był pustynią a on jedynym jej mieszkańcem. Jednak za zamkniętymi drzwiami nieustannym jego krokom wtórował nieustannie też dźwięczący, przyjemny i delikatny głosik niewieści. Tam, w buduarze oklejonym papierem w po-

Kobieta, Książka, Miłość,  
Tęsknota

lne kwiatki, kobieta biała, cicha, cierpiąca, w białym negliżu<sup>92</sup>, wpołleżąc na pąsowym szezlongu<sup>93</sup>, przy świetle lampy coś bardzo misternego wyrabiała szydełkiem z włóczki i jedwabiu. Druga zaś kobieta, również delikatna, ale mniej piękna i strojna, a więcej zwiędła, z plastrem okrywającym dolną szczękę, śnieżną i labędzich kształtów szyję wyciągała nad książką, z której głośno czytała francuskie podróże po przyładku amerykańskim, zamieszkiwanym przez lud Eskimosów. Jedna czytała, druga słuchała o krainie lodów, fok, reniferów, chałup ze śniegu, zórz północnych, podbiegunowych nieskończonych nocy. Czasem przerywały sobie czytanie zamienianymi pytaniami i uwagami. Ręce z szydełkiem na kolana opuszczając, jedna z nich zapytywała:

— Jak myślisz, Tereniu: czy wśród Eskimosów istnieje prawdziwa, gorąca, poetyczna miłość?

Teresa nie odpowiedziała. Zamyśliła się głęboko. Z labędzią szyją, pod światło lampy wyciągniętą, końcami palców dotykała bolącej i leczniczym plastrem oblepionej szczęki. Erotyczne tęsknoty i marzenia dreszczami przebiegały wątle ciała dwu tych kobiet i twarze ich okrywały wyrazem cierpienia.

— Czytaj dalej, Tereniu...

Czytała dalej, ale po kwadransie znowu czytanie przerwać musiała. Za oknem, kędyś z dołu, podniósł się wielki, poważny, chóralny śpiew. Pani Emilia od stóp do głowy zdrżała. Przelękała się. Z rozszerzonymi nieco od przestrachu źrenicami zapytywała:

— Co to? Co to znaczy? Co to być może?

Teresa, chociaż także drgnęła nerwowo, wkrótce domyśliła się prawdy i towarzyszkę uspokoiła. Były to pewno śpiewy tych ludzi, którzy zjechali się na wesele, na które poszła panna służąca, Zofia.

— Nieznośni! Czytać nam przeszkadzają! O, co za hałas! Moja Tereniu, każ zamknąć okiennice i zapuścić sztorę!

Po dwóch minutach okiennica była zamknięta i gruba sztor zapuszczona; do zamkniętego szczelnie buduaru żaden już prawie odgłos z zewnątrz nie dochodził, a przy głośnym czytaniu Teresy, od ściany do ściany i od podłogi do sufitu, wśród zmieszanych woni perfum i lekarstw, napełniły go obrazy niezmiernych lodowców, nieskończonych nocy, jaskrawych zórz północnych, fok, reniferów i chałup ze śniegu.

Ale po pustym salonie przechadzający się człowiek przy dolatujących z dołu pierwszych dźwiękach chóralnej pieśni stanął jak wryty. Stanął w zupełnie ciemnym punkcie salonu, tak że go wcale widać nie było, i stał dość długo. Zapewne słuchał. Może nawet słuch natężał i pochwytywał słowa pieśni.

Szumiała dąbrowa, wojacy jechali...

Znowu chodzić zaczął. O, jak to dawno, dawno było, kiedy te dźwięki i te słowa o jego młode, świeże, gorące serce...

Stanął znowu.

Nie było, nie było,  
Matko, szczęścia tobie...

Z ciemnego punktu salonu wydobyło się i nad ścielącymi się po posadzce smugami księżycy popłynęło długie westchnienie:

— Nie było szczęścia... o, tak, nie było szczęścia...

Wszystko się zmieniło,  
A twa dziatwa w grobie!

Wyszedł z ciemności i przez pas światła przechodząc półgłosem powtórzył:

— W grobie! Gdybyż wszyscy... w grobie!

<sup>92</sup>negliz — niekompletny ubiór, zwykle dzienna lub nocna bielizna. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>szezlong — kanapa w kształcie wydłużonego fotela, na której można odpoczywać w pozycji półleżącej. [przypis edytorski]

Nie mógł słuchać. Nie mógł dłużej słuchać tych dźwięków i słów, które wzbijając się spod stóp wysokiej góry zdawały się spływać z promiennego szczytu jego życia, z dawno opuszczonego szczytu jego świeżej, górnej, gorącej młodości...

Ciężkim, ciągle miarowym, choć przyspieszonym nieco krokiem przebył się zupełnie ciemną, salę jadalną, do której zaglądał księżyc, i wszedł do gabinetu oświetlonego palącą się na biurku lampą. Pokój ten był nie tylko pracownią, ale zarazem sypialnią i, rzecz dziwna, zarówno jak przeciwek Anzelma, przypominał klasztorną celę. Jak tam, tak i tu czuć było życie twarde, samotne, z miękkich wybredności i wesołych uciech odarte. Oprócz żelaznego łóżka ze szczupłą pościelą i pięknym niegdyś, lecz starym dywanem, wielkiego biurka, kilku krzesel i starej szafy, po brzegi księgami gospodarskimi napelnionej, nic tu więcej nie było. Na ścianach tylko wisiało kilka rodzinnych fotografii i para strzelb pośród niedźwiedziej skóry skrzyżowanych. Przez wpółotwarte okno do pokoju tego naleciało mnóstwo białych nadniemeńskich motylków, wzbijało się pod sufit, krążyło dokoła lampy i z rozpiętymi, krepowymi skrzydłami padało na okrywające biurko księgi i papiery. Benedykt usiadł przed biurkiem i wpatrzył się w te śnieżne, skrzydlate stworzonka. Coś mu one przypominały: jakiś moment bardzo odległy, lecz niezmiernie ważny, jakiś w życiu jego punkt zwrotny... Niegdyś, dawno temu, był wieczór bardzo do tego podobny, równie ciężki i ponury. Te motylki, tak samo jak teraz, kręciły się koło lampy i na rachunkowe książki padały... On coś wtedy postanawiał, i postanowienia nie dokonał, coś miał uczynić, i nie uczynił... Co to było? Brat... syn... A! Brat! Wyciągnął rękę i spod przycisku wyjął list, już przeczytany, lecz który po raz drugi chciał przeczytać. I wtenczas było tak samo. Wyjmował spod przycisku list brata i czytał go, zastanawiał się nad zawartymi w nim radami. Potem już zaledwie kilka razy przez lat kilkanaście zamienili się listami, i to tamten zawsze odzywał się pierwszy, on zaś odpowiadał czasem po paru latach, krótko, zimno... Bo po cóż? Dziś znowu list od Dominika otrzymał i miał takie uczucie, jak gdyby każdy jego wyraz spadł mu na serce ciężkim kamieniem, a w serce piekącą łzą. Już zdawało mu się nieraz, że tyle tylko o bracie pamięta, ile o każdym, najobojętniejszym i bardzo dawno spotykanym człowieku, że wcale on dla niego nie istnieje. Jednak dziś znowu się przekonał, że tak nie było. Swoja krew, swój ból, swoja hańba! Nic nie pomoże. Całą godzinę po salonie chodził, z myślami i wspomnieniami bił się, oburzał się, żółcią pluł, a teraz znowu ten list przeklęty spod przycisku wyjął i czytać zaczął, tak zupełnie jakby rozkosz ostrą i podniecającą w męczeniu samego siebie znajdował:

Kochany bracie,

Zdaje się, że już ze trzy lata od ciebie wiadomości nie miałem; na ostatnie moje *pismo* nie zaszczyciłeś mnie odpowiedzią. Ja jednak piszę, aby *rozdzielić* z tobą moją radość, z dwóch przyczyn wynikającą. Pierwsza przyczyna ta, że już, chwała Bogu, jestem od roku tajnym sowietnikiem, a jeżeli Bóg życia przedłużyć raczy, może mnie kiedy i z *krzesłem w senacie* powinszujesz. *Jakie by tam nie były* twoje przesady i uprzedzenia, zawsze to miło mieć brata senatora, a tymczasem i tajny sowietnik wstydu tobie nie robi. Przy tym na wypadek jakiego nieszczęścia czy ważnego interesu dobrze wiedzieć, że w swoim rodzonym bracie masz dobre plecy. Ot tak, powiodło się mnie na służbie, za co dla naszego ojca wieczną mam wdzięczność, bo gdybym w uniwersytecie nie był i nauki nie miał, nigdy bym do tego stopnia, na którym teraz stoję, nie doszedł...

Benedykt ręce z listem na kolana opuścił; gorzki uśmiech błędził mu pod długimi wąsami, oczy szklisto wpatrywały się w przestrzeń. Może przez wyobraźnię wywołana stała przed nim postać ojca, której zapytywał:

— Czy w tym celu?... czy dla takiego rezultatu? Czyś mógł przewidzieć... spodziewać się?... Jeżeli z tamtego świata patrzysz... Widzisz... czy Stwórca za nieśmiertelność dziękujesz?

Drugą przyczyną radości Dominika, którą dzielił się z dawno niewidzianym bratem, było świetne wydanie za mąż najstarszej córki. Za pułkownika wyszła. Dla panny bez posagu była to partia świetna. Jakkolwiek bowiem powodziło mu się na służbie, funduszu nie zebrał i córce posagu żadnego dać nie mógł. Wyprawił jej tylko wesele świetne,

Motyl

Brat, List, Polak, Rosjanin,  
Urzędnik, Zdrada



którego opis zajmował całą stronicę listu. Jeden książę, dwóch baronów i czterech jenerałów wesele to zaszczyciło. Zresztą, zięć jego sam za lat kilka pewno jenerałem zostanie. Co się tyczy dwóch jego synów, to jeden był jeszcze mały, a drugi starszy, kształci się w szkole wojennej, wielki do wojskowości pociąg czując. Potem kilkanaście wierszy listu zajmował opis zabaw i przyjemności, które przez ostatnią zimę napelniały stolicę. Włoska opera była szczytem doskonałości, a kilka balów przewyższyło przepychem wszystkie dotąd widziane...

Nie dokończywszy czytania Benedykt rzucił list na biurko. Jak te motylki fruwią, fruwią dokoła lampy i na rachunkowe księgi padają! Rzeźwy wiatr wnika przez wpółotwarte okno. W domu i w sercu cicho, ciemno, ponuro. Kiedy to był taki sam wieczór? A! Po owej rozmowie z żoną, w altanie. Pamięta. Wtedy po raz pierwszy dokładnie rozpoznał ten słodki egoizm i tę wdzięku pełną niedołążność ciała i ducha. Wtedy też powiedział sobie, że nie ma już żadnego brata. Trzech ich było, on jeden pozostał. Cóż? Wszędzie to samo. Z trzech, a gdzieś indziej i z dziesięciu, niekoniecznie braci, ale rówieśników, przyjaciół, jeden pozostał. Zupełnie tak, jakby z kogoś wyciekł strumień krwi, a tylko tu i ówdzie pozostałe jej krople tułały się po żyłach z osobna, skurczone, skrzepłe... Ale co stało się wtedy, owego wieczora, kiedy do dzisiejszego tak był podobny? Coś go wtedy pocieszyło, podźwignęło... do tego miejsca przykuło... Syn! I jak obraz ze zmroku na jasny dzień wysunięty stanął przed nim wyraźny, doskonale widzialny moment dalekiej przeszłości. Otworzyły się drzwi pokoju, wbiegła przez nie istota ludzka młodzianka, swawolna, skacząca i ze szczebiotem, z pieszczotą wskoczyła mu na kolana. Drobne ramiona objęły jego szyję, niewinne oczy zajrzały w posępne źrenice, świeże, dziecięce usta pocałunkami rozglądziły wszystkie zmarszczki i wszystkie chmury pozdejnowały mu z twarzy.

„Widzi! Kochasz ty Niemen? Lubisz ty te motylki? lubisz ten bór za Niemnem, w którego głębi, w cieniu jodeł, zapomniany i nieuczczony twój stryj usypia snem wiecznym?”

Dziecko już wtenczas to wszystko kochało, a on, pokusy i rady gdzie indziej go wabiące odepchnawszy, wziął znowu krzyż swój na barki i — jeden z trzech — tu pozostał...

Co to? Spieszne kroki ozwały się w przyległym pokoju, otworzyły się drzwi — te same, co wówczas — do gabinetu wbiegł zgrabny, wysmukły, młody człowiek. Znowu on! Tylko dorosły teraz i tak dojrzały, jakby każdy rok przez niego przeżyty w widokach i wrażeniach życia, na kształt ziarna w sokach ziemi, rósł nad miarę i nabrzmiewał. Przez pokój przyległy biegł, ale u drzwi gabinetu zatrzymał się i prędko oddychając, chustką powiódł po rozognionej i spotniałej twarzy. Przybywał widać z miejsca napelnionego upałem i ścisaniem, a gdy twarz odsłonił, zdawać się mogło, że było ono także miejscem męczarni. Niewysłowiona męka biła mu z oczu i zmarszczkami występowała na czoło. Benedykt żywy ruch na fotelu uczynił, naprzód się podał.

— Witold!

Wejście syna było dla ojca niespodzianką.

— A co? Skąd przychodzisz? Czegożeś taki rozgrzany i zmęczony?

Młody człowiek, nie odpowiadając, naprzód postąpił i przed ojcowskim biurkiem stanął.

— Mój ojciec...

Zawahał się, oczy spuścił i po kilku sekundach dopiero, zwykłym sobie ruchem determinacji ręce w tył zakładając, z cicha dokończył:

— Przychodzę, mój ojciec, z ustami i sercem pełnymi... skarg!

— Na kogo? Czyich? — zapytał Benedykt.

— Ludzkich... na ciebie, ojciec!

Benedykt oczami błysnął.

— Na mnie, cóż? Czy kogo na drodze zrabowałem albo czyje dziecko na śniadanie zjadłem?

— Na wszystko cię błagam, ojciec — zawołał Witold — porzuć ten ton drwiący i rozjątrzony, z jakim przemawiasz, ilekroć pewnych stron życia dla mnie nad życie droższych, dotykamy!... Młody jestem, to prawda... lecz cóżem winien temu, że natura zamiast serca nie włożyła mi w piersi busoli z igłą zwróconą ku drodze użycia, zysków i... świetnej kariery.

Obowiązek, Ojciec,  
Ojczyzna, Syn

Wzrok Benedykta przemknął po leżącym na biurku liście Dominika, jakby go ku niemu ostatnie wyrazy syna pociągnęły.

— No dobrze — zaczął — czyż ja kiedy tego pragnąłem, czyż wymagam od ciebie, abyś bił pokłony złotym cielcom? Czego chcesz?

— Dla siebie, ojcze, nic nie chcę, dla ludzi... wiele!

— Androny<sup>94</sup>! — krzyknął Benedykt i żywo podnosząc się z fotela, z płomieniem w oczach, z brwią namarszczoną mówił, a raczej wołał dalej: — Wiem, gdzie byłeś! Domyślam się, co ci tam nagadali! Skarżą się, że dobro ich zagrabiłem, że ich ze skóry obdzieram, prawda?

— Tak, ojcze!

— Czekażże więc!

Z tymi słowami ku szafie się rzucił, spory zwój papierów z niej wyjął i do biurka wracając, mówił:

— Popatrz i przeczytaj! Musisz popatrzeć i przeczytać! Musisz przekonać się, że ten kawał ziemi, o który mi oni proces wytoczyli, do Korczyna zawsze należał... Musisz zawstydić się za posądzenie, że twój ojciec kogokolwiek okradać chce... Do tego jeszcze nie doszedłem... Nie! Jakimkolwiek jestem, do tego jeszcze nie doszedłem... Musisz zawstydić się!...

Gdy plan Korczyna na biurku rozkładał, wielkie ręce jego drżały, ale hamując się długo, po planie palcem wodził ze starych dokumentów wyjątki czytał, mówił, dowodził. Potem prostując się i wzrok na syna podnosząc zapytał:

— Cóż? Wstydzisz się teraz? a?

— Nie, ojcze! — odparł Witold.

— Jak to? Nie przekonałem cię?

— I wprzódę przekonany byłem, że myśl nawet o przywłaszczeniu sobie cudzej własności przejść ci, mój ojcze, przez głowę nie mogła...

— Więc cóż? Więc o co chodzi? Więc czyjaż w tej sprawie wina?

Witold ręce w tył założył i śmiałymi oczami pałający wzrok ojca spotykając odpowiedział:

— Twoja, ojcze!

— Facecja<sup>95</sup>! — wybuchnął Benedykt. — Oni, jak tabaka w rogu ciemni, wierzą każdemu pokątnemu doradcy, który z nich sobie trzodę dojnych krów chce uczynić; oni na każdym kroku wyrządzają mi psoty i szkody...

— Przebacz, ojcze — przerwał Witold — dlaczego oni ciemni jak w rogu? Dlaczego chciwością pożerani? Dlaczego nieprzyjaźni?... Czy niczyjej, niczyjej winy w tym nie ma, tylko ich jednych?

Czy treść tych zapytań, czy szczególny dźwięk głosu syna tak uderzyły Benedykta, że umilkł, z ciężkim westchnieniem rzucił się na fotel i wahającym się głosem przemówił:

— Dlaczego? Dlaczego? Ha! Gdybyż to można było wszystkie czarne mary i ciężkie plagi życia zapytywać: skąd? Za co? Dlaczego?

— My je zapytujemy — podchwycił Witold — tak, mój ojcze, całą siłą umysłów i serc naszych zapytujemy, a one czasem nam odpowiadają! Ta, o której teraz mówimy, odpowiada: „Zrodziły mię omamienia i nienawiści wieków; zagłada moja w świetle i w miłości”...

Teraz wszystko, co zbierał z książek i od ludzi, wszystko, co włożyła w niego natura, a rozjaśniła i potwierdziła nauka, wylewać mu się zaczęło z ust wymownych i drżących. W szerokich zarysach kreślił demokratyczne idee i teorie, od których urzeczywistnienia, zdawało się mu, zależy skrzepnienie i odrodzenie narodów, jego narodu nade wszystko. Podporę dla najwyższych myśli i podbojów, na które w ciężkiej, wiekowej pracy zdobyła się ludzkość — a którymi u szczytów miały poddmuchy chciwości i okrucieństwa — ratunek dla krwawych cierpień, które lasem rąk do nieba o pomstę wyciągniętych wyrastały z gruntu oranego przez złość i przemoc, widział on w ludzkim zrównaniu się i zbrataniu, w ukuciu spójnego łańcucha z ogniw, dotąd przez pychę, zawiść, chciwość, niewiedzę z sobą rozdzielanych. Od abstrakcji mających dla niego urok taki, że mówiąc

<sup>94</sup>androny — głupstwa; najczęściej w wyrażeniu: pleść androny. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>facecja (przestarz.) — krótkie zabawne opowiadanie; tu: głupstwo. [przypis edytorski]

o nich wyglądał jak człowiek w niebo zbawienia zapatrzonej, niespokojnie przebiegł do powszedniej, palącej go rzeczywistości, opowiadał wszystko, co widział i słyszał tam, skąd przybył, powtarzał prośby, z którymi go tu przysłano, skargi i obwinienia, które szumiały mu jeszcze w uszach i paliły serce.

Benedykt nie przerywał już, milczał, a biegly chyba znawca dusz mógłby odgadnąć, jakie uczucia zapalczywa mowa młodzieńca budziła w jego przedwcześnie uwiędłej duszy. W fotelu zagłębiony, przygarbionymi trochę plecami do poręczy jego jakby przyrósł; od bledszej niż zwykle i w tysiąc zmarszczek połamanej twarzy długie wąsy nieruchomo na pierś mu zwisały; oczy jego czasem mąciły się aż do dna i powieki na nie opuszczały, to znowu podnosił je i namiętne płomienie na syna z piwnych źrenic ciskał. Jak grób milczał i jak w grobie odbywały się w nim rzeczy posępne i tajemnicze. Czy przejmujące go z kolei uczucia były wstydem, żalem lub gniewem — to pewno, że cierpiał, a cierpiąc czuł jednak, że z obfitych i gorących słów syna powstawała i o pierś mu uderzała jakaś fala błękitna, śpiewna, niegdyś mu dobrze znana, lecz przez życie pochłonięta, a teraz niby z przepaści życia ku niemu powracająca. Z daleka, bardzo z daleka dochodziły tu jeszcze urywane nuty starych pieśni nad osrebrzoną powierzchnią Niemna chórem śpiewanych; u okna białe motylki z lekkim stukiem na biurko padały, krepowymi skrzydłami o księgi rachunkowe i rozłożony plan Korczyzna trwożliwie bijąc. Rzucił na nie czasem wzrokiem i spotykał nim także ku brzegowi biurka odrzucony i szeroko rozarty list Dominika. Ilekroć spojrzenie po tym liście przesunął, tylekroć usta, mające już gwałtownym słowem wybuchnąć, zamknął, zmacony wzrok ku ziemi spuścił i znowu milcząc, coraz pilniej, z coraz boleśniejszym prawie wyężeniem wsłuchiwał się w mowę syna. Witold bardzo blady, z drżącymi rysami, przytłumionym głosem mówił:

— Ty o tym wszystkim nie wiedziałeś, ojcze? Prawda, że nie wiedziałeś? O ich strapieniach, opuszczeniu, niebezpieczeństwach... o tych złorzeczeniach, którymi cię okrywają... o tych dobrych uczuciach, którymi są gotowi każde tve dobrodziejstwo, każdy promyk światła, który by od ciebie padł na nich, odplacić... nie wiedziałeś? Powiedz mi, mój ojcze, o, powiedz mi, żeś o tym wszystkim nie wiedział i że tylko niewiadomość... Jak oni stryja Andrzeja wspominają... za miłość, z jaką zbliżył się do nich, za trochę światła, za to, że duszę ludzką w nich budził... jak go wspominają! Ale ty o tym nie wiedziałeś, ojcze, nie myślałeś... i tylko dlatego...

Nagle umilkł. Coś mu głos zerwało, może łzy z całej siły powstrzymywane czy ściśnięcie się serca oddech tamujące. Po zbłednym czole dłonią powiódł, plecami oparł się o ścianę, na której śród skóry niedźwiedziej połyskiwały skrzyżowane strzelby.

Benedykt zdawał się jeszcze słuchać i czekać. W ziemię patrzył.

— Cóż — odezwał się — coż dalej? Mów... sędzio! Słucham! Chcę cały swój wyrok usłyszeć... Czy na gardło mię skążesz, czy tylko — na wieżę? A?

Ile w tych słowach było bezdennego smutku, Witold nie dosłyszał; zrozumiał tylko ich ironię i szal bólu zaświecił mu w oczach. Wyprostował się, drżał cały.

— Nie masz prawa, mój ojcze, igrać tak z najświętszymi uczuciami mymi! — zawołał. — Młody jestem! Cóż stąd? Nam, dzieciom czarnej nocy, jak żołnierzom w porze wojny, rok za dwa liczyć się powinien! W upale cierpień prędko dojrzewamy!

Wpół ze zdumieniem, wpół z ironią Benedykt sarknął:

— Cierpień! Ty... ty cierpieleś?

— Więc myślisz, ojcze, że ci, których młodość gotowa istotnie w każdej jaśniejszej chwili wytrysnąć swawolą i śmiechem, nie rozglądają się przecież wkoło siebie, nie rozumieją, nie czują kurczów chłostanej dumy, nie mają litości, która w nich płacze, i trwogi o rzeczy drogie, która w nich krzyczy: „Ratunku!” i o ten ratunek zapytywać im każe wszystkich dróg czynu i wszystkich otchłani myśli? Kto tak mniema, niech o to zapyta naszych w poranku przekwitających twarzy, oczu od wpatrywania się w oblicze wiedzy przedwcześnie znużonych i tego, czego nikt dojrzeć nie może: tych wulkanów żalu, obrazy, nadaremnych porywów i złorzeczeń, które wrą nam w piersiach! Młody jestem! Cóż stąd? Kiedy już z życia tyle wyssałem piołunowych soków, ile ich trzeba, ażeby w głowie szumiały pytania: skąd? Za co? Dlaczego? W takich pytaniach dusze dojrzewają prędko!...

Teraz w szerzej niż zwykle rozartych oczach Benedykta malowało się osłupiałe prawie zdziwienie. Ten chłopak, ten mały — jak go dotąd jeszcze w myśli swej nazywał — już z bliska dotknął kąpieli cierpienia, w której on sam nurzał się od tak dawna; co więcej,

Młodość, Niewola, Ojciec,  
Syn

z jednego źródła były na nich obu kipiące i gorzkie jej wody. Przypomnił sobie teraz, że po wielokroć uderzały go były i niepokoiły jakieś blade cienie po twarzy tego młodzieńca błędzące, mgły znużenia przyćmiewające czasem ognistość jego wzroku, pierwsze zarysy zmarszczek na czole, które, według praw natury, jaśnieć powinno było nieskazitelną świeżością poranku i wiosny. Pochylił się, szyję wyciągnął, wpatrzył się w syna. Tak; było to istotnie dziecię dnia burzliwego i ciemnej nocy. Nigdy w jasną pogodę pąki kwiatów nie rozwierają z tak męczeńskim pośpiechem tak purpurowych kielichów. Łatwo było poznać, że ta rozmowa z ojcem sprawiała mu nieopisaną mękę i że ku tej męce popychała go, tak jak niezawodnie ku wszelkiej innej popchnąć by musiała, siła przekonań i uczuć, pracująca w nim z nieprzewyciężonością i bezwiednością krwi, w żyłach człowieka krążącej. Dłonią szczupłą, taką, jaką miewają ofiary górnych marzeń, ale której namiętne ujęcie silne i uporczywe być musiało, wodził po czole strapionym, udręczonym, nad rozgorzzałymi żrenicami bladym.

— Ciężko... straszno... straszno mi tak mówić do ciebie, ojcze! Rozdarty jestem pomiędzy tobą a tym, co mi nad ciebie, siebie, nad wszystko droższe... Nie jam jeden taki! Co sprawiło, że pełni jesteśmy bezbrzeżnej litości nad maluczkimi mrówkami i kretami ziemi, że w ciemne i ciasne ich podziemia iść pragniemy i idziemy, choćby wśród nich oczekiwało nas całopalenie własnego ciała i serca? Co sprawiło, że nie możemy, choćby w pokładzie złota, tkwić z nieruchomością grzybów, ale pragniemy biec, ratować, pocieszać, uczyć, budzić, wskrzeszać? Co to sprawiło? Czy pochod wieku, którego jesteśmy dziećmi? Czy wezbrane morze myśli ludzkich, którego sami jesteśmy żeglarzami? Czy to inne morze cierpień, które zalewając nam serca i gardła, budzi w nas jasną i wczesną świadomość powszechnego bólu świata i bezbrzeżne dla niego współczucie? Ale to współczucie, te święte dla nas idee, razem z krwią krążą nam w żyłach, z mózgiem myślą, z sercem tętnią... one są epopeją naszą, z nich powstają nasze tragedie... One też są naszą jedyną nadzieją! Jaką nadzieją! O, jej imienia, ty, ojcze, wspominać zabraniasz... tu nie wolno żadnego świętego imienia wspominać, bo ciągnie ono za sobą bladą marę strachu! A ten strach wieczny... ta ostrożność niewolników, których drżeniem przejmuję sam nawet brzęk ich łańcuchów... to zagrzebanie szlachetnej duszy w prochu bojaźni i interesu... ta obojętność dla wszystkiego, co nie żywi i nie odziewa ciała... ten brak miłości dla ziemi i ludzi...

— Witoldzie!

W tym wykrzyku, który Benedykt rzucił w mowę syna, był taki gwałt i bólu, i gniewu, że młodzieniec umilkł, nagłym zamyśleniem ogarnięty. Pochylił głowę.

— Wiem, ojcze, że bardzo byłem zuchwały — dziwnie zmienionym głosem zaczął. — Pomiedzy sobą i tobą wzniosłem zapewne ścianę nieprzebitą i która rozdzieliłaby nas na zawsze, gdybym po tym, co się stało, żył jeszcze... Ale jeżeli martwy u nóg twoich padnę, przebaczysz mi... prawda? Przebaczysz? I znowu tak samo kochać mię będziesz jak niegdyś?... Tylko umarłemu dziecku przebaczyć można taką zuchwałość i taką obrazę... Coś mam w sobie, ojcze, co mię ku ciemnym otchłaniom popycha...

Mówił to cicho i z tym cichym żarem żrenic, którym się objawiają najniebezpieczniejsze, skupione w sobie szale; przy tym ruchem powolnym, a coś stanowczego w sobie mającym, wyciągnął rękę ku jednej z wiszących na ścianie strzelb. Benedykt porwał się i jak płótno błady w mgnieniu oka za ramiona go pochwycił.

— Wariacie! dziecko! Co ty robisz! Czemuż nie? Ty i na to gotów jesteś! U was nawet taka zaraza panuje... Tuziny was teraz kule w łeb sobie pakują! Ach, ty! Mądryś taki, a zielono ci w głowie... O, te idee, te ideały... te... to, tamto... które tych błaznów do takich nawet rzeczy doprowadzają... Boże miłosierny!

Strzelbę, którą dziś sam w obecności syna nabijał, z rąk mu wyrwał, na ścianie zawiesił, lecz w zamian obie ręce młodzieńca pochwycił i z całej siły w szerokich swych dłoniach je ścisnął. Prawie straszna była w tej chwili jego twarz ciemna, pomarszczona, wąsata, której groza myśli i przewidywań szeroko rozwierała oczy i podnosiła włosy nad zbladłym jak chusta a kroplami potu świejącym czołem. Z wyciągniętą ku synowi szyją oczy w nim zatapiał, szeroko otwarte, przerażone.

— Wiesz ty? — szeptał — wiesz? może nie wiesz? ale ja to wiem... widziałem... wszak ty zginiesz! Czy słyszysz? Z tą zapalczywością swoją, z tym ogniem... z tym... to... tamto... zginiesz!...

I coraz mocniej ręce syna ściskając, powtórzył jeszcze po wielokroć:

— Zginiesz! Zginiesz! Niechybnie zginiesz!

Aż z ogromnym westchnieniem, które jak wichur do samego nieba, zda się, dotrzeć chciało, wymówił:

— Boże! Boże!

Tak samo niegdyś, z tą samą grozą w chacie Anzelma przed oknem ciemnością nocy zasłoniętym imienia boskiego przyzywał. Ale tym razem z ciemności, które mu przed oczami zapadły, wydobył się głos młodzieńczy, łagodny i dziwną jakby melodią przejęty:

— Ojciec mój, nie lękaj się i nie żałuj, jeżeli dziecko twoje zginie na mlecznej drodze przyszłości, w blasku jutrzeńki, w ogniu ofiary! Nie są także zginionymi ci, którzy chodzą po nizinach samolubstwa, zaprzaństwa<sup>96</sup>, rozkoszy ciała i nędzy ducha?

Słowa te niezmożoną siłą przyciągnęły znowu wzrok Benedykta ku szeroko na biurku rozwartemu listowi. Przez chwilę wspominał, myślał, aż serce jego gwałtownym rzutem skoczyło od tego brata, który dumny, zadowolony, dostojeństwami okryty po świecie żywy chodził, ku temu, który od dawna z krwawą plamą na młodym czole pod wilgotną ziemią starego boru spoczywał. Długo jeszcze patrzył na syna, aż ręce jego z żelaznego dotąd uścisku uwalniając, obie dłonie ku czołu podniósł i głucho wyszeptał:

— Krwi moja! Młodości moja! Falo, która nas niosłaś... powracająca falo!...

Z głową schyloną, z dłońmi u czoła, ze zgmatwaną gęstwiną włosów, odchodził ku biurku, niby w śnie powtarzając:

— Powracająca fala! Powracająca fala!

Były w tym szepcie groza i — zachwycenie.

Potem odkrył twarz i jedną rękę o biurko wspierając wyprostował się, głowę podniósł. Zmienił się dziwnie. Blask oczu jego wilgotny był i jakby rozmarzony, postawa dumna. Na syna patrzył.

— Słuchaj — zaczął — jeżeli wam się zdaje, że wy to pierwsi wymyśliście wszystkie szlachetne uniesienia i wzniosłe idee, że wy pierwsi poczęliście kochać i ziemię, i lud, i sprawiedliwość, popełniacie błąd gruby i grzech przeciw sprawiedliwości...

Zatrzymał się na chwilę; tak już dawno w ten sposób i o takich przedmiotach nie mówił, że może słów mu zabrakło albo myśli splątały się w głowie. Ale powracająca fala odnosiła mu wszystko, co życie zabrało, i przypominała wszystko, co niegdyś umiał, wiedział, czuł.

— I w naszych ustach — mówił dalej — brzmiało niegdyś hasło poety: „Młodości! Ty nad poziomy ulatuj!”, i myśmy latali na mleczne drogi i w blaski jutrzeńki, i w ognie ofiary! Ten lud... to wasze bożyszcze... Boże wielki! To żeśmy się ku niemu jak szaleńcy rzucili, jak w słońce w niego wierzyli, jak w zbawienie zapatrzyli, na rękach prawie podnieść go usiłowaliśmy, dobro nasze i samych siebie słałiśmy przed nim... Krzywdy przez ojców jeszcze zrządzone własnymi choćby ciałami pragnęliśmy zmieść ze świata i z jego pamięci... A ziemia? Boże! Dzieckiem, chłopięciem, młodzieńcem, ja każdą roślinkę, każdą kroplę wody, każdy jej kamień kochałem... mógłbym być wrogiem ludzi, którzy z niej powstałi? To ja... ale niemało, niemało nas takich było! Śmiech bierze na wspomnienie! Młodzi mędracy... poeci... rycerze... apostoły... wskrzesiciele... górne marzenia... wielkie nadzieje... ogniste zapaly! Wszystko jak w wodę wpadło! Śmiech na wspomnienie bierze!

Zaśmiał się istotnie z oczami pełnymi łez. Drżącym głosem, lecz z głową podniesioną zaczął znowu:

— Słuchaj! Korczyńskim braku ideałów, braku miłości dla... dla...

Stare przyzwyczajenie język mu splątało. Zająknął się.

— Dla... to... tamto... — jękał.

Ale powracająca fala znowu go błękitem i ogniem oblała:

— Braku miłości dla ideałów Korczyńskim zarzucić nikt nie ma prawa. Jeden ją życiem opłacił... drugiego zawiodła ona tam, gdzie honor i ludzką cześć stracił... trzeci... trzeci przeżył życie zazdroszcząc temu, który w mogile leży!

Teraz dopiero te łzy, które napelniały mu oczy, spadły z nich dwoma wielkimi kroplami i ze zmarszczki na zmarszczkę toczyły się po policzkach. Ręką machnął, na fotel

Brat, Dziedzictwo, Idealista,  
Ojciec, Syn, Zdrada

Idealista, Kłeska, Lud,  
Młodość, Dorosłość

<sup>96</sup>zaprzaństwo (daw.) — dopuszczenie się zdrady, zaparcie się prawdy, ideałów itp. [przypis edytorski]

opadł i szeroką dłonią zasłonił sobie czoło i oczy. O dwa kroki od niego na krześle siedzący Witold, osłupiały, niemy, chciwymi oczami wpatrywał się w ojca, domyślając się istoty i natury tej siły, która go tak dziwnie wśród rozmowy z nim przetworzyła. Zresztą w domysłach tonąc nie potrzebował. Jak kipiątek długo i szczelnie zamknięty po zerwaniu pokrywy z gwałtem i szumem wylewa się na zewnątrz naczynia, tak gorycze, żale, gniewy napelniające to strute i chmurne serce wybuchały zeń obfitymi i namiętymi słowami. Natura nie stworzyła go milczącym i skrytym. Był czas, w którym dom ten rozlegał się cały od dźwięku jego głosu, hojnie wśród zbierających się tu tłumów rozrzucającego hasła, nauki, namowy, rozprawy, sprzeczki. Ale potem strasznie uciszyło go życie. Sto przyczyn na sto zamków zamknęło mu usta. Płynęły dni za dniami, lata za latami — on milczał. Z czasem i z samym sobą rozmawiać przestał o tym wszystkim, o czym dawniej rozmawiał z mnóstwem ludzi. Tak już przywykł. Dziś dopiero rozmowa z synem zerwała z jego serca kamienną pokrywę i otworzyła mu usta. Był to opowiadanie? Była to odpowiedź? Był to usprawiedliwienie się przed tym dzieckiem tak niezmiernie kochanym, a które mu dziś w oczy rzuciło gradem wyrzutów, prawie obelg? Potrzebę tego ostatniego podszeptowało mu sumienie: „Wytłumacz, wytłumacz, dlaczego cię to dziecko znalazło takim, jakim się stałeś, i dlaczego straciłeś to wszystko, co je napelnia, a coś i ty w równej mierze niegdyś posiadał!” Serce w nim także wołało: „Mów, bo inaczej nie pęknie i nie runie nigdy ta ściana, która wzniosła się pomiędzy tobą a tym dzieckiem, tą krwią krwi twojej, tym powtórzoną obrazem twojej młodości, tą — powracającą falą wiary, nadziei, czarodziejskich i bohaterskich snów o nowych jutrzeńkach i ofiarnych stosach!”

Serce, Słowo, Ojciec, Syn,  
Dziedzictwo

Przemiana

Mówił, opowiadał, co stało się i działo potem, gdy wszystko wpadło w wodę. Dawne to dzieje. Zdaje mu się, że nie dwa dziesiątki, ale dwie setki lat od tego czasu upłynęły, tak wszystko dokoła niego zmieniło się i w nim samym. Zmienił się zaś on nie od razu, nie nagle, ale stopniowo, jak stopniowo rdza gasi blask i wyszczerbia ostrze zakopanego w ziemi żelaza; jak stopniowo szczupleją, tracą siłę i znikają nieużywane do ruchu członki ciała; jak stopniowo zmierzch wieczoru pochłania światło dnia; jak stopniowo ciemnieje w sobie, słabnie, gaśnie człowiek, ciężko i nieustannie smutny...

Młodość, Dorosłość, Praca

Mógł być odejść w wesołe strony, nie uczynił tego. Mógł w lichych przysmakach życia szukać przypadającej nań cząstki szczęścia, nie używał ich wcale. Z górnej, lotnej jego młodości pozostało mu tyle, że podłości i zaprzaństwa nie popełnił, a w pracy, choć poziomej i ciasnej, pograżył się z surowością mnicha i zapalczywością taką, z jaką rozbitek chwytą i ściska jedyną deskę ze strzaskanego statku pozostałą. Na tę pracę, acz poziomą i ciasną, padał przecież i z góry jakiś promień. Jak ktoś, kto dziwi się i usprawiedliwia, Benedykt ręce rozkładał i zapytywał:

Dziedzictwo, Własność,  
Ziemia

— Cóż było robić? Co było robić? Mówiono, wołano, zaklinano: „Ziemia! ziemia!” Trzymałem ziemię...

Trzymał ją i dla siebie, bo w nią wrósł, i przez dumną ambicję postawienia na swoim, i przez myśl o synu.

Dorosłość, Ojciec, Starość,  
Syn

Ale w jeden punkt zapatrzony, inne z oczu tracił; jak wół ze schyloną pod jarzmem głową jedną bruzdę depcąc, inne dostrzegać przestawał; w jednym namiętym usiłowaniu skupił wszystkie siły i na nic innego już mu ich nie stało. Żelazo nie czuje osiadającej na nim rdzy, ale człowiek łzami zrazu oblewa każdą na własnej duszy dostrzeżoną jej plamę. Gdy nie mógł żyć tak, jak by pragnął, gdy potem już i pragnienie innego życia w nim gasło, gdy nad rozwartą książką oczy mu do snu kleić się zaczynały, gdy spory i kłótnie różnić go z ludźmi poczęły, gdy zrazu ścigać wzrokiem, a potem i rozumieć przestawał różne oddalone drogi i myśli świata — długo we środku mu coś płakało. Jak długo nie pamięta, wie jednak, że z czasem przywykł do wszystkiego, tylko ten płacz wewnętrzny, którego już w sobie nie czuł, przemienił się w głuchy i gorzki war<sup>97</sup>, co chwilę wybuchający zeń gniewem, rozjątrzeniem, niby ciężką przeciw życiu i światu obrazą. Czasem jeszcze tylko daleka, nieosobista nadzieja błąkała się mu po sercu.

— Może on? Może dla niego... przez niego... z nim?... — o synu myślał.

Była to już jedyna jego nadzieja.

---

Dwa razy w cichym domu zegar ścienny ogłaszał popółnocne godziny, a Benedykt

Ciało, Ojciec, Syn

<sup>97</sup>war (daw.) — wrzący płyn, tu: wrażenie gorąca odczuwane z powodu silnych emocji. [przypis edytorski]

jeszcze rozmawiał z synem, lecz już inaczej niż wpródy. Jak niegdys, przed wielu laty, Witold ramiona na szyję ojca zarzucił i rozpalonymi usty scałował grube lzy, które po tej twarzy ściemniałej, spalonej, ze zmarszczki na zmarszczkę ściekały. Myślał on, że bez zaprzeczenia samemu sobie wolno mu było z miłością przycisnąć się do tej szerokiej piersi, która przyjęła w siebie wiele ostrych grotów i coś wyższego, szerszego nad własny interes osłaniała albo osłaniać mniemała; że bez zaprzeczenia samemu sobie wolno mu było ze czcią całować te ręce, których nie wybieliły próżniactwo i zbytki. Przypomniał sobie, że to nawet, co w sobie nosił i nad własne życie cenił, jemu był winien.

— Ojczy mój! Do grobu, do ostatniego tchnienia wdzięczny ci będę, żeś mię nigdy od reszty ludzkości nie oddzielał, piedestałów mi nie budował, na królewicza i samoluba mnie nie chował. Gdyby nie ty, od kolebki pewno owinięto by mnie w watę zbytku i zamknięto w klatkę przesądu. Byłbym dziś może, jak ten nieszczęsny Zygmunt, lalką z żurnalu mój wyciętą i niedoszłym jakim artystą, albo jak Różyc, kartką welinu<sup>98</sup> w roztworze morfiny umoczoną!

Benedykt, ręką jeszcze oczy zasłaniając, z poczynającym się na ustach uśmiechem pod wąsami mruczał:

— No, tak, tak, chłopcze! Nie zgłupiałem przecież do tego stopnia, aby myśleć, że syn mój z innej gliny niż inni ludzie ulepiony, i nie spodlałem tak, aby poddać się woli bab, które by z mego dziecka zrobiły ładnie ufarbowany gałganek!

Z wahającymi się jeszcze uśmiechami na siebie patrzali. Więcej niż kiedy czuli, jak niezmiernie kochali się wzajem, zrozumieli też, jak bardzo byli do siebie podobni. Chwili jednej wielkiego uniesienia i piorunującego wspomnienia trzeba było na to, aby z jednego z nich spłynęła ta rdza, która mu przez długie lata osiadała duszę, i aby to podobieństwo wystąpiło jawnie i jasno. Nagłym ruchem głowę w tył odrzucając i palcami ocierając wilgotne jeszcze oczy, Benedykt zawołał:

— Jakby ciężar stupudowy spadł ze mnie, kiedy wszystko przed tobą wygadałem. Nie wiesz i bodajbyś nie dowiedział się nigdy, co to jest długie lata cierpieć z zaciśniętymi zębami i nie mieć na świecie jednej żywej duszy, przed którą człowiek mógłby śmiało, ufnie, wszystko, co ma w sobie, pokazać, pociechy, rady, a czasem prawie i ratunku wezwać. Może i to przyczyniło się wiele do mego ściemnienia i zdziczenia, że takiej duszy przy sobie nie miał. Marzyłem nieraz, że ty mi tym wszystkim będziesz, a kiedy tego lata zdawało mi się, że i te marzenia, jak wszystkie inne, diabli wezmą, nachodziła mnie taka rozpacz, że nie tylko już Andrzejowi, ale wszystkim pomarłym grobów ich zazdrościł...

— Ale teraz wiesz już, ojczy, co nas dzieliło! — zawołał Witold. — I w przywiązanie moje dla ciebie wierzyć musisz...

Zawahał się nagle, zmieszał się, posmutniał znowu.

— Jednak, mój ojczy — zaczął — jednak powiedz mi, co myślisz... zamierzasz... z tymi ludźmi...

Więcej niż cokolwiek innego zapytanie to przekonywać mogło, że istotnie w tym młodzieńcu pewne uczucia i myśli jak krew krążyły, jak puls tętnił, część a może i samą podstawę życia jego stanowiąc. W najuroczystszej nawet chwili, w najgłębszym dla innego przedmiotu rozrównaniu ich zapomnieć i pozbyć się nie mógł. Benedykt długo na niego popatrzył. Uśmiech zadowolenia pod długim wąsem mu błędził.

— Uparty jesteś — zaczął — widzę dobrze, że śmiejąc się i płacząc, śpiąc i jedząc, zawsze o swoim myśleć i przy swoim stać będziesz! Moja natura! I mnie to stanie przy swoim kością w gardle nieraz zasiadało, a jednak i niebieskie rozkosze wzruszyć by mnie zeń nie zdołały! Nasza, Korczyńskich natura!

Zamyślił się, w przeszłość patrzył.

— Niegdys postanowiliśmy byli wszyscy karczmy nasze pozamykać, aby chłopów do pijaństwa nie kusić. Wielu to uczyniło. Darzecki nie chciał. Andrzej różnił się z nim o to długo, ale potem przestał i myśleliśmy, że za wygraną dał, zapomniał. Jednak raz po długim milczeniu znowu zawziętą sprzeczkę o niezamknięte karczmy i rozpijających się w nich chłopów ze szwagrem rozpoczął, i tu, ot, w tej samej sali jadalnej, przy wieczerzy, w uniesieniu tej sprzeczki na Darzeckiego nożem cisnął... Szczęściem nóż mimo głowy

Ojciec, Syn

Chłop, Pijaństwo, Praca  
u podstaw, Szlachcic

<sup>98</sup>welin — luksusowy, cienki, gładki papier. [przypis edytorski]

szwagra przeleciał. Taki uparty był. Nie mówi już czasem o czymkolwiek, nie wspomina rok i dwa... zdaje się, że dał spokój... aż tu nagle znowu zaczyna swoje... I ty taki...

Po chwilowym milczeniu zaczął znowu:

— Korczyńskich krew! Dziad nasz, legionista, sześćdziesiąt lat z górą mając, jeszcze na wojnę chodził... A! Przypominam sobie teraz! Towarzyszył mu jakiś Jakub Bohatrowicz, którego starcem już przed dwudziestu kilku laty widywałem. Trochę obłąkany był, Pacenki jakiegoś, który mu żonę uwiódł, szukał... różne stare podania i zdarzenia opowiadał! Ja i Andrzej lubiliśmy go bardzo. Dominika tylko nudziła trochę jego gadanina. On był z nas na te rzeczy zawsze najobojętniejszy... Za wiele i za wesoło bawił się w wielkiej stolicy... Czy żyje jeszcze stary Jakub?

Jeszcze raz w sali jadalnej ścienny zegar wybił nocną godzinę, a Witold odpowiadając na coraz liczniejsze zapytania ojca mówił, opowiadał. Benedykt zapytywał krótko, paroma słowami, potem słuchał syna, z czołem na dloni, ze wzrokiem wpatrzonym w przeszłość, która z serca, z mózgu, ze słów jego syna wypływając ogarniała go, podnosiła, prawie upajała. Kiedy na koniec wstał z fotela i przy dogasającej na biurku lampie przed oknem stanął, błękitny świt ukazał go tak wyprostowanym, rześkim, pogodnym, jakim może od skończenia się złotej godziny jego życia ani razu nie był.

— No, no! — rzekł. — Prawdziwe dziwy! Jakby mnie fala jakaś z dna wód gorzkich i zimnych na ciepłą murawę wyrzuciła!... Ale teraz, chłopcze, spać idźmy... na parę godzin tylko... na parę godzin... byle trochę przespać się i odpocząć. Potem pójdziesz tam do nich i powiesz im, że tej kary sądowej nie żądam już... nie żądam... Istotnie, za wielka jest, a w tym, że ich oszuści wyzyskują i do złego prowadzą — moja wina! O miedzę z nimi żyję i palcem, aby temu zapobiec, nie poruszyłem...

Uśmiechnął się smutnie.

— Andrzej by na mnie za to nożem cisnął. Ale nie siedź tam długo — mówił dalej — bo przecież wspólnie ułożyć musimy różne projekty i plany na dalszą przyszłość... a potem, pod wieczór, może razem popłyniemy na... to... tamto...

Zająknął się.

— Na Mogiłę! — dokończył.

Niewysoko jeszcze słońce podniosło się na niebie, gdy Witold wbiegł do świetlicy<sup>99</sup> Fabiana, w której dokoła śniadania zgromadziła się spora gromadka weselników, którzy jeszcze do domów swoich nie odjechali. Cienka i długa Giecołdowa z zapalonym papierosem w wąskich ustach oraz żwawa Starzyńska we fruwającym wstążkami czepcu dokoła stołów chodząc zapraszały na jadlo, które według zwyczaju ich kosztem i staraniem zastawione było. Fabian, pozbywszy się na tę chwilę obowiązków gospodarza, ze spuszczonego na kwintę nosem wśród starszych sąsiadów siedział. Na widok wchodzącego Witolda porwał się i z niepokojem nadaremnie przez okazywane uradowanie pokrywany ku niemu podbiegł. Zaledwie jednak przybyły kilkanaście słów półgłosem przemówił, na twarz mu wybuchnęła radość szczerą i prawie gwałtowną.

— Wiwat! — z całej siły krzyknął i ku sąsiadom zwracając się, obu rękami jak młynskimi skrzydłami zamachał. — Psom dajcie, co na duszy macie! — wołał dalej. — Już nam godzina nieprzyrodzonej śmierci nie wybije! Zmiękło serce Dawida, gdy o Jonatanie w żalność przyobleczonym usłyszał. Anioł niebieski z grobu naszego kamień odwalił! Alleluja!

O aniele mówiąc, na Witolda ukazywał, do którego też przystępować zaczęli inni.

Z godzinę trwał tam gwar wielki, z zapytań, odpowiedzi, śmiechów, okrzyków złożony.

— Wiwat pan Korczyński! Wiwat pośrednik nasz i orędownik! — co moment wykrzykiwał Fabian.

— Chwała Panu na wysokościach, na ziemi pokój ludziom dobrej woli! — modlił się Apostoł.

— A ja tak mówię: że z tego zasiewku, da Pan Bóg, pięknego plonu doczekamy... — przebijął się powolny, poważny głos Strzałkowskiego.

<sup>99</sup>światlica (daw.) — pomieszczenie w chatach służące do zebrania, życia towarzyskiego; jasno oświetlone, stąd nazwa. [przypis edytorski]



Może tam Witolda ściskano, całowano, może mu różne na przyszłość projekty i rady dawano, może nawet na rękach podnoszono, bo zdyszany ze zmęczenia i ognistcie zarumieniony z chaty Fabiana wybiegł, młodzież po zielonej uliczce i dokoła gumna<sup>100</sup> przechadzając się ukłonami lub ścśnieniami rąk powitał, najkrótszymi ścieżkami śpiesznie ku dworowi poszedł i więcej już dnia tego w okolicy się nie ukazywał. Z dała go tylko potem widziano po drogach pole przerywających z ojcem chodzącego. Przez dzień cały syn i ojciec ani na godzinę nie rozstawali się z sobą. Długo w gabinecie Benedykta nad rozłożonym na biurku planem Korczyzna obaj siedzieli, z cicha pomiędzy sobą naradzając się, linie jakieś i cyfry na papierze kreśląc: a przed zachodem słońca kilku weselników u samej krawędzi zielonej góry stojących ujrzało na Niemnie łódkę wiozącą dwóch ludzi, z których młodszy wiosłem robił.

Za Niemnem obaj na żółtą ścianę wstąpili i w borze zniknęli.

Przed zachodem słońca gody weselne Elżusi miały się ku końcowi. Więcej niż o połowę zmniejszona kompania przechadzała się po zagrodzie i drodze; w gumnie, tak jak wczoraj na oścież otwartym, Zaniewscy jeszcze od czasu do czasu na skrzypcach rzępolili i basetlą<sup>101</sup> pohukiwali, a przy tej niedbałej i przerywanej muzyce dwie lub trzy pary od niechcenia czasem pokręciły się na toku. U ścian obrosłych chwastami, u płotków, w śliwowym gaju, na wąskim ganku świrna<sup>102</sup> rozmowy toczyły się ożywione, we włosach dziewcząt iskrzyły się kwiaty, ale kawalerowie nie mieli już na rękach białych rękawiczek ani tej rzeškości i zamaszystości w postawach i ruchach, które początek zabawy obudzał. Zbliżając się do końca swego wesele cichło, leniwiało, z wielkiego hałasu roztapiało się w szmer wesołymi nutami jeszcze przetykany, lecz który — czuć to było — zaraz, zaraz utonąć miał w szarym, jednostajnym jeziorze codziennej troski i pracy.

Na podwórku ożywienie było największe. Zaprzęgano tam do bryczek i wózków konie, a czynność tę spełniali sami ich właściciele z wyjątkiem tylko dzierżawcy Giecołda i ekonoma<sup>103</sup> Jaśmonta, którzy jednak hałasowali najwięcej, parobkom za furmanów im służącym głośne rozkazy wydając. Pierwszy drużbant komenderował należytym uszeregowaniem orszaku mającego państwu młodym do domu ich, więc do jaśmontowskiej o trzy mile<sup>104</sup> odległej okolicy, towarzyszyć. Naprzód tedy na drogę dotykając pola wyprawili wóz muzykantów wieźć mający. Za nim ustawił parokonną bryczkę państwa młodych; potem te, którymi według zwyczaju jechać mieli rodzice pana młodego, dwie swanie i dwaj swatowie. Teraz następowała kolej na pierwszego drużbanta. Więc Kazimierz Jaśmont sam za uzdę poprowadził swego pięknego, czarnego konika, ładną uprzężą połączonego z bryczką na majowozielony kolor pomalowaną, po czym już ustawianiem ordynku<sup>105</sup> zajmować się przestał, bo co do dalszego jego ciągu, żadne przepisy nie istniały. Kto łaskaw czy też zaproszony, pojedzie sobie, jak zechce, na czele czy z tyłu, osobno czy hurtem — wszystko jedno. Kto niełaskaw albo niezaproszony, pozostanie lub uda się w inną stronę, a grzeczności i obyczajowi nie ubliży. Tylko jeszcze u końca orszaku jechać koniecznie powinien brat panny młodej z kuframi i skrzyniami, wyprawę jej zawierającymi. To już niezbędne. Jeżeli brata nie ma, najbliższy krewny spełnić tę czynność musi. Ale Elżusia miała kilku braci, z których najstarszego obowiązkiem było wieźć za orszakiem weselnym wyprawę siostry. Już też na drabiniastym wozie<sup>106</sup>, w zielonej uliczce stojącym, Julek umieścił dwa kufrzy z bombiastymi<sup>107</sup> wierzchami na zielono pomalowane i gapiowatym głosem upominał się o trzeci, którego przecież długo mu nie dawano. Panna młoda z pomocą matki i swań kończyła napełniać go skarbami, które z sobą uwieźć miała: kraciastymi i pasiastymi spódnicami, fartuchami, kilimkami<sup>108</sup> własnej roboty, motkami<sup>109</sup> uprzedzonych przez siebie nici lnianych i wełnianych, ścianami utkanych też w domu grubszych i cieńszych płócien. Kazimierz Jaśmont od bryczek wracając tu

Wesele

Obyczaje, Wesele

<sup>100</sup>*gumno* — budynek, w którym składano zboże przed wymłóceniem. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*basetla* — ludowy instrument strunowy. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>*świrno* (z lit.) — spichlerz. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*ekonom* — nadzorca prac rolnych w dawnych majątkach ziemskich. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>*mila* — jednostka dł. równa 1609 m. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*ordynek* (daw.) — ustalony porządek. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*wóz drabiniasty* — wóz o bokach przypominających drabiny. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*bombiasty* — kształtem podobny do kuli. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*kilimek* — mały kilim: dwustronny dywan do dekoracji ścian i podłóg. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>*motek* — nici, przędza zwinięte luźno w podłużny pęczek lub nawinięte na szpulkę. [przypis edytorski]

i ówdzie po zagrodzie się okręcił, aż u zamkniętych drzwi domu stając, z całej siły zawołał:

— A teraz, panny družki i panowie družbantowie, pożegnanie panny młodej zaśpiewajmy!

W mgnieniu oka po obu stronach drzwi utworzyły się dwie gromadki, jedna z młodych mężczyzn, druga z dziewcząt złożone. Nie byli to koniecznie sami družbowie i družki, ale wszyscy, którzy pożegnanie panny młodej na pamięć umieli i śpiewać chcieli. Chór męski, w którym wyraźnie wyróżniały się: cienki dyszkant<sup>110</sup> pierwszego družbanta, piękny głos Jana i tak basowe, że prawie grobowe buczenie Domuntów, na nutę butną<sup>111</sup>, urywaną, prawie rozkazującą rozpoczął:

Siadaj, siadaj, moje kochanie,  
Nic nie pomoże twoje płkanie,  
Nic płkanie nie pomoże:  
Stoją konie, stoją wrone,  
Już założone!

Jak uciał, umilkli. Po kilku zaś sekundach chór dziewcząt, nad którym rej prowadził donośny i jak srebro dźwięczny głos pięknej Osipowiczówny, a który przerzynały słabe, cieniutkie, lecz czyste głosiki małych Siemaszczanek, wzbił się smętną, przewleklą nutą:

Jeszcze nie będę siadała,  
Jeszcze ojcu swemu nie dziękowała.  
Dziękuję ci, miły ojcze,  
Żem u ciebie chodziła w złocie,  
Teraz nie będę!

Mężczyźni huknęli znowu tą samą co pierwszej rozkazującą strofą. Dziewczęta zaś odpowiedziały:

Jeszcze nie będę siadała,  
Jeszcze swej matce nie dziękowała.  
Dziękuję ci, moja matko,  
Żem żyła przy tobie gładko,  
Teraz nie będę!

Po trzecim rozkazie siadania odpowiedź brzmiała:  
Jeszcze nie będę siadała,  
Jeszcze swemu bratu nie dziękowała.  
Dziękuję ci, drogi bracie,  
Że mieszkałam w jednej chacie,  
Teraz nie będę!

Tu rozwarły się ze stukiem drzwi od sieni i panna młoda, wysoki próg przeskakując, spod czarnej wełnianej sukni białą pończoszką błysnęła. Zapłakana, zakłopotana, wśród śpiewających, na nikogo nie spojrzawszy, przebiegła, między śliwowe drzewa wpadła i płótno kuźelne<sup>112</sup>, wąskimi pasami u brzegu gaju rozestłane, z trawy ściągać zaczęła. Ściągała, zwijała, śpiesząc się bardzo, aż na koniec z jednym niedobielonego płótna pod ramieniem a dwoma w ramionach z powrotem ku domowi bieć zaczęła. Wszyscy z niejakim zdziwieniem na nią patrzali. Kazimierz Jaśmont palcami pstryknął.

— Szyk gospodynia! I na weselnych godach o kuźelu nie zapomniała!

Stojący za nim Michał Bohatyrowicz, wąsa w górę podkręcając, zaśmiał się:

— A jakże! Gdyby ją aniołowie do nieba zabierali, to ona by patrzała, czy nie ma jeszcze czego z ziemi uchwycić.

<sup>110</sup>dyszkant — głos chłopięcy odpowiadający skalą sopranowi. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>butny — pewny siebie. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>płótno kuźelne — proste płótno domowej roboty. [przypis edytorski]

— To nie tak jak panna Cecylia, która wczoraj taką śliczną stażkę z szyi sobie zdjęła i przyjaciółce nijakiego przystrojenia nie mającej podarowała! — zawołał kruczowłosy Ładyś Osipowicz na błękitnooką Cecylkę Staniewską rozkochanym wzrokiem spoglądając.

Po czym nagle huknęli znowu:

Siadaj, siadaj, moje kochanie,  
Nic nie pomoże twoje płkanie.  
Nic płkanie nie pomoże:  
Stoją konie, stoją wrone,  
Już założone!

A dziewczęta odpowiedziały:

Jeszcze nie będę siadała,  
Jeszcze stołom, ławom nie dziękowała.  
Dziękuję wam, stoły, ławy,  
Żeście były zawsze białe,  
Teraz nie będziecie!

Dziękuję wam, rodzone progi,  
Że chodziły po was moje nogi,  
Teraz nie będą!

Julek trzecią skrzynię w wielkie kwiaty pomalowaną wspólnie z braćmi z domu wynosił i na wóz windował<sup>113</sup>.

Na drodze u wyciągniętych szeregiem bryczek i wozów podniosła się wrzawa pożegnań, pocałunków, zaprosin, przywoływań, nawet sprzeczek. Nie tak to łatwo było wszystkich w porę i w należyтым porządku usadowić. Muzykanci kłopotu nie sprawiali, pierwsi umieszcili się na przodującym wozie i smyczki wysoko wzniesli, aby je w czas, a ostro, na struny móc spuścić. Ale pan młody gdzieś się w ostatniej chwili zawieruszył, więc siedząca już na bryczce Elżusia wniebogłoso wołała: „Franuś! Franuś”, a gdy nadbiegł, mocno strofować go zaczęła. Potem Giecołdowa, kwaśna i zmarszczona, bo papierosów jej zabrakło, nie chciała siadać na bryczkę Starzyńskiej, z którą jechać była powinna, i upierając się przy jechaniu swymi końmi i ze swoim mężem, głośno i szydersko dowodziła, że wszystkie te porządki i ordynki są przesadami nigdzie już z wyjątkiem prostych i ciemnych ludzi nie zachowywanymi. A gdy na koniec pierwszy družbant mocą ukłonów i otworzeniem na oścież zasobnej papierośnicy dumną swanię ułagodził i do zajęcia przypadającego jej miejsca nakłonić zdołał, nowe przeciwności zaszły w gronie odprowadzających państwa młodych družek i družbantów. Ta z tym, a ten z tą jechać żądał; tu było za ciasno, tam niewygodnie... Kazimierz Jaśmont na chwilę cierpliwość stracił, ręką machnął, zrozpaczonym wzrokiem po szlaku drogi powiódł i nagle nieopisana błogość na twarz mu spadła. Z głębi okolicy ścieżkami wśród płotków wijącymi się szła, na drogę weszła i ku gromadzie dokoła bryczek stojącej skierowała się — Domuntówna. Nikt jej nie spostrzegł oprócz Jaśmonta, który też asystę, ordynek i wszystko, co żyło, opuszczając, na jej spotkanie pośpieszył. Ona szła prędko, więc spotkali się w tym miejscu, gdzie stała jego majowa bryczka, z czarnym, pięknym, zgrabną nóżką o ziemię bijącym konikiem. W bogatej aktorce<sup>114</sup> nowa zmiana zaszła. Miała na sobie czarną suknię, bardzo prostą, której gładka spódnica i obcisły stanik<sup>115</sup> szczuplejszą nieco czyniły jej zbyt silną i rozrosłą kibić<sup>116</sup>. Na ogorzalej szyi — zapewne w znak zasmucenia — wiła się i na pierś opadała żalobna wstążeczka. Gładko spleciona kosa<sup>117</sup> niby wiankiem brunatnej pszenicy wznosiła się nad twarzą mniej rumianą jak zwykle, a szafirowe oczy spod sobolowych<sup>118</sup> brwi

<sup>113</sup> *windować* (pot.) — wnosić na górę, podnosić coś ciężkiego. [przypis edytorski]

<sup>114</sup> *aktorka* — sukcesorka; jedyna dziedziczka majątku. [przypis edytorski]

<sup>115</sup> *stanik* (daw.) — górna część sukni od ramion do pasa (bez rękawów). [przypis edytorski]

<sup>116</sup> *kibić* (przestarz.) — talia. [przypis edytorski]

<sup>117</sup> *kosa* (poet.) — warkocz. [przypis edytorski]

<sup>118</sup> *sobolowy* — brązowy. [przypis edytorski]

i zarumienionych trochę powiek rozglądały się dokoła, strapione i roztargnione. Tak stanęła przed Jaśmontem, który granatową czapczkę z kędzierzawej czupryny zerwawszy, niskim ukłonem i czułym wejrzeniem ją witał.

— Czy mnie próżna nadzieja zwodzi — zaczął — czy też pani w jedną drogę z nami puścić się zamysła?

Czerwone ręce na czarną suknię opuszczając, grzecznie dygnęła.

— Za zaprosiny dziękuję — odrzekła — ale mnie teraz na zabawy nie w czas. Żyto na nasienie jeszcze nie wymłócone i dziadunia pilnować muszę, bo niedomaga.

I znowu roztargnionym wzrokiem pomiędzy ludźmi wodziła, kogoś upatrując. Była dziwnie grzeczna, łagodna, cicha, nawet mówiła półgłosem. Jaśmont na bryczkę swoją ukazywał:

— Gdyby pani mojej kałamaszce<sup>119</sup> ten honor zrobiła i wspólnie ze mną nią pojechała, może by spacer na zdrowie posłużył. Dobrze niesie... jak na sprężynach!...

— Dziękuję. Dziadunia pilnować muszę...

Widocznie zmartwiony, pomyślał chwilę.

— A jeżeli ja odważę się kiedy tam przyjechać, gdzie od tego czasu wszystkie myśli moje mieszkają będą, czy mogę spodziewać się, że niezbyt niemiłe ujrzanym zostanę?

Dygnęła znowu.

— Owszem. Dziadunio bardzo lubi, kiedy do niego goście przyjeżdżają...

— Ale pani czy przez to ambarasu<sup>120</sup> nie uczynię?

— O ambaras bynajmniej! Owszem. Ja zarówno w grzecznej kompanii<sup>121</sup> gustuję.

Już rozplywać się miał w podziękowaniach za to pozwolenie bywania u niej, gdy w orszaku wzniosło się mnóstwo wzywających go głosów. Wszyscy na koniec na bryczkach i wozach siedzieli, bez pierwszego drużbanta przecież odjeżdżać nie mogli. Tyle więc tylko miał czasu, aby Jadwigi rękę ucałować, a do jej braci, obok których przebiegał, szepnąć:

— Szyk panna! Dalibóg, takiej wspaniałej talii i takich oczu cudnych, jak żyję, nie widziałem!

Na majową bryczkę swoją wskakując wołał:

— Ot tak! Nikt ze mną jechać nie chciał, sierotą opuszczonym zostałem! Dobrze! Sam sobie ze mnie pan i hetman!

Siadł prosto, z fantazją czapkę na głowie poprawił, bicz wcale niepotrzebny przy koziołku umocował, rzemienne lejce silnie ujął i na cały głos zakomenderował:

— Muzykanci! Rznijcie! Jazda, panowie!

Na przodzie orszaku smyczki, dotąd w powietrzu sterczące, na struny opadły; z dźwiękami skrzypiec i basetli wygrywających marsza zmieszał się turkot kół i tętent koni. Bryczki jedna za drugą skręcały na drogę przerywaną polem, a od każdej, niby rozwiewne skrzydło, leciał na jedną stronę złotawy tuman kurzu; dwu czy trzech jeźdźców konno brzegami ściernisk<sup>122</sup> cwałowało; ostatni jechał wóz wyładowany pękatymi kuframi, na których, jak na wieży, w wiecznym uśmiechu białymi zębami wśród rudej gęstwiny zarostu błyskając siedział Julek, a obok wozu galopował, co moment ku panu głowę podnosząc i radośnie poszczekując, czarny, kudłaty Sargas. Zachodzące słońce bladym blaskiem spłowiła kobierzec ziemi ozłociło i wyrastającym zeń drzewom wróciło chwilową świeżość; niebo roilo się na tle błękitnym mnóstwem białych smug i różnobarwnych obłoków.

Kilka minut wystarczyło, aby na drodze tak przedtem gwarnej zaległa zupełna cisza. Jedni rozjechali się, innych widać jeszcze było z wolna rozchodzących się po zagrodach. Jan, który odjeżdżający orszak wzrokiem odprowadzał, odwrócił się i oko w oko spotkał się z Domuntówną. Stała u samej krawędzi zagonów pokrytych ściernią, obok ogromnych ostów, które kupą rosły, wysokością prawie do jej ramienia sięgały, na kształt siwych, brodatych starców całe mlecznymi, połyskliwymi puchami obwieszona. Po twarzy Jana przemknęło przykre wrażenie. Ona to spostrzegła.

<sup>119</sup>kałamyszka — mały, jednokonnny wóz; zdrobnienie od kolimaga: pakowny wóz z budą. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>ambaras (przestarz.) — kłopot sprawiany przez jakąś osobę albo trudna, przykra sytuacja. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>kompania (daw.) — towarzystwo. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>ściernisko — pole, na którym pozostały po żniwach kłujące lodygi zbóż. [przypis edytorski]

— Niech pan Jan nie lęka się — zaczęła — ja nie dla tej przyczyny tu przyszłam, aby jakie nieprzyjemności panu robić, ale dla tej...

Spuściła oczy, ręce jej pomimo woli szukały fartucha, ale go przy świątecznej sukni nie znalazłszy, z najbliższego ostu puch oskubywać zaczęły.

— Dla tej przyczyny ja tu dziś przyszłam — z cicha mówiła dalej — żeby z panem Janem zobaczyć się i powiedzieć, że do grobowej deski wdzięczną panu pozostanę.

— A za cóż ta wdzięczność? — zdumiał się młody człowiek.

— A za to — odpowiedziała — że kiedy wszyscy mnie czernili i wyśmiewali, pan Jan, który miał prawo gniewać się i dekrety<sup>123</sup> na mnie wydawać, ujął się i obronił. Bracia mi wszystko opowiedzieli i także pana Jana bardzo pochwalili.

— Nijkich ja pochwał godzien nie jestem — odpowiedział Jan — i nijakiego prawa gniewać się na pannę Jadwigę nie mam, pewnym będąc, że przez te rzucenie kamienia tylko zażartować ze mnie chciała.

Szkarlatem oblała się, a mnóstwo połyskliwego puchu, który z ostów wyskubała, wymknęło się z jej palców i w powietrze uleciało. Wzrok jej, zawstydzony i niedowierzający, po twarzy jego przemknął.

— Niech pan Jan nie udaje i mnie do kłamstwa nie kusi. Co zrobiło się, tego już nie odrobić, a łganiem gorzej jeszcze człowiek plamę swoją uczerni, że już jej prawie i nie wyprać. Co się zrobiło, to zrobiło się. Nie dla tej przyczyny ja przyszłam, żeby łgać i swojego postępowania wypierać się, ale dla tej, żeby powiedzieć, że ja do pana Jana nijakiego już żalu ani gniewu i nijakiej pretensji nie mam. Serce nie sługa, nie zna co to pany. Co pan Jan winien temu, że w inszej stronie dla pana słońce wzeszło? Owszem. Daj Boże panu szczęście, zdrowie i powodzenie...

Znowu trochę połyskliwego puchu z palców jej w powietrze uleciało; na towarzysza lat dzieciennych podniosła oczy, łzami oszklone.

— Z gruntu serca ja panu Janowi wszystkiego dobrego życzę! — szepnęła.

Ujęty i wzruszony, z zapalem odpowiedział:

— Ja także dla panny Jadwigi, jeżeli tylko zechce, na zawsze szczerym przyjacielem pozostanę, a mam nadzieję, że i pannę Jadwigę szczęście na tym świecie nie ominie...

— Spodziewam się — odszepnęła — spodziewam się, że i mnie Bóg nie opuści...

— A wrędcę też może i dozgonnego przyjaciela, takiego, który panny Jadwigi wart będzie, ześle...

Łza stoczyła się po rozognionym jej policzku i na wiszące u szyi końce żałobnej wstążeczki spadła, ale z głową spokojnie i trochę dumnie podniesioną Jadwiga powtórzyła:

— Spodziewam się, spodziewam się, że tego dostąpię. Kiedy już takie przeznaczenie kobiety, żeby jak tyka sama w świecie nie tkwiła, to i mnie go nie ominąć...

— Tedy i ja z gruntu serca pannie Jadwidze wszystkiego dobrego życzę, a proszę, żeby do mnie nijakiego gniewu nie miała...

— A ja pana Jana o dobre wspomnianie proszę...

— A jakże! Całe życie przyjacielem pani останę...

Rękę do niego wyciągnęła, on z uszanowaniem ją pocałował.

— Do chaty mi pora — rzekła — parobek żyto na nasienie młóci, jeszcze źle wymłóci, i dziadunio niedomaga!

Z wolna odwróciła się i z wolna, w czarnej swej sukni, wyprostowana i silna, w grubym warkoczu jak w wieńcu brunatnej pszenicy na głowie, w głąb okolicy ścieżkami odeszła.

Jana jakby przypomnienie jakie w serce uderzyło, tak wstrząsnął się cały i tak szybko ku zagrodzie swojej prawie biec zaczął. Przed rozmową swą z Domuntówną widział Justynę ze stryjem jego w bramie ich zagrody rozmawiającą. Ale gdzież teraz była? Może już odeszła? Może widziała, że on tak długo z Domuntówną rozmawia, i Bóg wie, co sobie myśli! Zdyszany i niespokojny przebiegł ogród i wpadł na podwórko. Anzelm w skurczonej trochę postawie na jedynej schodce małego ganku siedział, plecy o słupek opierając.

— Gdzie panna Justyna, stryjku? Tylko co tu była, a teraz nigdzie nie widać. Gdzie poszła? Może do domu?...

Stary ku brzegowi góry ręką rzucił.

<sup>123</sup>dekret — akt prawny mający moc ustawy. [przypis edytorski]

— Zdaje się, że nad Niemen poszła...

Jan rzucił się już we wskazanym kierunku, kiedy go głos stryja zatrzymał.

— Janek! Poczekaj trochę! Posłuchaj! Czego ty latasz jak zwariowany i rozum tracisz? Co z tego będzie? Czy z tego co będzie?

Mówił to z surowością, którą wielki niepokój pokrywał; Jan też przystanął zrazu i widać było, że słowa stryja zrozumieć usiłował, ale nie mógł, takie go niecierpliwości paliły i tak go coś z miejsca podrywało.

— Aj, aj! Stryjku! Niech już później! Czasu teraz nie mam! — zawołał i pędem puścił się we wskazaną stronę.

Zaledwie na krawędzi zielonej góry stanął, gdy niżej w połowie jej stoku, pod rozłożystą topolą srebrną białą suknię i czarne włosy w grona czerwonych jarzębin zdobne zobaczył. W mgnieniu oka obok Justyny stanął.

— Strasznie zląkłem się! — mówił — myślałem, że pani może już do domu poszła... bez pożegnania!

Justyna ruchem ręki ukazała mu roztaczający się przed nimi widok. Był on wspaniały i olśniewająco świetny. Blade słońce jesienne w momencie zachodu swego ustroiło się w takie blaski i barwy, jakich na zenicie nawet królując nie posiadało nigdy. Tarczy słonecznej widać nie było, bo kryła ją płachta złota, purpurą i fioletem zakończona, wyżej zaś po całym błękicie nieba rozsiała się puchy obłoków, szkarłatem i złotem nalanych i nierówne, podarte, krepowe niby smugi srebra i fioleto. Wszystko to było ruchome, niby żywe, płynęło, przelewało się, mieniło i jak w zwierciadle odbijało się w szerokich, przejrzystych, prawie nieruchomych wodach rzeki. Więc i ona od dalekiego zakrętu płynęła zrazu samym czystym złotem, a potem na dnie swoim ukazywała rozrzucone w nieładzie rubiny, opale, ametysty i agaty. Wydawała się rozwartą i kryształową szybą przysłoniętą kopalnią klejnotów. W zarzecznym borze, także blaskami przenikniętym, żółte pnie sosen wyraźnie oddzielały się od siebie, a pomiędzy nimi z dala nawet dostrzec było można krwistą rdzawość usychających paproci i dno lasu opływającą srebrzystość siwych mchów. Górą po koronach sosen, prawie czarnych, tu i ówdzie ślizgały się i kładły złote i seledynowe rąbki. Wszystko to zaś, niby zakłęty obraz, stało w zupełnej ciszy i pustce powietrza. Rybitwy, morskie wrony i jaskółki już w dalekie strony odleciały; inne ptactwo po gniazdach usypiało i tylko w rozłożystej topoli srebrnej czasem jeszcze ćwierkało coś, szeleściło i wnet milkło.

Jan patrzył na wodę, bór, niebo.

— Cudności! — rzekł.

— Cudności! — powtórzyła Justyna.

Spojrzeni na siebie i wnet znowu utopili wzrok w rozwartej u stóp ich kopalni klejnotów. Z nieba i spod wody padały na nich i od stóp do głów oblewały ich blaski gorące i świetne. Stali w nich nieruchomi, milczący, z tym wewnętrznym drżeniem, którym napędza ludzi zbliżanie się wielkiej chwili ich życia. Tak nadlatujący z oddali wicher wstrząsa głębiny lasów i tak przed wejściem słońca dreszcz rozkoszy i trwogi przebiega po obudzonej ziemi.

Zaczynali rozmawiać, ale rozmowa im nie szła; głosy cichły, czymś przytłaczane, i słowa urywały się w połowie. Zdawać się mogło, że o czymkolwiek mówić zaczynali, wszystko nie było tym, o czym mówić pragnęli — a nie mogli. Jeszcze nie mogli. Pod ogorzałą skórą twarzy Justyny przepływały co chwilę rumieńce zawstydzienia; oczy Jana co chwilę zwracały się ku niej i nieśmiało lub z chmurną trwogą odwracały się w inną stronę. Było to tak, jakby oczekiwali, aby z nich spłynęły i na świecie przygasły te wielkie blaski, które każdy rys i każde drgnienie ich twarzy ukazywały z wypukłością rzeźby wśród jaskrawego tła umieszczonej. Wkrótce też przygasać one zaczęły na niebie, a jednocześnie i wody rzeki powlekały się szarością, po której już tylko tu i ówdzie błędziły fioletowe lub czerwone smugi. Drzewa boru zmieszały się i utworzyły czarną, nieprzebitą dla oka ścianę. Zmrok przezroczysty łagodnymi falami spływać zaczął od gwiazd, które stopniowo pozapały się na pociemniałym sklepieniu. Cisza panowała wielka.

Wtem wśród ciszy od dalekiego punktu okolicy doleciał przeciągły, kilka razy powtórzony okrzyk. Ktoś kogoś wołał. Niby w borze przyczajony duch psotny a smętny wołanie to porwał i niósł w głębie boru, powtarzając je długo, przeciągłe, srebrnie.

— Echo! — szepnęła Justyna.

Rzeka

— Z tego miejsca, gdzie my teraz stoim, najlepiej echa słyszeć się dają — odpowiedział Jan i jakby towarzysze przyjemność chciał zrobić, donośnie zawołał:

— Ho, ho!

Za rzeką po głębinach boru poniosło się długo, raźnie, wesoło:

— Ho, ho! Ho, ho! Ho!

Ostatni dźwięk doleciał tu już tylko przeciągłym, rozwiewnym westchnieniem.

— Niech pani teraz trochę z echem porozmawia! — poprosił Jan.

Zbliżył się do Justyny tak, że ramieniem rękawa sukni jej dotykał; w przytłumionym głosie jego czuć było, że drżał.

— La, la, la! — zawołała.

Śpiewnie, figlarnie echo aż pod koniec firmamentu<sup>124</sup> poniosło nutę:

— La, la, la, la, la!

Znowu jednak nie było to tym, o czym mówić chcieli.

— Panno Justyno! — zaczął Jan. — Niech pani echu powie to imię, które dla pani najmiłsze jest na świecie! Proszę, proszę, na wszystko proszę zawołać tego, kto dla pani miły!...

Pocałunek

Pod spadającymi na jej czoło listkami topoli stała prosta i tak wzruszona, że na chwilę oddech zatrzymał się jej w piersi. Aż nad coraz więcej ciemniejącą rzeką w coraz ciemniejszym powietrzu zabrzmiało imię:

— Janku!

Bór przeciągle, głośno, śpiewnie trzy razy odpowiedział:

— Jan-ku! Jan-ku! Jan-ku!

Justyna na rozśpiewany bór patrzyła, lecz czuła, że kibić jej otacza ramię drżące, niecierpliwe, a przecież jeszcze nieśmiałe. Zalękniona także, rumieńcem w zmroku płonąca, z uśmiechem zmieszania próbowała jeszcze z echem rozmawiać:

— Janku! — zawołała jeszcze.

Ale echo nie odpowiedziało, tak wołanie było ciche i tak prędko na jej ustach stłumił je pocałunek. Powoli uwalniając się z jego objęcia, twarzą w twarz przed nim stanęła, obie dłonie położyła mu na ramionach i dobrowolnie, z dreszczem szczęścia, z rozkoszą ufności i bez granic, głowę na jego pierś pochyliła.

— Królowo moja! Najdroższa! Jedyna! Czy moja ty? Czy moja? Moja?

— Na zawsze! — odpowiedziała.

Księżyc, Rzeka

Nad dalekim zakrętem Niemna jakby z wody wypłynął ognisty sierp wschodzącego księżyc, prędko powiększał się, zaokrąglął, podnosił, aż nad rzeką zawisł ogromną, palającą tarczą. Gwiazdy gasły, świat tonął w ciszy i rozwidniał się łagodną, marzącą światłością. Pod srebrną topolą szemrały szepty tak ciche, że nie słyszał ich nawet człowiek, który w grubej kapocie i wielkiej, kosmatej czapce u szczytu góry pod rzędem lip nieruchomych siedział z głową opartą na rękę i twarzą ku księżycowi obróconą.

V

Nazajutrz wiele na raz gości Korczyn nawiedziło. Naprzód o dość wczesnej przedpołudniowej godzinie przed gankiem domu stanął zgrabny koczyk<sup>125</sup>, z którego w najmodniejszym płaszczu i fantazyjnym kapeluszu wyskoczył Zygmunt Korczyński, kredensowego wyrostka, który na spotkanie jego wyszedł, niecierpliwie o stryja zapytując. Benedykt był w domu i zaprosił synowca do gabinetu, w którym też wnet słyszeć się dała wielce ożywiona rozmowa przez trzy głosy prowadzona. Zygmunt dowodził czegoś rozdrażnionym głosem, nalegał i prosił. Szło mu o to, aby Benedykt przekonać usiłował panią Andrzejową o konieczności wydzierżawienia, jeżeli już nie sprzedania Osowiec i wyjechania z nim za granicę. On z żoną za parę miesięcy wyjechać postanowił, ale żał mu matki i ma niejaki skrupuł pozostawiać ją samotną i w stanie ostrego, jak mówił, nerwowego rozdrażnienia. Benedykt o dawaniu podobnych rad bratowej słuchać nie chciał, wręcz odmawiał i synowca z powagą upominał; Witold wybuchał, mówił prędko, zdając się stryjecznego brata o czymś przekonywać i o coś go błagać.

<sup>124</sup>*firmament* — niebo. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>*koczyk* — mały, półkryty powozik. [przypis redakcyjny]

W niespełną godzinę po przybyciu Zygmunta zgrabną najtyczanką<sup>126</sup> i pięknymi końmi do Różyca należącymi nadjechał Kirło. Przybywał widocznie od bogatego kuzyna, z Wołowszczyzny. Nie wiedzieć dlaczego, dla facecji zapewne i rozśmieszenia stojącej na ganku Leoni, na palcach i chyłkiem prawie do sieni wszedłszy, płaszcz, naśladujący te, które tego lata nosili Darzecki i Zygmunt, na wieszadłach umieścił, do Leoni się zwrócił i z palcem uroczyście podniesionym cicho zapytał:

— A panna Justyna śpi?

Dziewczynka odpowiedziała, że Justysi dziś jeszcze nie widziała, ale zapewne od dawna już ona nie śpi, szyje może albo ubiera się do zejścia na dół.

— Niechże nic ciężkiego na siebie nie kładzie — szepnął gość — aby jej lekko było pod sufit skakać...

Leonia szeroko oczy otworzyła.

— Dlaczegoż to Justysia skakać dziś ma aż pod sufit?

— Z radości, panno Leoni, z radości! — uśmiechał się Kirło. — Zobacz panna Leonia, jaka to radość dziś tu panować będzie, a potem... weselisko nastąpi... weselisko!

Zatarł ręce i dziewczynkę do najwyższego stopnia zaciekawioną poprosił, aby go matce swojej oznajmiła. Pani Emilia, zaledwie przed kwadranssem obudzona, piła w łóżku kakao, lecz dowiedziawszy się o przybyciu miłego sąsiada, prosić go do buduaru<sup>127</sup> kazała, a sama pośpiesznie i ze staraniem, w biały, długi, bufami i koronkami okryty negliż przyoblekać się zaczęła. Kirło z kapeluszem w spuszczonej ręku, z wydętym przodem koszuli, z tryumfującą postawą i tajemniczym wyrazem twarzy przez salon przechodził.

Na koniec podjechała pod ganek bryczka, prosta, trzęsąca bryczka przez parę fornałskich<sup>128</sup> koni ciągnięta, z parobkiem w siermiędze<sup>129</sup> na kozłach, znaczną ilością istot różnej płci i wieku napełniona. Napełniali ją: kobieta z głową i twarzą białym muślinem owiniętą, podrastająca dziewczynka w słomianym kapeluszu, dwaj chłopcy w szkolnych bluzach i śniade, czarnowłose, czteroletnie dziecko. Benedykt i Witold, przez okno poznawszy Kirłową, na spotkanie jej wybiegli. W sieni woalkę z głowy odwijając i gromadkę swą ukazując Kirłową, bardzo zmieszana, mówiła:

— Przepraszam, bardzo przepraszam, że z taką gromadą przyjeżdżam, ale u Teofila dwa dni bawiliśmy wszyscy i stamtąd jedziemy. Na pół godzinki tylko zajęchałam, aby moją Marynię zabrać i o ważnym interesie pomówić.

Pomimo zmieszania widocznie czymś uradowana była; ku małej Broni, która zaraz po wysadzeniu jej z bryczki chwyciła fałdy starej jedwabnej sukni matczynej, pochyliła się, twarz jej chustką z pyłu otarła, rozczochrane włosy, o ile się dało, przyglądziła i na ziemi przysiadłszy związywała tasemki nowych widocznie bucików. Gdy podniosła się z ziemi, Benedykt z uprzejmością wielką do salonu ją zapraszał. Widocznym było, że dla tej kobiety miał wiele szacunku, a może i współczucia. Ale Kirłowa wymawiać się zaczęła. Wiedziała, że panią Benedyktową fatygują wszelkie rozmowy i wizyty, uprzykrzać się więc nie chciała; przybyła tu zresztą tylko na pół godziny dla zabrania córki i pomówienia o interesie z gospodarzem domu i Justynką. Do nich dwojga tylko interes miała, więc może by gdzie na stronie, w ubocznym jakim pokoju... Benedykt wskazywał jej swój gabinet, ale w tejże chwili ze schodów zbiegła najstarsza córka Kirłowej, która od dni paru bawiąc w Korczynie, z Martą i Justyną w pokoju na górze mieszkała. Świeża, wesoła, rzuciła się matce na szyję i, rozszczebiotana, zaraz opowiadać zaczęła, jak wybornie bawiła się na weselu, o tańcach, w których udział brała, o śpiewach na Niemnie itd. Kirłowa z rozrzewnieniem na nią patrzyła, dłonią gładząc jej jasne włosy.

— Pierwszy raz w życiu rozstaliśmy się na tak długo — do Benedykta się zwróciła — ale to dobrze, że dziecko zabawiło się trochę. U nas w Olszynie życie bardzo jednostajne i pracowite, a młodość rozrywki potrzebuje...

Nie skończyła jeszcze mówić, kiedy na schodach ukazała się Justyna i szybko ku Kirłowej podbiegłszy w rękę ją pocałowała. Od dawna już okazywała jej zawsze niezwykle uszanowanie i sympatię mówiąc, że spostrzegła w niej żywe podobieństwo do swej wcześniej utraconej matki. Ale dziś twarz młodej panny była tak rozpromieniona, taki wyraz

<sup>126</sup>najtyczanka — rodzaj bryczki (nazwa od miasta Neu-Tischein). [przypis redakcyjny]

<sup>127</sup>buduar (przestarz.) — pokój pani domu służący do odpoczynku. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>fornałski — wykonujący pracę na roli. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>siermięga — wierzchnie ubranie noszone przez chłopów w daw. Polsce. [przypis edytorski]



pogody i szczęśliwego rozmarzenia okrywał jej śniade czoło i napelniał oczy, że Kirlowa z uwagą popatrzała na nią i szyję jej obejmując do ucha szepnęła:

— Domyślasz się, z czym przyjechałam... i wszystkie chmurki na suche lasy od ciebie frunęły! Cieszę się... O, jak cieszę się! Tak szczerze pragnę twego szczęścia i jeszcze czyjegós... czyjegós!

Justyna nie odpowiedziała nic, tylko filuterny uśmiech przemknął jej po ustach i w źrenicach.

— A teraz, dzieci! — ku swojej gromadce zwróciła się Kirlowa — ruszajcie do ogrodu! Nim ja z panem Benedyktem i Justynką rozmówię się, popatrzcie sobie na śliczny korczyński ogród. Tylko cicho, grzecznie, nie hałasować, bo to by pani Benedyktowej przykrość zrobić mogło!

Chłopcy ruszyli się zaraz, Rózia małą Bronię za rękę wzięła, chcąc i ją uprowadzić. Ale dziecko przerażone oczy ku siostrze zwracając, obu już piąstkami spódnicę matczyną pochwyciło.

— Ja tu... ja z mamą! — z koralowych ustek wydobyła się prośba żalonna.

Kirlowa ramionami wzruszyła.

— Niech już zostaje... co z tym czarnym rozczochrańcem robić? Zresztą, takie to jeszcze małe i głupie, że wszystko przy nim mówić można. Nic nie zrozumie i nic nie powtórzy najpewniej!

Gromadka z najstarszą Marynią na czele ku ogrodowi ruszyła. Przez salon przechodzili wszyscy na palcach, bo zamknięte drzwi od pokojów pani Emilii sprawiały na nich rodzaj groźnego i uroczystego wrażenia. Witold, który dnia tego po raz pierwszy młodziutką przyjaciółkę swoją zobaczył, do ogrodu też za nią pobiegł. Zygmunt, niedbale ręce w tył założywszy, powoli, sztywnie po pustym salonie przechadzać się zaczął.

W gabinecie Benedykta Kirlowa przy stole, na którym leżało kilka książek Witolda, usiadła; u kolan jej przykucnęła Bronia, której różowa sukienka i śniade, nagie ramiona wypukle odrzynały się na tle czarnej matczynej sukni. Justyna obok, a gospodarz domu naprzeciw gościa miejsce zajęli. Zaledwie przecież Kirlowa, ze zmieszania i ze wzruszenia aż po brzegi jasnych włosów zarumieniona, kilka słów wybąknąć zdołała, we drzwiach stanęła pani Emilia, białym, długim, koronkami okrytym peniuarem<sup>130</sup> opłynięta i w szczególności ożywiona. Za nią ukazał się Kirlo, z kapeluszem w ręku, uśmiechnięty, tryumfujący, zza niego zaś, z miodową błogością w błękitnych oczach, z plastrem na szczęce, a jesiennym kwiatkiem w rudym warkoczku, wysunęła się Teresa. Podłotek zaś zgrabny, ufryzowany, wystrojony, z bladawą twarzą, od kilku już chwil w kątku niepostrzeżenie przykucnąwszy, szeroko z ciekawości oczy otwierał.

Gospodyni domu, ze zwykłą sobie słodyczą gościa powitawszy, opuściła się na stojący u biurka fotel mężowski.

— Mam nadzieję — z cicha i tonem prośby przemówiła — że państwo pozwolicie mi wziąć udział w swojej poufnej rozmowie. Wiem, że idzie tu o los Justynki, który mnie także obchodzi...

Teresa, nie mówiąc nic, w nieśmiałej postawie za przyjaciółką stanęła. Wszakże tu mowa o miłości być miała! Wszak tu o miłość szło! Wiedziała o tym, i postawą, wejrzeniem, splecionymi dłońmi błagać zdawała się, aby jej stąd nie oddalano. Kirlo we dwoje gwał się przed Justyną i tak mocno usta do ręki jej przylepił, że aż ją cofnąć musiała.

Kirlowa, tym powiększeniem się towarzystwa do najwyższego stopnia już zmieszana, rumieniła się i niespokojnie poruszała się na krześle. Po chwili jednak, używając całej swojej odwagi i energii, głośno przemówiła:

— Moi państwo! Tego, z czym przyjechałam, w bawełnę obwijać nie będę. Prosto z mostu najlepiej! Posłem jestem. Kuzyn mój, Teofil Rózyc, prosi przeze mnie o rękę Justynki. Osobiście nie oświadcza się dlatego, że to by go zanadto wzruszyło i zdenerwowało, a przy tym niepewny jest, jaką odpowiedź otrzyma, ale jeżeli tylko będzie ona pomyślna, natychmiast sam przyjedzie... natychmiast!

Nikogo słowa te nie zadziwiły, bo wszyscy już je przewidywali. Pani Emilia jednak splotła śliczne ręce i słabym głosem zawołała:

<sup>130</sup>peniuar — elegancki, poranny kobiecy strój domowy. [przypis edytorski]

— Co za szczęście dla Justynki! Jakże piękne, szlachetne, wzniosłe jest postąpienie pana Różyca!

Teresa wydawała się wniebobrana; Kirło na krześle siedząc, naprzód nieco podany, postawą, oczami, uśmiechem cieszył się i tryumfował. Na twarzy Justyny najłżejsze nie odbiło się wzruszenie; powieki miała spuszczone i zamyślony uśmiech na ustach. Kirłowa, po chwilowym milczeniu znowu na odwagę się zebrawszy, mówiła dalej:

— Teofil szczerze upodobał Justynkę i zdaje mi się, że krok, który czyni, najlepiej tego dowodzi. Jestem pewna, że byłaby z nim ona szczęśliwa, bo to złote serce i głowa też nie byle jaka... Jednak zanim przyrzekłam, że tu posłem od niego zostanę, otwarcie i stanowczo mu powiedziałam, że wszystko o nim Justynce powiem, całą prawdę... Jeżeli o wszystkim wiedząc zgodzi się tego biedaka wyratować i uszczęśliwić, to dobrze; jeżeli nie, to cóż robić? Ale ja oszukiwać nikogo za żadne skarby świata nie mogę. Teofil zgodził się, a nawet prosił mię, abym Justynkę o wszystkim uprzedziła...

— Cóż? Burzliwa przeszłość? Zmarnowany majątek? — tonem zapytania rzucił Benedykt.

Kirło usta krzywił, ręką znaki niezadowolenia dawał pomrukując:

— Niepotrzebnie! Niepotrzebnie! Głupie skrupuły!

Na twarz Kirłowej wystąpił wyraz wielkiego zmartwienia. Zmąconymi oczami po obecnych wodziła. Widoczne było, że wolałaby przed mniejszą znacznie kompanią mówić. Nie było jednak rady. Wszyscy obecni znajdować się tu mieli prawo.

— Nie — na zapytanie Benedykta odpowiedziała — nie to wcale! Majątek jest jeszcze piękny, można powiedzieć, wielki, a przeszłość... no! Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Jaką ona była, to była, ale żałuje on jej teraz i wyratował z niej jednak swoje złote serce. Jest rzecz inna... Teofil... Teoś...

Zająknęła się, zarumieniła się ogniościej niż kiedykolwiek i szeptem prawie dokończyła:

— Teoś jest mor... morfi... Boże, jakże się to nazywa? Zawsze zapominam!... mor... morfinistą!

Benedykt wielkimi oczami na nią patrzył.

— A cóż to za diabeł? — zapytał. — Nigdy nie słyszałem...

Cicho, jękając się, z wielkim żalem Kirłowa wyszeptala to, co o tym przedmiocie od kuzyna swego wiedziała, usprawiedliwiać go usiłując. Chorował bardzo przed paroma laty, zagraniczni doktorowie ten przekłety zwyczaj mu zaszczepili...

Benedykt węża w dół pociągnął.

— Prosto z mostu mówiąc... pijakiem jest! — sarknął.

Kirłowa aż wstrząsła się, tak ją wyraz ten zabolął. Ależ doprawdy, on nie winien, że go ten wielki świat do tego doprowadził i wielka fortuna na takie pokuszenia i awantury naraziła. Pragnie wyleczyć się, próbował już nieraz, bo wstyd mu samego siebie i życia młodego żał... ale dotąd nie mógł. Chyba go kobieta, którą pokochał, uleczy... klin klinem wybijać najlepiej... Szczęśliwy się czując nudzić się przestanie, domowe, porządne, regularne życie powróci mu zdrowie i chęć do zajęcia się majątkiem. Justynka prawdziwe zadanie siostry miłosierdzia spełnić przy nim może, jeżeli ją to, o czym dowiedziała się, nie zraziło...

Tu pani Emilia splecione ręce w górę wzniosła.

— Zrażać! O Boże! — zawołała. — To, o czym dowiedzieliśmy się, czyni pana Różyca więcej jeszcze interesującym... obudza jeszcze żywszą dla niego sympatię, bo świadczy o naturze pragnącej wyrwać się z więzów szarej rzeczywistości, upając się choćby snami o tym, co piękne, wzniosłe, poetyczne! Z takim człowiekiem dzielić życie, razem z nim kochać, marzyć...

— Może i upijają się! — mruknął pod wąsem Benedykt, którego oświadczyły te najmniej zdawały się zachwycać.

— To prawdziwe szczęście! — dokończyła pani Emilia.

— Doprawdy! Od takiego szczęścia umrzeć można! — za poręczą fotela zadzwonił cienki głosik Teresy.

— Fortuna pańska... nazwisko piękne... stosunki... co to i mówić! — z błogim uśmiechem szeptał Kirło.

Kirłowa zaś ze łzami w oczach zwróciła się do Justyny:

— Złote ma serce, kobietę pocziwiał i przywiązaną ocenić i uszczęśliwić potrafi. Gdy-

Bieda, Bogactwo

byś ty, Justynko, wiedziała, jaki on dla nas dobry! Inny na jego miejscu i znać by nie chciał ubogich krewnych, a on przyjacielem jest, prawie bratem i... dobroczyńcą nawet, bo wiesz? Czemuż bym do tego przyznać się nie miała? Bieda przecież wstydu nie czyni! — chłopcami naszymi zaopiekować się przyrzekł i w szkołach za nich płacić... raz już za jedno półrocze zapłacił, ale to nic nie znaczy — wobec serca i przychyłności! Bronkę naszą bardzo lubi i czasem na rękach ją nosi... Onegdaj przyjechał do Olszynki i jak zaczął nas prosić: „Przyjedźcie wszyscy do Wołowszczyzny na parę dni przynajmniej!” Toteż całe dwa dni bawiliśmy teraz u niego całą gromadą, a jak on nas przyjmował!... O przysmaki i inne pańskie przyjemności mniejsza... ale sam usługiwał nam, z dziećmi bawił się i chwilami tylko w tę swoją nieszczęsną apatię wpadał. Złote serce i bardzo biedny człowiek... choć bogaty!

Wilgotne oczy otarła i do Justyny zwrócona, w półproszącym, a w półniecierpliwym tonem zapytała:

— Cóż, Justynko?

Co zdarzało się bardzo rzadko, pani Emilia wybuchnęła:

— Ależ naturalnie, że Justynka przyjmuje... to cud prawdziwy... niespodzianka losu...

— To już chyba święty Antoni sprawił!... — zadzwoniła Teresa.

— Ja zawczasu, zawczasu przyszej pani Różycowej do nóżek się ścielę! — z niskim na krzesła ukłonem umizgnął się Kirlo.

Benedykt milczał, węs na palec zakręcił, aż z kolei zapytał:

— Cóż, Justynko? Mówże!

Justyna podniosła powieki; była zupełnie spokojna i przyjazne wejrzenie na Kirłową zwracając, z lekkim ku niej ukłonem zaczęła:

— Bardzo wdzięczna jestem panu Różycowi za jego uczciwe i zobowiązujące względem mnie postąpienie. Wiem jednak, że niemało namów i wpływów trzeba było na to, aby go do tego kroku nakłonić; domyślałam się też, że niemało walczyć z sobą musiał, nim się na ten krok zdecydował. Zupełnie to zresztą rozumiem. Ani położenie moje, ani wychowanie, ani przyzwyczajenia i gusta nie czynią mnie odpowiednią dla niego towarzyszką życia. Na wielką panią i światową kobietę nie mam kwalifikacji żadnych ani też żadnej do takiego stanowiska pretensji<sup>131</sup>...

— Tym więcej, tym więcej ocenić powinnaś to bohaterstwo miłości — wtrąciła pani Emilia.

— Tym większy w tym cud Opatrzności Boskiej! — zawtórowała Teresa.

— Wszystko to — ciągle do Kirłowej zwrócona kończyła Justyna — już by mi przyjęcie tej ofiary, za którą jednak wdzięczną jestem, niemożliwym uczyniło... ale najważniejszą i stanowczo w tym wypadku rozstrzygającą rzeczą jest to, że od wczoraj jestem zaręczona...

Na chwilę oniemieli, wszyscy obecni jednogłośnie zawołali:

— Co? Kiedy? Jak? Z kim? Z kim?

Justyna powstała. Coś ją z krzesła podniosło i warem oblało.

— Z sąsiadem Korczyzna, właścicielem kawałka ziemi w bohatyrowickiej okolicy, z panem Janem Bohatyrowiczem! — wypowiedziała z wolna, głosem trochę od wzruszenia drżącym.

Teraz dopiero w obecnych uderzył grom zdumienia. Pokój napęłnił się wykrzykami:

— Co to? Jak to? Kto to? Żartujesz? Ona żartuje! Pani żartuje!

Widać było jednak po Justynie, że nie żartowała wcale. Brwi jej ściągnęły się, z podniesioną głową, błyskającym wzrokiem po obecnych wodziła. Na koniec Benedykt ręką machnął.

— A poczekajcież, państwo! — zawołał — niech ja się u niej o wszystko rozpytam!

Do siostrzenicy się zwrócił:

— Nie żartujesz, Justysiu? Serio mówisz? Zaręczyłaś się naprawdę z jakimś Bohatyrowiczem?

Pokazała mu swoją rękę.

— Widzisz, wuju, pierścionka matki mojej na palcu nie mam. Wczoraj mu go oddałam. Serce, ręka i przyszłość moja do niego należą.

<sup>131</sup>pretensja — prawo, które ktoś sobie rości do czegoś. [przypis edytorski]

Benedykt dziwnie jakoś czmychnął, coś zamruczał, na siostrzenicę popatrzał i znowu zapytał:

— Jakimże wypadkiem poznać się z nim mogłaś?

Trochę smutny uśmiech po ustach jej przebiegł; pilnie przez kilka sekund wujowi w oczy popatrzała.

— Prawda, wuju, że tylko wypadkiem my i oni poznawać się z sobą możemy!

— No, no! — mruknął Benedykt. — Te filozofie co innego, a twój los co innego! Czy zakochałaś się w tym człowieku, ha? Naprawdę kochasz go?

Znowu jakby elektryczna iskra w serce jej uderzyła, płomień na czoło a wilgoć w oczy rzucając. Podniosła głowę.

— Kocham go z całego serca i jak w to, że żyję, wierzę, że jestem kochana — odpowiedziała.

Pani Emilii zrobiło się niedobrze. Nagle i niespodziewanie globus<sup>132</sup> do gardła podchodzić jej zaczął. Zdławionym głosem i z oczami już leż pełnymi zawołała jednak:

— Justynko! Jak to? Ty taka dumna! Ty, co przez dumę nic ode mnie przyjąć nie chciałaś, kiedy ja ciebie, jak wypadło, ubierać pragnęłam! Ty, co przez dumę najniewiniej zażartować z siebie nie pozwalałaś! Ty odrzucasz teraz los świetny, wysokie stanowisko w świecie, a wyjść chcesz za chłopca... tak! Za chłopca... O Boże! Cóż to za tajemniczość! Jakie zagadki serc ludzkich!

Justyna uśmiechała się.

— Zagadki w tym żadnej nie ma — odpowiedziała. — Właśnie dlatego, że dumna jestem, nie chcę być wzięta za żonę przez wspaniałomyślność i bohaterstwo, przez cud Opatrzności albo świętego Antoniego, z łaski, z namowy... Wolę zawdzięczać byt i szczęście sercu człowieka, który mnie kocha, i wspólnej z nim pracy...

— Androny! — zawołał Benedykt. — Te wszystkie cuda, tajemniczości, zagadki za grosz sensu nie mają! Podobala się paniczowi pocziwa i przystojna dziewczyna — cud szczególniejszy! Dziewczyna zakochała się w ładnym i może pocziwym chłopcu — także mi tajemniczość i zagadka! Wszystko to funta kłaków niewarte! Co w tym jest rzeczywistego, moje dziecko — do Justyny się zwrócił — to to, że może nie znasz dobrze tego życia, na które się decydujesz...

— Poznałam je z bliska i dobrze, mój wuju...

— Poczekaj! A praca! Czy ty wiesz, jaka cię praca tam czeka?

Tym razem uniosła się.

— Ależ, mój wuju — z mocą odparła — brak pracy właśnie był mi od dawna trucizną i wstydem. O, jakże wdzięczna jestem temu, który mnie pod niski, ale własny dach swój biorąc daje nie tylko zadowolenie serca, ale zajęcie dla rąk i myśli, zadanie życia, możliwość dopomagania komuś, pracowania na siebie i dla innych!...

Oczy Benedykta miękły, rozjaśniały się, coraz cieplejszym wejrzeniem w twarzy krewnej tkwiły. Wahającym się przecież głosem zaczął jeszcze:

— No... a z tą... z tą niestosownością umysłową jakże będzie?

— Nie ma jej, mój wuju; kto by tu niestosowność tę znalazł, sądziłby z pozorów. Uczoną nie jestem ani arystokratką; żadnych niepospolitych zdolności ani talentów nie mam i tylko tyle rozsądną jestem, by to znać i wiedzieć. Z tego, co umiem, bez wahania i żalu odrzucę to, co ani mnie, ani, jak mi się zdaje, nikomu pożytku by żadnego nie przyniosło. A jeżeli światła, z łaski twojej, mój wuju, otrzymanego, zostanie mi jeszcze trochę więcej niż on... niż oni go posiadają...

Wzruszenie głos jej zatamowało; drżącymi ustami, ale z rozpromienionym czołem dokończyła:

— Z jakimże szczęściem pomiędzy nich je wniosę!... O! Z jakim szczęściem trzymać będę nad nimi ubogą moją lampkę, aby tylko im trochę widniej, jaśniej, weselej było!...

Benedykt wstał. Wąsa do góry podkręcał.

— Wy, młodzi, wszyscy teraz w jedną dudkę gracie! Ale — dodał — macie rację... nie ma co mówić! Macie rację!

<sup>132</sup>globus (łac. *globus hystericus*) — objaw chorobowy polegający na odczuwaniu wrażenia zatykania gardła. [przypis edytorski]

Pani Emilia uczuła klucie w łopatkach, w boku, w piersi, wszędzie, i tyle tylko miała siły, aby zawołać:

— Tereniu! Pomóż mi podnieść się! Tereniu!

Teresa pośpiesznie z fotela wstać jej dopomogła i ku drzwiom ją uprowadzała. Kirlo — co w wypadkach podobnych nie zdarzało się nigdy — ku osłabłej i rozbolącej gospodyni domu żadnego poruszenia nie uczynił. Jak do krzesła przykuty, jak skamieniały siedział, z ustami rozwartymi, z osowiałym wzrokiem. Nie rozumiał tego, co zaszło, co dokoła niego mówiono; po prostu nie rozumiał. Nie mógł ani dziwić się, ani gniewać, ani oburzać, bo wszystkie myśli z głowy mu pouciekały, oprócz jednej, uporczywie po niej krążącej:

— Teoś Różyc harbuza dostał... on, Różyc, dziedzic Wołowszczyzny, siostrzeniec księżny, harbuza dostał od tej... tej...

Ustami poruszył i z cicha wymówił:

— Teoś harbuza dostał...

Na kształt automatu z krzesła wstał i z kapeluszem w spuszczonej ręku, z otwartymi ustami i osowiałym wzrokiem przez salon przechodził. Otwierając drzwi do buduaru pani Emilii znowu powtórzył:

— Teoś harbuza dostał...

Do salonu zaś z impetem wbiegał z ogrodu Witold. Przed paru minutami niepostrzeżenie, leciuchno Leonia z gabinetu ojca wyfrunęła, przez salon przebiegając kilkanaście słów wyszczebotała do Zygmunta, który tam przy stole stare albumy i ilustracje przeglądał, i z ganku zbiegłszy, w ogrodzie na cały głos wołać zaczęła:

— Widziu! Widziu!

Wszystko, co z kątką gabinetu wysłuchała, bratu opowiedziała i tu zadanie swoje już spełniwszy, po schodach na górę do Marty frunęła. Witold zaś, siostry wysłuchawszy, pędem do domu wpadł, Zygmunta w osłupiałej postawie pośród salonu stojącego minął i do gabinetu wbiegłszy Justynę za obie ręce pochwycił:

— Justynko! Duszko! Siostrzyczko! Ja trochę spodziewałem się tego, ale tylko trochę, bo myślałem, że Buszmarka górę w tobie weźmie i pięknych tatuażów pożałujesz... Zdecydowałaś się więc tego zacnego chłopca uszczęśliwić, pracownicą drogiej ziemi naszej zostać, światło swoje pomiędzy biednych braci wnieść! Brawo! Winszuję! Cieszę się, ach, jakże się cieszę!

I porwawszy ją wpół, śmiejąc się, w ręce ją całując, dwa razy się z nią dokoła pokoju okręcił. Ale potem spoważniał i ręce krewnej silnie w swoich ściskając, serdecznie w oczy jej patrzył:

— Pamiętaj — rzekł — że masz we mnie brata, nie tylko ze krwi, ale i z ducha. Wspólnikami i nawzajem pomocnikami sobie będziemy. Za przyjaciela i brata miej mnie... miejcie mnie oboje!

Benedykt z tą pogodą, która od kilku dni pomarszczoną jego twarz łagodziła i wygładzała, na uniesienie syna patrząc uśmiechał się.

— Facecja! Facecja z tymi młodymi! — pod długim wąsem mruczał. — Myślą, że świat do góry nogami wywrócą i cudów dokonają... a!

Smutek przyćmił mu oczy; ręką machnął.

— Cóż, Justynko? — odezwał się. — Czy to jest stanowcze postanowienie twoje?

— Tak stanowcze — odpowiedziała — że nic w świecie, nawet twoja woła, mój dobry wuju i opiekunie, odwieść mnie odeń nie zdoła.

Pochyliła się w ręce go całując. On głowę jej do piersi przycisnął.

Wtedy i Kirłowa z krzesła się podniosła i mówić chciała, ale tym ruchem obudziła małą Bronkę, która wstając zaplątała się o rozwiązane tasiemki bucików, i jak długa u stóp matki upadła. Że jednak zdarzało się jej to bardzo często, więc najłżejszego głosu z siebie nie wydając, na czworakach naprzód stanęła, potem całkiem wstała i ciemne, drobne, obnażone ramiona rozkładając, z powagą wymówiła:

— Mamo, do domu!

Ale Kirłowa wcale ani na upadnięcie jej, ani na objawione przez nią życzenie nie zważając, do Justyny podeszła i za ręce ją wzięła. Twarz miała całą w ogniu i łzach.

— Żal mi, wielki żal biednego i dobrego kuzyna mego! — zaczęła. — Jednak nie umiem kłamać: może i rozumnie postąpiłaś, dobrze wybrałaś... może i szczęśliwa będziesz...

Ucałowała ją serdecznie.

— Kiedy rozgospodarzysz się już w swojej chacie — cicho szeptała — oddam ci moją Rózię... do twojej chaty ją oddam, aby ci pomocnicą i uczennicą była, a własnymi rękami pracować przy ziemi uczyła się i przywykała...

Przez łzy uśmiechała się i jeszcze ciszej dodała:

— A może z czasem znajdziesz tam dla niej, jak dla siebie znalazłaś, jakiego ładnego i poczciwego chłopca... Wiesz co? Dla biednych dziewcząt, które ani hrabinami, ani doktorkami zostać nie mogą, dobry to los... jedyny może los...

Jeszcze coś chciała do ucha Justynie szeptać, ale uczuła się silnie za suknię pociągniętą. Mała Bronia u stóp jej śniade ramionka szeroko rozłożyła i ze wzniesionymi ku niej, czarnymi jak węgle oczami z powagą powtórzyła:

— Kiedyż, mamó, ja chcę do domu!

Istotnie, Kirlowej pora było wracać do domu, gdzie ją różne zajęcia i kłopoty oczekiwaly; musiała przy tym dziś jeszcze choć na chwilę do Wołowszczyzny zajechać. Poszła więc z Witoldem do ogrodu gromadki swojej szukać. Benedykt do odchodzącego syna zawołał:

— Powiedz tam komu, Widziu, aby Martę do mnie poprosił.

A do Justyny zwrócił się:

— Ojcu mówiłaś już o tym?

Nie miała jeszcze na to czasu, bo Orzelski późno wstawał i długo w swoim pokoju jadł śniadanie, a kiedy jedzeniem był zajęty, o niczym z nim rozmawiać nie było można.

— Idźże do niego teraz i powiedz... zawsze to ojciec! A ja z Martą pomówić muszę... rozpytać się!

Justyna przeszła pustą salę jadalną i kierowała się ku schodom na górę prowadzącym, gdy usłyszała wymówione za sobą swoje imię. Obejrzała się i zobaczyła Zygmunta, który u ściany stojąc zwracał ku niej twarz widocznie pobladłą i przerażoną.

— Czego sobie życzysz, kuzynie? — zapytała.

— Chwili rozmowy z tobą... na wszystko, co ci jest świętym na ziemi, o chwilę rozmowy cię proszę!

— Owszem — z obojętną grzecznością odpowiedziała i zbliżyła się ku niemu.

— Kuzynko! Czy to prawda... czy prawda, że odmówiłaś Róźycowi, a wychodzisz za jakiegoś... jakiegoś... *que sais-je?* Zagonowca... chłopca?

— Prawda — spokojnie odrzekła.

— Wielki Boże! Taki mezalians<sup>133</sup>... taki mezalians popełnić, to narazić się na wieczną niezgodę myśli i gustów, wiesz? Jest to popełnić niemoralność!

Bystro, z nietajoną ironią w twarz mu popatrzała.

— Czy mnie słuch myli, czy istotnie ty, kuzynie, ty... o zgodę w małżeństwie i o moralność troskę swą wyrażasz?

Zmieszał się trochę, ale wzburzenie i przerażenie z twarzy i postawy mu nie ustąpiło. Był, jak zwykle, żurnalowo ubrany, ale na tę chwilę żurnalową poprawność i sztywność utracił. Justyna odejść chciała, on rękę jej, którą ona wnet usunęła, pochwycił.

— Cóż więcej? — zapytała chłodno.

— To — zawołał — że odgaduję cię, odgaduję wybornie motywy, pod których wpływem szalonego tego kroku dokonać postanowiłaś. Rozumiem... chcesz ścianą nieprzebytą rozdzielić się z dawnym wspomnieniem... z dawnym uczuciem... ze mną! Gdybyś za Róźycę wyszła, należelibyśmy do jednego świata, musielibyśmy spotykać się z sobą... widywać... Więc uciekasz w inną sferę... mieszasz się z motłochem dlatego, aby zniknąć dla mnie, abym ja zniknął dla ciebie!

Patrzała na niego szeroko otwartymi oczami, znaczenia słów jego zrazu formalnie zrozumieć nie mogąc, a potem własnym jakby uszom nie dowierzając.

<sup>133</sup>mezalians — małżeństwo z osobą nieodpowiednią ze względu na pochodzenie lub majątek. [przypis edytorski]

On miotał się i, szczerze przerażony, temperament swój i zwykły układ zmieniać się zdawał. Za głowę się schwytał.

— Nie czyn tego! Zaklinam cię! Nie gub siebie i nie obarczaj tak strasznie mego sumienia... Jak widmo zamordowanej przeze mnie istoty zawsze widziałbym cię przed sobą! Zlituj się nade mną i nad sobą samą! Przyrzekam ci, że oddałem się, że unikać cię będę, że niczym nie narażę cię na walkę, która straszna w tobie być musiała, skoro cię aż do tak rozpaczliwego kroku przywiodła!

Teraz dopiero zrozumiała, uszom swoim uwierzyła; tysiąc daremnie wstrzymywanych uśmiechów na twarzy jej zadrgało, aż parsknęła głośnym, do powstrzymania niepodobnym, jak srebro dźwięcznym śmiechem. Był to śmiech młodej piersi i szczęśliwej duszy, tak szczęśliwej, że byle co wywołać z niej mogło dziecinną prawie wesołość. Z tym śmiechem jak z perlistą, nieposkromioną gamą odwróciła się od niego, sięń przebiegła i na schody szybko wstępować zaczęła. Zniknęła już za załomem schodów, a śmiech jej jeszcze w wielkiej sieni słyszeć się dawał, chociaż zmieszały się z nim figlarne także, to *staccato*<sup>134</sup>, to znów *allegro*<sup>135</sup> wygrywane, dźwięki skrzypiec. Zygmunt wyprostował się, usta trochę otworzył, według zwyczaju, którego nabierać zaczynał, własną, zaokrąglającą się postać wzrokiem obrzucił i przez zęby syknął:

— Prościzka!

W niewielkim pokoju, pomiędzy łóżkiem z rozrzuconą pościelą a stołem okrytym przyborami do golenia się i ubierania, Orzelski w kwiecistym, przybrudzonego szlafroku na skrzypcach grał. Okno było otwarte; błękitne oczy grającego przesunęły się po widzialnych przez nie szczytach drzew, uśmiechał się, na palcach nóg czasem stawał, jakby z falami tonów w górę leciał; wiatr przez okno wlatujący podnosił mu i kołysał nad głową białe jak mleko włosy.

Justyna z oczami jeszcze pełnymi śmiechu, który tylko co w piersi jej umilkł, gorąco zarumieniona, do zatopionego w muzyce ojca podeszła.

— Mój ojcie — rzekła — mam do pomówienia z ojcem o czymś ważnym, bardzo dla mnie i dla ojca ważnym.

Grać nie przestając, z roztargnieniem na nią spojrzął.

— Co tam takiego? Aha! Wiem... pan Różyc... ale poczekaj! Niech wprzódy te... serenadkę skończą!

Justyna przy oknie usiadła, czekała, a dźwięki serenady długo jeszcze to *staccato*, to *allegro*, to znów *andantissimo*<sup>136</sup> rozlegały się po pokoju. Na koniec skończył, ustami cmoknął i koniec smyczka całując uśmiechnął się błogo.

— A co?... caca te... serenadka!

Tymczasem wkrótce po odejściu Justyny bocznymi drzwiami do gabinetu Benedykta wsunęła się Marta. Nie weszła jak zwykle ze stukiem i impetem, ale wsunęła się dziwnie cicho, zmieszana, ciemną chustką otulona.

— Przysłałeś po mnie, Benedykcie — zaczęła — ale ja bym i sama przyszła, bo wielką prośbę mam do ciebie... tylko nie wiem... słowo honoru, jak to powiedzieć...

— Cóż? Może i ty zaręczyłaś się z jakim ładnym chłopcem? — zażartował Benedykt.

Ręką machnęła, naprzeciw krewnego na brzeżku krzesła usiadła.

— Tak już głupia nie jestem, aby o takich rzeczach myśleć... — z dziwną pokorą i uciszeniem odpowiedziała — ale widzisz... Justynka za mąż wychodzi i jeżeli zgodzisz się... pozwolisz, ja przy niej, w jej... w ich chacie zamieszkać sobie...

— Co, co? — zawołał Benedykt.

— Słowo honoru! Bardzo chcę przy nich zamieszkać — ze spuszczonej oczami i splecionymi na kolanach rękami mówiła dalej. — Chleba darmo im jeść nie będę, bo i doświadczenie w gospodarstwie mam, i siły do pracy jeszcze trochę... Im, gołąbkom, moje ręce przydadzą się, a może i głowa cokolwiek doradzi... A tu ja niepotrzebna... wieczny smutek! Niepotrzebna nikomu... nikomu... nikomu...

— Jak to niepotrzebna? Co ty wygadujesz? — niecierpliwie się zaczął Benedykt.

Głową z wysokim grzebieniem silnie wstrząsając twierdziła:

<sup>134</sup>*staccato* (wł.) — w muzyce określenie artykulacyjne oznaczające, że każdy dźwięk należy grać oddzielnie i dwa razy krócej niż jego zanotowana wartość. [przypis redakcyjny]

<sup>135</sup>*allegro* (wł.) — wesoło, żywo. [przypis redakcyjny]

<sup>136</sup>*andantissimo* (wł.) — spokojnie. [przypis redakcyjny]

— A niepotrzebna! Cóż? Dzieci podorastały... twojej żonie nigdy dogodzić ani przypodobać się nie mogłam... a co do gospodarstwa... wielkie rzeczy! Ochmistrzynię sobie na moje miejsce weźmiesz... Justynka zaś sprzyja mnie, lubi... ona zawsze najwięcej ze wszystkich mnie lubiła... Przy tym i tych ludzi, pomiędzy których ona idzie...

Zająknęła się, palcem po wilgotnej rzęsie powiodła.

— I tych ludzi znałam kiedyś... lubiłam... sam los mnie kiedyś do nich prowadził... ale go nie posłuchałam, nie poszłam... za to teraz pójdę, popracuję z nimi trochę, a potem pewno już niedługo, oni dla mnie sami cztery deski zbiją i na mogiłki sami poniosą... ot, czego mi chce się... Justynka i Janek za dwa miesiące pobrać się postanowili... przez ten czas, ty Benedykcio, ochmistrzynię sobie znajdziesz... Uf! Nie mogę!

Zakrztusiła się i zakaszła.

Benedykt patrzył, słuchał, aż wybuchnął:

— Facecjo! Niedługo cały Korczyn do Bohaterowiczów się przeniesie! No — z uśmiechem dodał — już chyba tylko moja żona i panna Teresa tam nie pójda!

Wstał, do Marty zwrócił się.

— Co ty wygadujesz? Jakie głupstwo do głowy ci przyszło! Ty tu niepotrzebna! Boże kochany! A toż my z tobą od dwudziestu kilku lat we dwoje pracujemy! Tylkoż nas tu dwoje pracujących było! Niepotrzebna! A cóż ja bym był począł, gdybym ciebie przy sobie nie miał? Toż ja nie tylko swojej, ale i twojej pracy zawdzięczam, że utrzymałem się przy Korczyni! Kobieta uczuciwa, pracowita; rządna, życzliwa w domu i w gospodarstwie — bagatela! Niepotrzebna! Ależ ty dzieci moje na rękach swych wynosiłaś i wyhodowałaś! Ty je jak matka i... za matkę... kochałaś i pieściłaś: a nie po głupiemu pieściłaś! Witold wiele ci winien, bo dobre, ludzkie rzeczy w głowę mu kładłaś... Moja Marto, za przyjaciółkę cię zawsze miałem i serdecznie cię lubiłem, tylko, widzisz, kłopoty i różne biedy takim ponurym i smutnym mię były zrobiły, że i okazywać mi się nie chciało tego, co czułem. Alem ja wdzięczny ci, do grobu wdzięczny, i nie puszcze cię od siebie, jak sobie chcesz, nie puszcze... Facecjo! Ona niepotrzebna! Przez całe życie jak wół pracowała i niepotrzebna! Jej nikt tu nie lubi! A ja? Wyhodowaliśmy się razem, pracowaliśmy razem...

Szerokimi krokami po pokoju chodził, wąsy w dół pociągał, ramionami rozmachiwał. Marta podniosła na niego swoje czarne, bystre, ogniste oczy, które z kolei napępniały się wyrazem zadziwienia, rozczulenia, radości.

— Królu mój! — zawołała. — I ty doprawdy tak myślisz, jak mówisz? Ty nie z litości nad starą krewną, nie z grzeczności tak mówisz?

— Ależ, jak Boga kocham! — krzyknął Benedykt. — Upamiętaj się! Sama pomyśl!...

— Boże mój, Boże! — zawołała i w zwykły już sobie sposób jak wicher porwała się z krzesła, do krewnego przypadła, ręce jego pochwyciła.

— Królu mój! Braciszku! Otożes mnie uszczęśliwił! Wieczna pociecha! A ja myślałam, że stary grat ze mnie, nikomu tutaj niepotrzebny, a wszystkim obrzydły! Ty bo nie wiesz, braciszku, co to jest życie przeżyć bez serca kochającego przy sobie, bez dobrego słowa ludzkiego! Wieczny smutek mnie jadł, tęsknota, ponurość taka, że wolałabym czasem w grobie gnić! I perswadowałam sobie, a ciągle gryzło żądanie, aby dusza jaka serdecznie mi sprzyjała, aby komu do życia i szczęścia przyczynić się! Chciałam spróbować tam... Ale teraz już nie chcę... słowo honoru, nie chcę, nie pójdę... Wieczny śmiech! Po cóż ja mam stąd iść, jeżeli tobie potrzebna jestem i jeżeli ty mnie, jak brat siostrę, lubisz?... Oj, królu mój, jakże ty mnie pocieszyłeś, jak uszczęśliwiłeś! Wieczna pociecha!

Garnęła się do niego, w ramiona go całowała, płakała, aż zakaszła się tak, że przez minut parę do słowa przyjąć nie mogła.

— Teraz — uspokoiwszy kaszel zaczęła — teraz, braciszku, musisz pozwolić, abym parę koni na parę dni ci zabrała... Do miasta pojadę, do doktora... leczyć się muszę, aby ci jeszcze móc jak najdłużej służyć... Ze trzy lata już temu przeziębiam się, w piwnicy warzywa na zimę układając, ale nie dbałam o to. „Po co mam leczyć się? Na co? Wieczny smutek!” — myślałam. I imbarasu nie chciałam nikomu robić... Czasem i bardzo źle ze mną bywało, tałam się z tym jak z grzechem śmiertelnym... „Im prędzej, tym lepiej!” — myślałam. Ale teraz co innego. Jeżeli ja tobie potrzebna, jeżeli ty mnie lubisz i szanujesz, leczyć się muszę, aby jak najdłużej ci służyć, a może jeszcze... Uf, nie mogę!

Śmiała się i kaszła.



— A może jeszcze i na weselu twoich dzieci potańcować! Wieczny śmiech! Wieczny śmiech!

Benedykt serdecznie ją w głowę i czoło ucałował.

— Uspokój się — rzekł — siadaj i mów mi wszystko, co wiesz o Bohatyrowiczach w ogóle, a o tym narzeczonym Justynki w szczególności. Opiekunem jej jestem, a choć dziewczyna pełnoletnia, energiczna i niegłupia, na wiatr przyzwolenia swego dawać nie mogę. Witoldowi nie bardzo ufam, bo różowe okulary na nosie mu siedzą, ale wiem dobrze, że ty interesowałaś się zawsze tymi ludźmi, teraz na weselu u nich byłaś, słyszałaś — mówże mi wszystko, co o nich wiesz!

Martę znowu wezwanie to uszczęśliwiło, bo znowu przekonywało ją, że na coś potrzebna była, że krewny ufa jej i w rozsądek wierzy. Cicho też na krześle usiadła i ze skupieniem, z rozważą długo mówiła, opowiadała i nie skończyła jeszcze mówić i opowiadać, kiedy naprzód w sali jadalnej dały się słyszeć spieszne kroki, a potem w drzwiach gabinetu ukazał się Orzelski. Szlafrok na sobie miał, w pasie sznurem przewiązany; smyczek w rękę trzymał. Rumiana, dobrodusznna zawsze twarz jego wyrażała teraz gniew i wzburzenie.

— Panie dobrodziej! — od progu zawołał — to jest te... głupstwo, na które pan dobrodziej pewno pozwolenia swego nie dasz! Pan dobrodziej opiekunem Justynki jesteś i nie spodziewałem się, nie spodziewałem się, aby w domu pana dobrodzieja córkę moją taka te... kompromitacja spotkała...

Sapał głośno, okrąglą postać dumnie prostował, smyczek do góry wznosił.

— Tu kompromitacji żadnej dla Justynki nie ma — powstając zaczął Benedykt. — Dziewczyna jest pełnoletnia, wolę swoją ma, za kogo zechce, wyjdzie...

— Wyjdzie! Za te... a panu Różykowi, który jest te... całą gębą panem, odmówiła! A jaż, panie dobrodziej, ja... te... te... co zrobić? Czy ja za nią do te... te... te... prostej chaty pójdę? Ja, panie dobrodziej, te... te... te... nie przywykłem... tam pewno nawet fortepianu postawić gdzie nie ma... mnie tam te... te... te... głodem zamorzą!

Łzy mu oszklify oczy; z gniewu wpadł w żal, prawie zaszlochał. Benedykt rękę mu na ramieniu położył i z czołem zmarszczonym, z niesmakiem w wyrazie ust, spokojnie jednak rzekł:

— Bądź pan spokojny; jak mieszkałeś w Korczynie, tak mieszkać będziesz. Pewno, że tam wyżyć byś nie mógł. Ale ja z największą przyjemnością panu dom swój nadal ofiaruję. Zresztą, macie u mnie swoją sumkę, którą Justysi częściami tylko będę mógł spłacać...

Orzelski chciwie tych słów wysłuchał i uspokoił się znacznie.

— Ale widzi pan dobrodziej, zawsze to jakoś nie te... aby panienka taki mezalians robiła...

Benedykt zamyślił się na chwilę.

— Mój kochany panie — odpowiedział — przypomnij sobie swoją własną młodość... Może też Justyna szczęśliwsza będzie w tym mezaliansie, niż moja cioteczna siostra była w małżeństwie z panem... zupełnie przecież stosownym.

Orzelski usta trochę otworzył, zmieszał się. Jakieś przypomnienie ugodziło weni i trochę nim wstrząsnęło.

— Serce, panie dobrodziej... — zaczął — serce nie... te... jeżeli z mojej strony były jakie te... to przez te...

— No — przerwał Benedykt — o przeszłości nie ma co mówić, a o przyszłość swoją bądź pan spokojny. Idź na górę, graj sonatki i serenadki, a Marta ci tam zaraz śniadanie pośle...

Pomyślał chwilę, na smyczek swój spojrzął.

— Kiedy tak — zaczął — to niech sobie Justyna te... ale zawsze to nie wypada, aby panienka za jakiegoś te... te... nie wypada... nie wypada!

Głową kołysząc i wyraz ostatni powtarzając, zupełnie już jednak uspokojony, odszedł. Benedykt długo jeszcze rozmawiał z Martą i z Witoldem, który Kirlową i jej gromadkę do bryczki wsadziwszy i pożegnawszy, spiesznie do ojca przybiegł. Potem w sali jadalnej nakrywając do stołu usłyszawszy Marty poprosił, aby o parę godzin podanie obiadu powstrzymała, a Witoldowi Justynę zawołać kazał.

Nadbiegła zarumieniona, niespokojna. Sprzeczeki i poróżnienia z wujem lękała się.

— Chodź — rzekł do niej Benedykt, kapelusz słomiany na głowę włożył i ramię jej podał.

Odgadła, dokąd ją miał prowadzić, i z okrzykiem radości do rąk mu się rzuciła.

Poszli drogą sunącą białym szlakiem u spłowiego kobierca pól. Niebo było białe od okrywających je obłoków, pod nim leciały stada jaskółek i gdzieśgdzie kołysały się jastrzębie. W powietrzu panowała chłodna, smętna, łagodna cisza jesieni.

Kiedy Benedykt i Justyna weszli do zagrody Anzelma i Jana i prędko przebywali przerynącą duży ogród drogę, na której teraz usychały trawy i żółkły więdnąc białe dzięcielinyl<sup>137</sup>, siedząca na sapieżance biało-czarna sroka zakrakala, kogut za płotem zapiał i żółty Mucyk wybiegł z podwórka z wielkim szczekaniem. Ale pogładziła go Justyna i pies lisi swój pyszczek do sukni jej tulic a kiściastym ogonem wywijając zaczął, z miłością w oczy jej patrzac.

Potem spostrzegł ich wysoki, zgrabny, złotowłosy chłopak w głębi ogrodu u wrót podwórka odrosłą trawę koszący. Spostrzegł ich i zrazu trwoga uczyniła go jakby martwym, a wszystką krew z ogorzałych policzków spędziła. Ale w mgnieniu oka domyślił się, co znaczyło to wspólne z wujem przybycie Justyny. Niezmierna radość błyskawicami wytrysnęła mu z oczu, kosa z rąk jego na trawę padając błysnęła i brzęknęła. Paru skokami przed Benedyktem się znalazł, przykląkł i gorące usta do ręki jego przycisnął. Benedykt nie na niego jednak patrzył, ale na Anzelma, który pod okapem ganku w grube floresy rzeźbionym stojąc przygarbiony trochę, w długiej swej kapocie, powolnym ruchem ręki ku wielkiej baraniej czapce podnosił. Oczy tych dwu ludzi spotkały się z sobą; przez chwilę milcząc na siebie patrzyli. Na koniec, Benedykt, kładąc dłoń na pochylonej przed nim głowie Jana, tonem zapytania wymówił:

— Syn Jerzego?

Anzelm wyprostował się i głowę odkrył. Ze snopa zmarszczek leżącego mu pomiędzy brwiami na wysokie czoło i aż na skronie cienkie nici rozbiegły się niby ukośne promienie. Rękę z wielką czapką wznosił nieco, na zaniemeński bór nią wskazał i trochę jękając się odpowiedział:

— Tego sa... samego, który z bratem pańskim w jednej mogile spoczywał!

KONIEC

---

<sup>137</sup>*dzięcielina* (reg.) — gatunek koniczyny. [przypis edytorski]

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/nad-niemnem-tom-trzeci>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Nad Niemnem*, t. 1-3, wyd. 13, wyd. Czytelnik, Warszawa 1976

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Aleksandra Żurek, Anna Dyja, Dominika Tarnacka, Izabela Kieszek, Marta Niedziałkowska, Olga Sutkowska.

Okładka na podstawie: [taiyofj@Flickr](mailto:taiyofj@Flickr), CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0633-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na [stronie wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły](#) na stronie Fundacji.